KIM SĄ? CZYM SIĘ KIERUJĄ?

Zadymiarze – sabotują spotkania polityków PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 25/277 18–24 CZERWCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha ostro o referendalnych pytaniach Dudy

MUNDIAL KOMENTUJĄ: GMOCH I JASTRZĘBOWSKI PLUS PLAKAT

Semka kontra Karl-Marx-Show

ŚLEDZTWO „DO RZECZY"

Kim pan jest, panie Severski?

Dzisiaj szpieg-celebryta i pisarz. Kogo zwalczał w PRL jako oficer SB? Sekrety życia Vincenta V. Severskiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 25 >

Nakład: 90 tys. egzemplarzy

eprasa.pl acf664e4b9

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 18 CZERWCA 2018

SIÓDMY ODCINEK SERII
Zaginione państwa

Wyjaśniamy, jak udało się pokonać i co stało się z Prusami, Jaćwingami, Galindami i innymi plemionami, które najeżdżały Polskę.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl acf6546409

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Recepta na porażkę

Nie rozumiem. Nie rozumiem i już. Powtarzam te proste zdania od chwili, kiedy to przed kilkunastoma miesiącami pojawił się pomysł prezydenta Andrzeja Dudy, żeby zorganizować w Polsce referendum.

Gorzej. Z każdym kolejnym krokiem głowy państwa rozumiem jeszcze mniej. Dlaczego prezydent aż tak bardzo upiera się przy tym pomyśle? Dlaczego mimo tylu różnych głosów krytycznych, i to od ludzi, którzy przecież nie są jego etatowymi krytykami, prze do zorganizowania głosowania, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci? Nie widzę pozytywnych politycznych skutków referendum, za to dostrzegam całą masę negatywnych konsekwencji w przypadku, jeśliby się ono nie udało. To tak, jakby prezydent uparł się, żeby samemu zakwestionować własną pozycję i przy okazji, bo taki będzie konieczny efekt, osłabić pozycję Prawa i Sprawiedliwości.

Nie rozumiem, dlaczego do referendum ma dojść 10 i 11 listopada. W oczywisty sposób głosowanie w tych dniach będzie odciągać uwagę od uroczystości stulecia odzyskania niepodległości. Nie da się jednocześnie promować 11 listopada jako rocznicy niepodległości i jako dnia referendum. Albo, albo. Jednak nieszczęśliwie wybrana data to najmniejszy problem.

Znacznie większym są pytania referendalne. Jak wiadomo, referendum ma mieć charakter konsultacyjny. Oznacza to, że nawet w przypadku wysokiej frekwencji odpowiedzi na pytania nie będą wiążące. Prosty przykład. Pytanie: „Czy jest Pani/Pan za wzmocnieniem kompetencji wybieranego przez Naród Prezydenta w sferze polityki zagranicznej i zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej?". Nawet w przypadku odpowiedzi pozytywnej i tak to kwalifikowana większość w Zgromadzeniu Narodowym będzie musiała określić, na czym „wzmocnienie" polega. Na prawie powołania i odwołania ministrów obrony i spraw zagranicznych? Jednak jak to się ma do zapisanej w konstytucji odpowiedzialności rządu i premiera za politykę państwa? Nawet gdyby większość obywateli do referendum poszła i nawet gdyby opowiedziała się za „wzmocnieniem" prezydenta, to nie będzie to miało praktycznego znaczenia.

Praktyczne znaczenie mogą mieć inne pytania. Tyle że to wcale nie jest niczym pozytywnym. Prezydent pyta choćby: „Czy jest Pani/Pan za konstytucyjnym zagwarantowaniem szczególnego wsparcia dla rodziny, polegającego na wprowadzeniu zasady nienaruszalności praw nabytych (takich jak świadczenia „500+")?". Doprawdy, przedziwne pytanie. Jak można wpisywać do konstytucji, która jest aktem ogólnym i podstawowym, tak szczegółowe rozwiązania jak program „500+"? A co będzie w sytuacji, gdyby za kilka lat państwa nie było stać na kontynuowanie tego programu? Albo gdyby chciało zmienić jego reguły? Albo zmodyfikować tryb przyznawania pomocy dla rodzin? Żaden roztropny polityk nie może być zwolennikiem wpisywania do konstytucji reguł tak szczegółowych, uniemożliwia to bowiem w przyszłości reagowanie na różne, nieoczekiwane sytuacje. Wątpliwości jest jeszcze więcej. Jeśli „500+", to dlaczego nie „300+", czyli wyprawkę szkolną?

Nieszczęście z tym pytaniem i podobnymi jest jeszcze jedno: paradoksalnie, gdyby zapis o „500+" wprowadzono do konstytucji, uderzałoby to w Prawo i Sprawiedliwość. Gdyby bowiem miało się okazać, że „500+" jest czymś nienaruszalnym, to na czym oprze swoją kampanię PiS? Nie będzie przecież już mogło mówić, że zmiana władzy pociągnie za sobą utratę zdobyczy socjalnych. PiS przestanie być gwarantem swojego najważniejszego osiągnięcia! W tym sensie znacząca część przekazu propagandowego podczas kampanii stanie się, wskutek pomysłu prezydenta, zbędna.

Nie oznacza to oczywiście, że referendum się nie może udać, ale ryzyko jest gigantyczne. Szczerze mówiąc, bardzo bym się dziwił, gdyby ostatecznie kontrolujący większość w Senacie PiS zgodził się na głosowanie 11 listopada. W takiej postaci, nawet przy założeniu, że pytań będzie 10, nie 15 (kto to jest w stanie przeczytać!), zgoda na referendum może być zgodą na porażkę. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl acf664e4b9

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR WOYCIECHOWSKI
DROGA SEVERSKIEGO
Od esbeka do pisarza

KRAJ

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
CHULIGANI OPOZYCJI
Awantury na zamówienie

27 ŁUKASZ WARZECHA
PYTANIA PREZYDENTA

30 MARCIN MAKOWSKI
CZTERY DROGI TUSKA

32 KAMILA BARANOWSKA
PROJEKT WARSZAWA

34 MACIEJ PIECZYŃSKI
LITEWSKA AFERA

36 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ZAKNEBLOWANY PROROK?

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
ZIMNY PODZIW
Filmowe rzemiosło na bardzo wysokim poziomie

42 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM SŁOWIŃSKIM
KOBIETY DYKTATORÓW

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

MUNDIAL W ROSJI

52 ROZMOWA Z JACKIEM GMOCHEM
NIE PRZEGRAĆ PIERWSZEGO MECZU

56 ŁUKASZ MAJCHRZYK
PIŁKARZE W PORTFELU

OPINIE

60 ELŻBIETA MORAWIEC
GDZIE JEST „NARÓD"?
18 milionów biernych

62 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WŁADCY HAŁASU

64 KRYSTIAN KRATIUK
KOMUNIA DLA KAŻDEGO?

67 SZEWACH WEISS
BRIT MILA MALUTKIEGO ARIEGO LEIBA STAMBLERA

HISTORIA

68 PIOTR SEMKA
KARL-MARX-SHOW
Wielkie świętowanie 200. urodzin komunistycznego bożka

ŚWIAT

74 TERESA STYLIŃSKA
WYBORY OSTATNIEJ SZANSY
Erdoğan – władca absolutny?

76 CEZARY GMYZ Z BERLINA
MIECZ W SERCE MERKEL

78 ROZMOWA Z MARTHĄ SOTO, KOLUMBIJSKĄ DZIENNIKARKĄ
NARCOS TO NIE WSPÓŁCZESNA KOLUMBIA

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
ŚMIECIOWE PRAWO
Co się zmieniło w gospodarce odpadami

86 JACEK PRZYBYLSKI
POMÓC POLAKOM OSZCZĘDZAĆ

O ZDROWIU

89 KATARZYNA PINKOSZ
CZAS NA ZMIANY
Onkologia 2018

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ (12), WARZECHA (13), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (66), ZYCHOWICZ, KOPER (72), KOWALCZUK (81), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (95), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl acf664e4b9

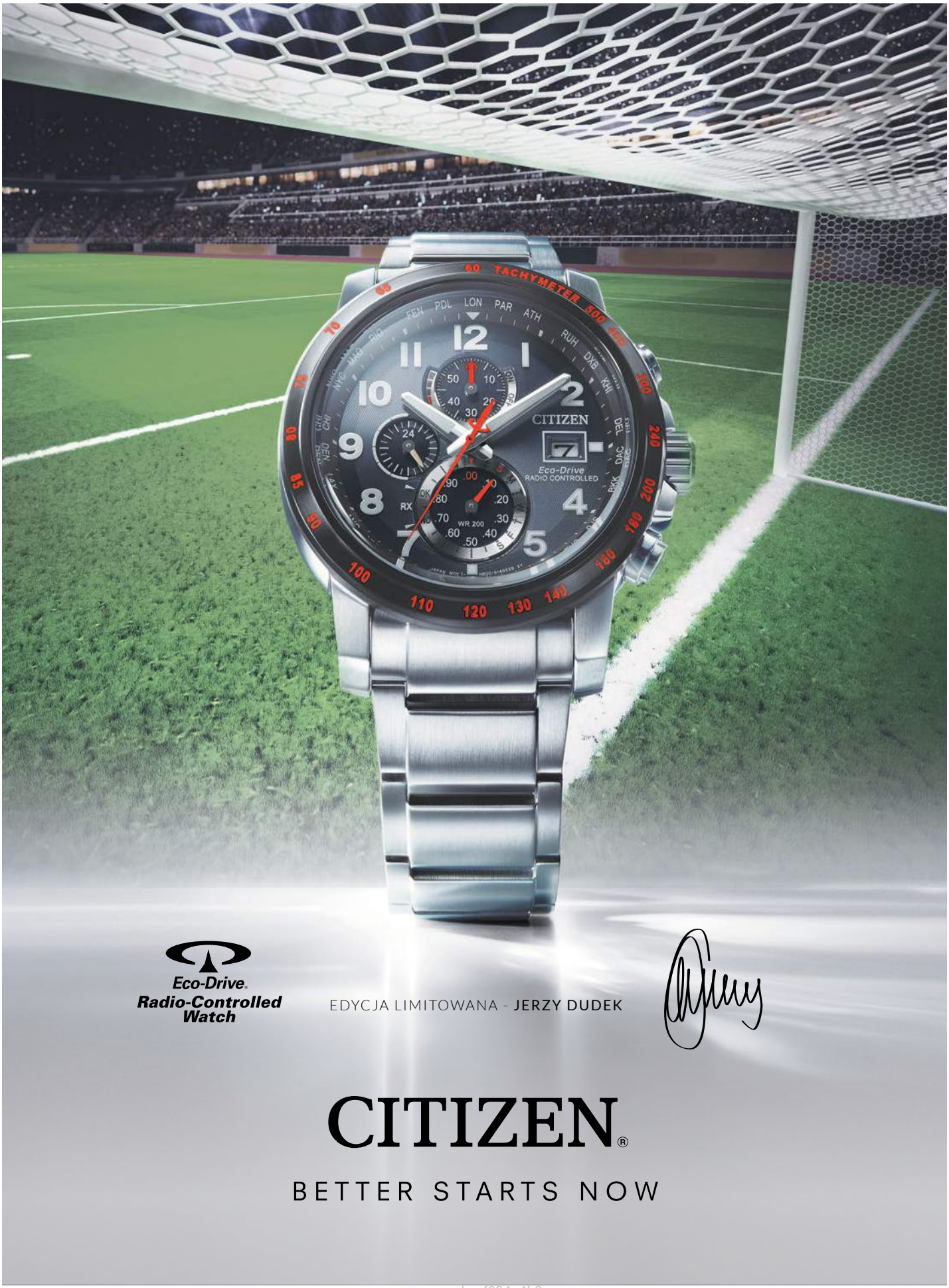

eprasa.pl acf664e4b9

PATRONAT DO RZECZY

Weterani wystartowali

W piątek w Stanach Zjednoczonych ruszył rowerowy „Rajd Pamięci 44” organizowany także pod patronatem „Do Rzeczy”. Przez 44 dni trzech weteranów misji w Afganistanie – Michał Paćko, Adam Lewkowski i Sebastian Stępniak – pokona na rowerach 5800 km, odwiedzając 44 stany, w których będą opowiadać o polskim udziale w wojnie w Afganistanie. Chcą w ten sposób upamiętnić i uczcić 44 polskich żołnierzy, którzy ponieśli śmierć w trakcie trwającej kilkanaście lat misji wojskowej w Afganistanie.

– Chcemy mówić Amerykanom tam, na miejscu, o polskim udziale w operacjach w Iraku czy w Afganistanie. O tym, że nie tylko oni tam ginęli, że my też zapłaciliśmy swoją cenę – mówi nam Michał Paćko. Nasi żołnierze odbędą ponadto cykl spotkań, m.in. z Polonią i amerykańskimi weteranami. Zapalą też znicze na grobach amerykańskich żołnierzy.

Organizatorem rajdu jest Dowództwo Generalne RSZ, a polskich weteranów sprzętem kolarskim i strojami wsparł Polski Związek Kolarski. – Kolarstwo było związane z polskim wojskiem, w czasie Bitwy Warszawskiej 1920 r. to kolarze przewozili meldunki i rozkazy na najbardziej niebezpiecznych odcinkach. Chcemy dołożyć swoją cegiełkę do upamiętnienia naszych żołnierzy, którzy w interesie naszej ojczyzny przelali krew także poza granicami kraju – mówi „Do Rzeczy” Andrzej Domin, wiceprezes PZKOL. ©℗ ***(ww)***

PREZENTACJA KSIĄŻKI MACIEJA PIECZYŃSKIEGO

Okupanci, kolonizatorzy, faszyści, niewdzięczni barbarzyńcy – taki obraz Polaków kreślą media i politycy z Rosji, Ukrainy oraz Białorusi. O tym pisze w swojej książce pt. „Jak nas piszą cyrylicą” dziennikarz „Do Rzeczy” Maciej Pieczyński. Częścią publikacji są rozmowy z takimi postaciami jak Wołodymyr Wjatrowycz, Władimir Żyrinowski czy Aleksander Dugin. 22 czerwca o godz. 18 w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Szczecinie przy al. Wojska Polskiego 2 odbędzie się spotkanie autorskie z Maciejem Pieczyńskim, w ramach festiwalu kultury słowiańskiej Słowianalia. ©℗ ***(mp)***

PATRONAT DO RZECZY

ENERGIA PRZYSZŁOŚCI

Pod hasłem „Energia przyszłości” w najbliższy piątek 22 czerwca Instytut Libertatis organizuje w Warszawie konferencję poświęconą kluczowym projektom paliwowo-energetycznym.

W dyskusji organizowanej pod patronatem „Do Rzeczy” wezmą udział przedstawiciele Ministerstwa Energii, Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, największych przedsiębiorstw branży paliwowo-energetycznej oraz świata nauki, a ich ocenie i analizie poddane zostaną m.in. kluczowe projekty energetyczne realizowane obecnie w resorcie i państwowych spółkach.

Konferencja rozpocznie się w piątek 22 czerwca o godz. 9 w warszawskim Centrum Konferencyjnym Golden Floor przy ul. Chłodnej 51. ©℗ ***(ww)***

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Marcin Berłowski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Stefan Maszewski/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — FIRMA RODZINNA POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 90 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl acf664e4b9

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gra do jednej bramki

Deutsches Polen-Institut (DPI) powstał w niemieckim mieście Darmstadt w 1980 r. z inicjatywy rządów Hesji i Nadrenii-Palatynatu. Polska był wówczas na czołówkach gazet. Niemcy były wtedy zaciekawione postacią Jana Pawła II, uważnie śledziły rewoltę Solidarności i po uznaniu granic na Odrze i Nysie rozpocząć się mógł proces pojednania. Duszą całego przedsięwzięcia był Karl Dedecius, niemiecki tłumacz polskiej literatury. Słusznie wskazywał on, że procesowi normalizacji relacji musi towarzyszyć poznanie polskiej kultury i historii.

W ciągu 38 lat instytut stał się instytucją. Organizował ciekawe imprezy, wydawał liczne publikacje i realizował projekty badawcze dotyczące polskiej historii, kultury oraz stosunków polsko-niemieckich w ciągu stuleci. Problemy pojawiły się, gdy po 2015 r. obecny dyrektor DPI Dieter Bingen zaczął się wypowiadać po jednej stronie sporów politycznych w Polsce. Przykładowo w marcu 2017 r. skrytykował w wywiadzie dla „Deutsche Welle" brak poparcia rządu RP dla reelekcji Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej. Ostry język, wyraziste opinie. Dieter Bingen, jako szef instytucji polsko-niemieckiej mającej budować porozumienie polsko-niemieckie, ewidentnie wyszedł wtedy ze swej roli.

Ostatnio instytut w Darmstadt wydał książkę Pawła Machcewicza „Bitwa o wojnę. Muzeum Drugiej Wojny Światowej w Gdańsku. Powstanie i spór". Jest to niemiecka wersja wydanej pół roku temu książki byłego dyrektora muzeum w Gdańsku, która w polskim wydaniu nosiła tytuł „Muzeum".

Książka Machcewicza zawiera stronniczą i niekiedy niezwykle agresywną własną wersję sporu o placówkę w Gdańsku. Wiem coś o tym, bo od samego powstania projektu założeń ekspozycji polemizowałem w tej sprawie z Machcewiczem. Dzisiaj nie jest on już szefem muzeum, a ja przyjąłem zaproszenie do rady muzeum skierowane przez nowego szefa placówki Karola Nawrockiego.

Nie kwestionuję prawa Machcewicza do zaprezentowania swojej wizji sporu. Gdy jednak instytut w Darmstadt wydaje bardzo stronniczy opis dyskusji – jako jedyną publikację na ten temat – trudno nie reagować. Przecież DPI mógł pokusić się o zbiór tekstów prezentujący racje obu stron sporu. Tak się nie stało. Na podobnej zasadzie można wydać książkę Andrzeja Rzeplińskiego na temat sporu o Trybunał Konstytucyjny, a krajobraz polskiej sceny politycznej po 2015 r. może opisać jakiś polityk z Platformy. Tylko co powie to niemieckiemu czytelnikowi o racjach obu stron?

Wiele razy słyszymy z ust polityków RFN o cudzie pojednania. Ostatnio usłyszeliśmy te słowa od prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera. Dobrze byłoby, gdyby to pojednanie opierało się na równym dystansie niemieckich instytucji, które powołano do badania polskich spraw, do różnych stron polskich sporów. Inaczej powstaje wrażenie gotowości do rozmowy z jednymi przy odwracaniu się plecami do innych. Z ulubieńcami DPI po jednej stronie, ze szwarcharakterami po drugiej. A to już nie dialog, tylko gra. ©℗

FOT. VINCENT KESSLER/REUTERS/FORUM

TIMMERMANS LECI DO MOSKWY...

– Polecę do Moskwy w poniedziałek, aby kontynuować dialog z polskim rządem – zapowiedział w zeszłym tygodniu wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans, występując przed Parlamentem Europejskim w ramach debaty na temat praworządności w Polsce. Dopiero po chwili, gdy zwrócono mu uwagę, że nie musi już latać do Moskwy, by rozmawiać z polskim rządem, przeprosił za przejęzyczenie.
– Warszawa, nie Moskwa. Przepraszam. Nigdy wcześniej to mi się nie przytrafiło – oznajmił. W Warszawie ma się spotkać m.in. z premierem Polski. ©℗ *(jap)*

eprasa.pl acf664e4b9

MUNDIAL OKIEM JASTRZĘBIA

Będziemy to mieć!

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Na początku krótko wytłumaczę, dlaczego akurat ja będę pisać o mistrzostwach świata w piłce nożnej w Rosji. Otóż dlatego, że ja się najlepiej na tym znam. Mam niezwykle silne społeczne poparcie, bo moje zdanie „ja się najlepiej na tym znam" wypowiada z pełnym przekonaniem zdecydowana większość samców w Polsce (zastanawiałem się przez chwilę, czy napisać „mężczyzn", czy „samców", ale to jednak zdecydowanie samcza kwestia). Widzę ich wszystkich dokładnie oczyma duszy, gdyż wszyscy oni są moimi serdecznymi przyjaciółmi. Taką moc ma piłka nożna (do magicznej mocy piłki w kontekście mundialu 2018 będziemy wracać). Widzę więc samców, jak siedzą przed telewizorami, niektórzy mają w ręku piwo, inni z kolei piwo, reszta ściska kufle, a w sercach płonie wiara dziecka, że będziemy to mieć! Że wreszcie będziemy mieć nieosiągalne, wymarzone 36,8 cm, i to ze szczerego złota. Puchar mistrzostw świata ważący ponad 6 kg, wykonany z 18-karatowego kruszcu, ma bowiem taką wyśnioną wysokość. Ech…

A teraz odrobinę poważniej. Poskaczę trochę po tematach i punktach widzenia. Piłka nożna to sport, polityka, religia i skrajne emocje. Oglądałem razem z państwem ceremonię otwarcia mistrzostw świata na Łużnikach i były emocje. Było wszystko to, czego chciał Putin. Przepych, imperium i rosyjska dusza. Świat zachłyśnięty widowiskiem nie pamięta o aneksji Krymu, zestrzeleniu samolotu pasażerskiego, wojskowym wsparciu dyktatora Syrii… Może to dobrze? Liczy się przecież sport. Odwieczny duch szlachetnej rywalizacji. Tak, w tych słowach pobrzmiewa nuta ironii. Może ta ironia jest tu mimo wszystko nie na miejscu? Magiczna moc mistrzostw świata i piłki polega przecież na tym, że złe rzeczy na czas święta wstrzymuje i bierze w nawias. Daje nam oddech. Innego nie będziemy mieć nigdy. I na początek ta Rosja, do której mamy stosunek ambiwalentny w najlepszym wypadku, strzeliła Arabii Saudyjskiej pięć bramek, a przecież to sukces Staszka, naszego trenera Rosji, wcześniej trenera Legii Warszawa, z którą zdobył mistrzostwo Polski. Przy dziennikarzach z całego świata trener Rosji, przyjaciel Polaków, mówi: „Legia raz, Legia na całe życie" i dziękuje naszym kibicom. No i jak się nie cieszyć z sukcesów Staszka? Pokręcona ta piłka.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Gdyby na chłodno, ale tak bez piwa i czipsów, ktoś powiedział nam, że 22 mężczyzn uganiających się za odbijającym się przedmiotem po wielkim trawniku jest w stanie zatrzymać kulę ziemską, przecież byśmy nie uwierzyli. A jednak! Jeszcze kilka dni temu oczy całej Polski zogniskowane były na barku Kamila Glika. Czy bark pozwoli wyjechać naszemu obrońcy na mundial, czy też nie? Pozwolił, ale swoje się wymartwiliśmy. To zainteresowanie barkiem Kamila to oczywiście szaleństwo. Tak, to cudowne szaleństwo. Dobrze, że się martwiliśmy naszym chłopakiem. A kto ma się nim martwić? No może jeszcze trochę Francuzi, ale nasze martwienie się jest o niebo szlachetniejsze. A zatem piłka nożna pozwala nam pozytywnie żyć cudzym życiem. Na przykład życiem Roberta Lewandowskiego, idola wszystkich chłopaków. Jeden trener miał podobno mówić, że to drewno, a to płynna platyna. A wszystkie bramki Roberta to nasze bramki, a wszystkie jego zwycięstwa to nasze zwycięstwa. Bo jest częścią naszej drużyny, w jakimś sensie jest nami.

Dzięki mistrzostwom świata w Rosji sporo się uczę. Nie ja jeden, przecież trzeba trochę błysnąć przed kolegami i nie dać się zaskoczyć. Senegal biedny, ale niebezpieczny dla nas, a z Kolumbią łatwo nie będzie, niby Japonia najsłabsza w naszej grupie, ale lekceważenie to krok do porażki. Dowiedziałem się, że według „Forbesa" Lionel Messi zarobił w ciągu ostatnich 12 miesięcy 111 mln dol., a Ronaldo tylko 108 mln. Żeby mu na coś nie zabrakło... Wiem, że handel ludźmi jest zły, ale jak Neymara kupuje się za ponad 900 mln zł, to przecież nikt złego słowa nie powie. Patrzę, jak to 900 mln biega po boisku, i przyznam, wstydu nie ma. Mistrzostwa świata… Tymczasem do wyjścia na boisko szykuje się nasza drużyna. Najlepsi z najlepszych. Zawsze nasi. Gardła w pozycję zdzierającą, proszę! Jedziemy! © ℗

Autor był redaktorem naczelnym „Super Expressu", obecnie jest prezesem firmy R4S.

RAPORT „MUNDIAL 2018" NA STR. 50–57.

eprasa.pl acf664e4b9

WYJĄTKOWE KOSZULKI

NIE BĘDĘ PRZEPRASZAĆ ZA POLSKĘ

DO RZECZY RED IS BAD

99 ZŁ OFERTA LIMITOWANA

ZAMÓW TERAZ A W PREZENCIE OTRZYMASZ KOLEKCJONERSKĄ POCZTÓWKĘ Z REPRODUKCJĄ PIERWSZEJ OKŁADKI TYGODNIKA „DO RZECZY", SYGNOWANĄ PODPISAMI JEGO PUBLICYSTÓW.

WEJDŹ NA REDISBAD.PL
ZAMÓW TERAZ

TOWARZYSZ KIM DZONG UN WCHODZI NA SALONY

„Spotkanie stulecia". Takim mianem bezpośrednie rozmowy prezydenta Korei Północnej Kim Dzong Una oraz przywódcy Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa – do których doszło 12 czerwca w Singapurze – określiła komunistyczna propaganda z Północy. I rzeczywiście 34-letni przywódca jednej z najbardziej okrutnych dyktatur na świecie ma się z czego cieszyć. Został bowiem pierwszym północnokoreańskim dyktatorem, który spotkał się z urzędującym prezydentem USA, nie oferując w zamian niemal żadnych konkretów. Kim obiecał, że będzie stanowczo angażował się w proces denuklearyzacji Półwyspu Koreańskiego, w zamian za co usłyszał, że Trump zapewni Korei Północnej gwarancje bezpieczeństwa. Chociaż konkretów było niewiele, zadowolenia nie krył po powrocie do Ameryki również Donald Trump, podkreślając, że nie ma już nuklearnego zagrożenia ze strony Korei Północnej. „Wszyscy mogą teraz czuć się o wiele bezpieczniej" – napisał na Twitterze.

Główny problem polega na tym, że przywódcy Korei Północnej od lat 90. ubiegłego wieku podejmowali wiele różnych zobowiązań, z których potem się nie wywiązywali. Szczyt Kima i Trumpa spotkał się więc z ostrą krytyką ze strony polityków Partii Demokratycznej, którzy zdali się zapomnieć, jak bardzo za rządów Baracka Obamy cieszyli się ze wznowienia relacji dyplomatycznych między USA a Kubą, mimo represyjnej natury tego komunistycznego reżimu.

Nawet sceptyczni komentatorzy przyznają, że choć na szczycie więcej było pięknych deklaracji niż konkretów, to spotkanie Kim Dzonga Una i Donalda Trumpa może być ważnym pierwszym krokiem w kierunku rozbrojenia Korei Północnej i zapewnienia pokoju w tym regionie. A jeżeli Trumpowi rzeczywiście uda się skłonić reżim w Pjongjangu do porzucenia broni atomowej, to nie tylko zwiększy szanse Partii Republikańskiej na zwycięstwo w listopadowych wyborach do Kongresu, lecz także będzie miał również ogromne szanse na Pokojową Nagrodę Nobla.

Jak już pisaliśmy na łamach „Do Rzeczy", polskie władze starały się, aby do spotkania Kim Dzong Una z Donaldem Trumpem doszło w Warszawie. Amerykanie byli nawet tym wstępnie zainteresowani, ale ostatecznie wybrali Singapur. ***(jap)*** © ℗

FOT. GETTY IMAGES

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Afereczka, aferunia

Nie sposób wyliczyć w krótkim tekście, jak wiele zrobiły już media totalnej opozycji dla zdeprecjonowania, a wręcz ośmieszenia pojęcia „afera". „Aferami" ogłaszano z pompą i zadęciem nie tylko kłopoty z płynnością tego czy innego SKOK, w czym jeszcze od biedy można było znaleźć czyjąś winę (acz polegającą na złym zarządzaniu, nie na nadużyciach), ale nawet to, że ktoś w SKOK wziął na ogólnie przyjętych zasadach kredyt. Czołowe media obracały na wszystkie strony słowo „afera" tudzież przymiotniki w rodzaju „straszna", „kompromitująca" i, oczywiście, „PiS-owska", cytując enuncjacje, że zanim prezydent został prezydentem, korzystał jako poseł z darmowych biletów PKP i LOT, albo że w należącym do NSZZ „Solidarność" hotelu jej funkcyjni działacze mają zniżki.

Co wynika z tego listu? Że prezes GetBack nie znał ani premiera, ani prezesa i nie miał z nimi kontaktu

Wydaje się, że więcej już w dziedzinie znieczulania Polaków na słowo „afera" zrobić nie można. A jednak! „Gazeta Wyborcza" z właściwą sobą emfazą zapowiedziała, że ujawni straszliwy, kompromitujący premiera Morawieckiego dokument. I ujawniła… „ukrywany przez rząd" list, o którym miesiąc temu pisał, tyle że bez bombastycznych komentarzy, „Dziennik Gazeta Prawna". List szefa bankrutującej firmy GetBack, w którym prosi o jej ratowanie, powołując się m.in. na to, że firma sponsorowała różne prawicowe przedsięwzięcia. Gazeta pierwotnie twierdziła, że list ten „ukrył" premier, potem ogłosiła, że był on adresowany do Jarosława Kaczyńskiego… W sumie mniejsza o to. Bo co wynika z tego listu? Że prezes GetBack NIE ZNAŁ ani premiera, ani prezesa i nie miał z nimi kontaktu, nawet pośredniego. Gdyby miał, nie pisałby rozpaczliwych listów, tylko – jak za rządów PO-PSL – spotkał się, z kim trzeba – u Sowy albo na jakimś cmentarzu. Rzekoma afera wystawia więc dobre świadectwo szczelności obecnego rządu, szczególnie w połączeniu z tym, że adresat „ukrywany" list najwyraźniej wrzucił do kosza i żadnej pomocy firmie GetBack nie udzielił.

Jednak „Wyborcza" wie, co robi – w końcu jest stargetowana na chorych z nienawiści idiotów, którzy czytają same tytuły i antypisowskie komentarze. A ci (zapraszam do lektury „Posubotnika") uwierzą w „liczne afery PiS" równie gorąco, jak wierzą w „wielokrotne łamanie konstytucji" – z pogardą dla jakichkolwiek faktów. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Prawie jak mąż stanu…

Rodzimym gwiazdom mainstreamowego dziennikarstwa umknęło wydarzenie, do którego doszło kilkanaście godzin po zakończeniu szczytu G7. Szczytu, który okazał się porażką tym większą, że niemal równocześnie z politycznymi deklaracjami o konstruktywnych rozmowach, porozumieniu etc. wybuchł bardzo ostry spór między prezydentem Donaldem Trumpem a premierem Kanady Justinem Trudeau. Relacje UE – USA od dłuższego czasu są – delikatnie mówiąc – napięte, zapewne dlatego Donald Tusk podążający zawsze za stadem uznał, że zrobi dobrze kanadyjskiemu premierowi i dziękując za organizację G7, ogłosił na Twitterze, że „dla Justina Trudeau jest specjalne miejsce w niebie".

Sęk w tym, że przewodniczący Rady Europejskiej zrobił to w języku angielskim, przy czym ten nasz sopocki poliglota użył zwrotu, który w krajach anglosaskich zazwyczaj stosowany jest grzecznościowo w mowach pogrzebowych i kondolencjach. Bezbłędnie wychwycili to obserwujący internetowe wywody Tuska zachodni dziennikarze. „On jeszcze nie umarł" – zakpił korespondent greckiej telewizji Thomais Papaioannou.

Błahostka? Mniej więcej w takim samym stopniu jak kwestia broszek Beaty Szydło, butów Jarosława Kaczyńskiego czy słynnego „Atlasu kotów", którymi polskie i europejskie media potrafiły żyć całymi dniami. O tyle jednak istotniejsza, że świetnie pokazująca, w kontekście innych wielu podobnych mniej lub bardziej spektakularnych gaf przewodniczącego RE, jak bardzo kreowany na polityka europejskiego formatu Tusk jest „prawie". Prawie jak mąż stanu. Prawie jak przywódca.

„Prawie" nie wystarcza już nawet nad Wisłą. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Biedne dzieci i zły Warzecha

Przez jego słowa dzieci jeszcze długo będą bite" – napisała pewna pani na portalu Mamadu.pl. „Jego" słowa, czyli moje, a dokładnie przez to, co napisałem w „Tygodniku TVP" o klapsach. Teza tekstu była taka, że za klapsy karać rodziców się nie powinno, bo są okoliczności, gdy klaps bywa konieczny (oby jak najrzadziej), lewica zaś, zrównując go z „biciem", a nawet „maltretowaniem" dzieci, tak naprawdę walczy z ideą władzy rodzicielskiej jako takiej.

Dla lewicy kwestia wywrócenia hierarchii w rodzinie jest jednym z najważniejszych zagadnień

Może powinienem się cieszyć. Jeśli przez moje słowa „dzieci jeszcze długo będą bite", to znaczy przecież, że mam jakąś cudowną moc sprawczą. Niestety, nie zawsze. Piszę na przykład od lat, że podatki powinny być niższe – i nic.

W tym przypadku przekonałem się, że uderzyłem w czuły punkt: dla lewicy kwestia wywrócenia hierarchii w rodzinie i zrobienia z dziecka równorzędnego partnera dla dorosłych (a tym samym zniszczenia idei dyscypliny i prawa do wychowania zgodnie z własnymi poglądami) jest jednym z najważniejszych zagadnień. Kwestia karania za klapsy to tylko początek tej drogi.

Lewica jednak nie toczy w tej sprawie żadnej dyskusji. Wśród głosów polemicznych – a były to nie tylko wpisy w sieci, lecz także kilka większych tekstów – nie było żadnego, który nie posługiwałby się zdartymi schematami i nie manipulował moimi tezami. Zestaw „argumentów" był zawsze ten sam: „klaps to porażka", „z dzieckiem należy rozmawiać", „każdy klaps to bicie", a do tego urokliwe ad personam – albo Warzechę codziennie lali rodzice, albo on codziennie leje swoje dziecko. Oczywiście większość komentujących powtarza tylko bezmyślnie gotowe klisze, podrzucane przez kręgi świadomych swoich celów ideologów.

Wniosek jest uniwersalny: tam, gdzie chodzi o sprawy dla lewicy kluczowe – kształt rodziny, walka z indywidualnym transportem, „prawa" zwierząt, polityczna poprawność, LGBT (i jakie tam jeszcze są literki), ekoreligia – chce ona stworzyć wrażenie, że nie ma już o czym rozmawiać, sprawy są rozstrzygnięte, a kto mówi co innego, ten oszołom. Otóż – nie. Nic nie jest ani zamknięte, ani rozstrzygnięte. Trwa walka o normalność.

Ja zaś mogę mieć tę satysfakcję, że od teraz postępowi rodzice, którzy nie uznają klapsów, chcąc zdyscyplinować swoje dzieci, będą je straszyli rymowanką: „Umyj rączki, bo jak nie, przyjdzie Warzecha i cię zje". ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Boty to my

Zacznę bez przydługich wstępów, ponieważ tweet, który za chwilę przeczytacie, jest wystarczająco szokujący. „Śpicie jeszcze? To się obudźcie. Mamy mocno aktywne boty w kampanii na prezydenta Warszawy – wszystkie wspierają Patryka Jakiego i uderzają w Rafała Trzaskowskiego" – ujawniła Anna Mierzyńska, była działaczka Platformy, a obecnie całkowicie niezależna ekspert od social media.

Dzwony, w które zabiła, musiały się odbić mocnym echem w sztabie Rafała Trzaskowskiego, ponieważ błyskawicznie rozpoczęły się botowe czystki. A gdy na jaw wyszły masowe bany, po chwili refleksji przyszła odpowiedź. „Hej chłopaki, wiem, że nie możecie beze mnie żyć. Na chwilę was na TT zostawić... Sorry, nie widziałem psychodramy ;) byłem wśród uśmiechniętych ludzi na #paradarówności. Sukcesywnie automatycznie blokujemy hejterów i boty. Po interwencjach parę osób przywróciliśmy. Głowa do góry J" – napisał kandydat PO na prezydenta Warszawy.

Dłużny nie pozostał mu za to młodszy kolega ze stolicy. „Rafał Trzaskowski najpierw mnie rano bez powodu zbanował, a teraz znowu mogę podziwiać jego piękne tweety. Chyba wolałem, jak byłem zbanowany" – odparł Jan Śpiewak, dodając kilka dosyć wyszukanych hasztagów w stylu: #arogancjajakzapoznejkopacz, #nicnierozumiecie, #byliscieglupi.

Ponieważ wielu użytkowników określonych jako automatyczne konta okazało się ludźmi, a naprędce powstała akcja #ToMyBoty, w której na potwierdzenie człowieczeństwa publikowali oni swoje zdjęcia. „Jak mnie to bawi, kiedy nagle opisane przeze mnie konta botowe odzyskują normalną aktywność, żeby można było mi udowodnić, że napisałam bzdury. Drodzy zmieniający ustawienia od wczoraj: podpowiem Wam tylko, że takie botowo-»ludzkie« konta też mają nazwę: cyborgi" – wykombinowała jednak Mierzyńska.

„I jeszcze jedno nt. akcji #ToMyBoty. Jak wiadomo, brali w niej udział przede wszystkim zwolennicy Patryka Jakiego. Ciekawe więc, że najwięcej tweetów pochodzi z Sanoka! Na II m. Kraków, dopiero na III – Warszawa. Ważne info dla Rafała Trzaskowskiego i pożyteczna akcja" – uzupełniła swoje ustalenia ekspert. Faktycznie ważne info. Panie Rafale, jak na urlop, to nie do Sanoka. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. PAWEŁ ODOMADA

TANIA PODRÓBKA

Uwaga, grozi nam nowa Natalia Siwiec! Podczas towarzyskiego meczu Polski z Litwą na stadionie objawiła się nowa, kuso ubrana kibicka. Karolina Emus jest łudząco podobna do Natalii Siwiec i bardzo chciałaby powtórzyć jej karierę. Przypomnijmy: Siwiec wdarła się do show-biznesu jako Miss Euro 2012. Co ciekawe, Karolina jest dobrą znajomą Natalii. Przynajmniej tak twierdzi. – Kiedyś byłyśmy sąsiadkami, bo obie mieszkałyśmy na Wilanowie. Kiedy wyjeżdżała, zostawiała u mnie swojego pieska – ujawniła. Karolina nie kryje też, że pozazdrościła sąsiadce popularności i postanowiła pójść za jej przykładem. – Natalia Siwiec miała zdjęcia na Euro i tak sobie pomyślałam, że fajnie byłoby zaistnieć w show-biznesie, szczególnie gdy interesuję się piłką nożną – wyznała Karolina. – Przyglądałam się karierze Natalii i pozytywnie jej zazdroszczę. Nie wiem, co ona powiedziałaby na temat mojej ewentualnej kariery w show-biznesie, ale chyba nie poczuje konkurencji – dodała. Zaczynamy doceniać Natalię Siwiec. Jak widać (i słychać), może być o wiele gorzej. Pani Natalio, proszę nie dać się wygryźć!

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

O ASERTYWNOŚCI

Media wciąż żyją skandalem, do którego doszło w kuluarach festiwalu w Opolu. Otóż Edyta Górniak spoliczkowała Donatana, z którym prezentowali na scenie wspólną piosenkę. Do incydentu doszło podczas pozowania na ściance, gdy Donatan złapał Edytę za pośladek. – Są sytuacje, których nie można ignorować. Mam nadzieję, że ten gest wyznaczy granice, których nie można przekraczać – skomentowała piosenkarka. Najlepsze było jednak tłumaczenie Donatana, który przestraszył się całego zamieszania. Na swoim Facebooku napisał, że to on czuje się wykorzystany, bo próbuje się teraz zrobić z niego wroga publicznego. A przecież on tylko – uwaga, uwaga! – „celowo pobudził ludzi do bardzo ciekawej i słusznej dyskusji", dodając, że chciał w ten sposób „nagłośnić ważny problem i uczyć asertywności". Skoro łapiąc za tyłek, chciał uczyć kobiety asertywności, to przyłapany na próbie gwałtu tłumaczyłby, że chciał je uczyć samoobrony?! Jednak – jak to mawiają – nie ma tego złego! Mamy nadzieję, że po tej historii więcej już nie usłyszymy ani Donatana, ani jego twórczości. Co akurat będzie z korzyścią dla polskiego rynku muzycznego.

PLASTIK FANTASTIK

Dostało się ostatnio Martynie Wojciechowskiej, znanej podróżniczce, oj dostało. Martyna lubi w publicznych wypowiedziach podkreślać, jak bardzo ceni naturę i jak dba o środowisko. – Na co dzień żyję ekologicznie, bo ważne jest to, żeby dokonywać świadomych wyborów i minimalizować nasz szkodliwy wpływ na środowisko – mówiła nie tak dawno. Tymczasem na swoim Facebooku zamieściła wpis o tym, że woda w plastikowych butelkach jest bardziej ekologiczna od tej w szklanych. „Plastik nie taki zły" – oznajmiła Wojciechowska. „W sprzedaży masowej to właśnie butelki plastikowe sprawdzają się lepiej niż szkło. Transport butelek plastikowych generuje mniejszą ilość CO_2. Jedna plastikowa butelka o wadze 28 gramów może pomieścić w sobie aż 1,5 litra napoju. Zapakowanie takiej samej pojemności w szkło to wielokrotnie więcej gramów tego surowca. W rezultacie samochód jednorazowo przewiezie więcej produktu, który znajduje się w opakowaniu PET – przekonywała. Fani uznali, że wpis ma związek z tym, iż Martyna została twarzą jednej z marek sprzedających wodę mineralną. W plastiku. W komentarzach oburzeni fani pisali, że Wojciechowska się sprzedała i wypisuje bzdury. „Martyna, oszalałaś czy co?" – dopytywali. Niewdzięczni ci fani, nie rozumieją, że bycie eko wymaga nie lada poświęceń. I nie lada pieniędzy.

NAZWISKO I STATUS

Paulina Smaszcz-Kurzajewska wzięła udział w gali charytatywnej fundacji Rycerze i Księżniczki i postanowiła opowiedzieć o tym, jak ważne jest, by celebryci angażowali się w pomoc innym. – Bardzo spodobał mi się pomysł uaktywnienia celebrytów, gwiazd, które pojawiają się na czerwonym dywanie i które swoim nazwiskiem i swoim statusem mogą pomóc w zbieraniu pieniędzy. Jestem bardzo dumna, bo Leszek Stanek, który jest ambasadorem fundacji Rycerze i Księżniczki, zaprosił do współpracy aż 120 gwiazd i zebraliśmy ponad 3 mln zł – opowiadała rozentuzjazmowana. Wszystko pięknie, ładnie, ale nam nie daje spokoju myśl, o ile większa mogłaby to być kwota, gdyby te wszystkie zaproszone gwiazdy wspierały tego typu akcje nie tylko „nazwiskiem i statusem", lecz także portfelem. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, co prawda odbyła się ostatnio Parada Równości, co niektórzy chcą wykorzystywać jako dowód, iż rzekomo nie żyjemy w żadnej dyktaturze, lecz nie dajcie się temu zwieść.

Jeszcze nigdy bowiem Parada Równości nie maszerowała w tak dusznej i nieprzyjemnej atmosferze. Nawet jeśli żadne brunatne bojówki nie próbowały jej rozpędzić, to można było czuć, iż w każdej chwili coś podobnego mogłoby się wydarzyć. Uczucie niepokoju towarzyszyło nam więc przez cały czas, a po powrocie do domu, gdzie mogliśmy zrzucić z twarzy przybraną na tę okazję roześmianą maskę, oddaliśmy się płaczowi pod stołem w obawie, iż zaraz przyjdzie ksiądz i siłą nas zaciągnie na reedukację do Lichenia.

Tak więc Parada przeszła, ale trzeba się zastanowić, co zrobić, iżby w przyszłym roku obyło się bez takich aktów bezobjawowej agresji, która jest tym straszniejsza, iż nie można jej zobaczyć i w porę na nią zareagować.

Prawdę mówiąc, nie wiemy dokładnie, o co chodzi protestującym osobostudentom. Niestety wiek studencki przekroczyliśmy już pewien czas temu, chociaż of kors nadal z sympatią myślimy o tym środowisku.

Jesteśmy jednak zdania, iż w XXI w. w środku Europy protesty mają przyjmować formy jak najbardziej komfortowe dla protestujących. Dlatego też naszym zdaniem studentom powinien zostać zapewniony catering, uwzględniający różne najmodniejsze diety i nietolerancje pokarmowe, najnowsze gry planszowe oraz konsole, nielimitowany dostęp do Wi-Fi, występy znanych muzyków na żywo oraz wsparcie znanych polityków zjednoczonej opozycji.

To już nie te czasy, kiedy protesty wiązały się z niedogodnościami i dyskomfortem. Obecnie sztuka prowadzenia efektywnego protestu łączy się z pozostaniem w strefie komfortu i brakiem rezygnacji z wegańskiej diety. Of kors protestujący studenci powinni dostać automatyczne magisterium albo i doktorat, iżby nie musieli po zakończeniu protestu nadrabiać nauki, która – jak wiadomo – jest jedynie dodatkiem do studenckiego lajfstajlu.

Jaka żenada, że osoboduda z osobożoną chodzi jeść do popularnej sieciówki serwującej panierowane zwłoki osobokurcząt. Nie mamy, niestety, postępowego prezydenta, który by jasno pokazał, iż sprzeciwia się mięsożerstwu i nie ma zamiaru akceptować istnienia miejsc, w których można zjeść mięso.

Marzy nam się prezydent, którego dałoby się przyłapać z osobomężem w wegańskim barze sałatkowym, jak zamawia jarmuż z rukolą, a do picia smoothie ze szpinaku i z buraka.

Nie może być też tak, iż osoboduda nadal będzie się pojawiał w podobnych miejscach. Prezydent powinien być neutralny światopoglądowo i nie pokazywać się w restauracjach, które są w stanie definiować jego gust żywieniowy. Czyli w ogóle prezydent najlepiej powinien nie jeść, a przynajmniej nie afiszować się z jedzeniem publicznie!!!

Podobno podczas spotkania Trump – Kim padły mocne słowa na temat łamania konstytucji i praworządności w tym kraju. Kim w dodatku był wyraźnie poruszony ustawą negującą Holokaust, a Trump krytycznie wypowiedział się o poziomie bezpieczeństwa na polskich stadionach. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl acf664e4b9

dwaj panowie g

Nie zdziwiły nas liczne konsultacje premiera Mateusza z Kaczorem Dyktatorem zaraz po wyjściu tego ostatniego ze szpitala. Wiewiórki mówią, że notowania Mateusza rosną, bo zaimponował prezesowi pracowitością. Nie dość, że premieruje, to jeździ po kraju jak każdy inny działacz PiS i rozmawia z ludem. A to klucz do sukcesu, zdaniem Kaczora Dyktatora, który za grosz nie ufa mediom. I my go rozumiemy.

Ponieważ sprawa leczenia Wysokiego Kolana wciąć budzi niezwykłe emocje, postanowiliśmy sprawdzić, jak to jest z legendami o dygnitarskich luksusach w szpitalu przy Szaserów. Okazało się, że oddział VIP nie jest żadnym oddziałem, piętrem, skrzydłem ani nawet zakątkiem. „No to na czym polega jego luksusowość?" – zapytaliśmy Bardzo Ważnego Lekarza. Lekarz się zamyślił. I odpowiedział: „No… bo to są pokoje jednoosobowe". Nie mówi to nic nowego o Wysokim Kolanie, ale wiele o polskiej służbie zdrowia.

Krótki aneks do wieści o oglądaniu w szpitalu przez Kaczora Dyktatora głównie TVP Info. W szpitalu na Szaserów jest mniej pilotów niż telewizorów, więc to prawda, że nie każdy może swobodnie zmieniać kanały.

Wzrostowi notowań premiera Mateusza towarzyszy spadek notowań wicepremier Bełaty, której Wysokie Kolano wciąż nie może wybaczyć chryi z nagrodami, która zdaniem Kaczora Dyktatora była główną przyczyną spadku notowań PiS w sondażach. Co autorytatywnie potwierdza analizująca rzeczywistość dla prezesa frakcja profesorska.

Apropos frakcji profesorskiej. Mało kto wie, że prof. Waldemar Paruch oprócz tworzenia w rządzie Centrum Analiz Strategicznych pełni jeszcze inną ważną funkcję. Otóż przejął nadzór nad słynnymi obiadami czwartkowymi. Raz w miesiącu, jak za czasów Złego Donalda i Ewki Kopacz, do kancelarii premiera przybywają przedstawiciele wszystkich sondażowni i pokazują najnowsze wyniki, analizują i ekstrapolują. Oznacza to, że choć oficjalnie nie jest ministrem, prof. Paruch został Michałem Bonim nowego rządu.

Niestety, musimy i my dopisać coś do listy pytań referendum konsultacyjnego w sprawie konstytucji. Proponujemy takie: „Czy jesteś za tym, żeby do konstytucji wpisać powszechny obowiązek przejmowania się pomysłami prezydenta Andrzeja Sebastiana?". Wiemy, że nikt się nie przejmuje, ale wolelibyśmy się demokratycznie upewnić.

Wstrętnym przeciwnikom pomysłów Andrzeja Sebastiana przypominamy słowa prezydenta. „Zwracam się także do sił politycznych, by nie kalkulowały tego, że może referendum będzie nieważne z powodu zbyt niskiej frekwencji, tylko by zechciały zachęcać Polaków do aktywności także poprzez udział w referendum. Jest to kwestia budowania aktywności obywatelskiej, której zawsze Polsce będzie potrzeba" – powiedział prezydent. Nie, nie Andrzej Sebastian. Prezydent Bronisław Maria, kiedy ogłaszał swoje referendum.

Pamiętacie, że premier Mateusz przejął osobisty nadzór nad Orlenem i Lotosem? Nadzór jest tak ścisły, że nawet mecz Polska – Litwa premier z rodziną oglądał na Narodowym w loży Lotosu. Wyszedł dość szybko, więc nie był świadkiem rozpaczy gości, których w żałobie pogrążyło to, że bar w loży zamknięto już o godz. 21. To istotna zmiana, bo za poprzedniego prezesa Lotosu i poprzedniego nadzoru loża ta słynęła z hulanek, zabaw i swawoli do oporu.

Apropos hulanek i zabaw. Na festiwalu polskich szansonistów w Opolu prezes Jacek Kura-Kurski miał na koronie amfiteatru namiot VIP, do którego wchodziło się jedynie za specjalnymi zaproszeniami. Było ekumenicznie, bo widziano tam i Patryka Jakiego, i posła PO Tomasza Kostusia, i nawet prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego. Było też mocno bezalkoholowo i przy sokach owocowych. A przecież przed laty bywało bogato i mniej sucho. Cóż, tanie państwo.

Zkolei gwiazdy szansonistów w Alei Gwiazd na rynku w Opolu odsłaniała wszędobylska kandydatka PiS na prezydenta Opola Violetta Porowska. Prezes Kura zaprosił ją także na obiad. Pani Violetta kursowała intensywnie między widzami a strefą VIP. Obecny prezydent miasta Wiśniewski wolał robić sobie selfie z szansonistami na próbach. W dodatku Kura wystrychnął go na dudka. Kiedy Wiśniewski wręczał nagrodę ze sceny, była godz. 1.30 w nocy i garstka widzów. Porowska wyszła na obiedzie u Kury lepiej, bo nagrodę wręczała przed „Teleexpressem".

Tymczasem Opole doczekało się kolejnego kandydata – koalicja PeŁo i Nowoczesnej Kropki ogłosiła, że będzie to prof. Kazimierz S. Ożóg. Jak dotąd zasłynął on z trzech rzeczy. Ze zniczami stał pod sądami, na mieście mówią na niego „pan od plastyki i rysunków" (uczy historii sztuki), a poza tym na posiedzenia senatu Uniwersytetu Opolskiego zwykł przychodzić w dresie, co doprowadzało do szału rektora. Zdezorientowanym wyjaśniamy, że inny prof. Kazimierz Ożóg, z Rzeszowa, to jego wuj.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Wracamy do stolicy. Trochę niepokoimy się o Rafcia Trzaskowskiego KNKW (Kandydata Nieprowadzącego Kampanii Wyborczej). Nie dość, że chodzi po Warszawie z ławką, to jeszcze niektórzy napotkani warszawiacy chcą z nim rozmawiać w cztery oczy, prywatnie. Wiemy, że gdy ciepło, hormony buzują, dzieją się różne

eprasa.pl acf664e4b9

rzeczy, apelujemy więc o powściągliwość. Druga możliwość jest jeszcze gorsza: warszawiacy boją się inwigilacji ze strony Hanki Gronkiewicz-Waltz.

Apropos Hanki. Należąca do miasta Warszawa SKM kupuje nowe pociągi podmiejskie. Piękne, z wyświetlaczami i Wi-Fi. Niestety, bez kibli. Ech, pamiętamy, jak z okazji referendum w sprawie odwołania Hanki w mieście nagle wypiękniały toalety w metrze i w dodatku przestały być płatne. Teraz Hanka i tak odchodzi, więc jest jej wszystko jedno. No i wreszcie rozumiemy, skąd jej słowa, że Polskę traktują w Europie jak chore dziecko. W końcu nawet w Mołdawii są kible w pociągach.

Apropos KNKW (Kandydatów Nieprowadzących Kampanii Wyborczej). Uwielbiamy czytać internetowe fora mediów Agory. Gdyż możemy się dzięki nim uczyć tolerancji oraz nowoczesności. No i poszerzamy swą wiedzę. Ostatnio np. poszerzyliśmy ją o termin „ten Cygan z Opola". Tak postępowi eleganccy ludzie nazywają tam Patryka Jakiego.

Uwielbiamy czytać internetowe fora mediów Agory. Gdyż możemy dzięki nim uczyć się tolerancji oraz nowoczesności

Kronika opozycyjna. W Bytomiu pewien radny postanowił zrobić coś ciekawego w swoim życiu i wstąpił do koła ruchu Kukiz'15. Radość trwała krótko, a dokładnie do chwili, kiedy to kierownictwo krajowe ruchu nie poinformowało nieszczęśnika, że w radzie miasta Bytomia nie ma żadnego koła Kukiz'15. Już Andrzej Rosiewicz śpiewał: „Coraz więcej przebierańców, coraz trudniej o oryginał".

Kronika kulturalna. Reżim kaczystowski wyciąga macki poza granice kraju. W minionym tygodniu w Berlinie z koncertami u filharmoników gościł Krystian Zimerman. Jakież było zdziwienie, kiedy na widowni ujrzano wpływowych śledczych z Prokuratury Krajowej, w tym czołowego siepacza Ziobry. I nie była to wycieczka zakładowa. Sami kupili bilety. Okazało się, że prokuratorzy przyjechali wysłuchać symfonii „Wiek niepokoju" Leonarda Bernsteina. Inna sprawa, że w repertuarze była też muzyka z kreskówki „Tom i Jerry".

Kronika zagraniczna. Na doroczne spotkanie Grupy Bilderberg jedzie Grzegorz Hajdarowicz. Oznacza to, że wkrótce Grupa Bilderberg przestanie istnieć, tak jak wszystko, do czego zabiera się Hajdabomber. Obok Hajdarowicza miał tam być Radek Sknerus Sikorski. Jesteśmy w szoku. Nie ma na świecie takiej sali, która pomieściłaby ego obu panów.

Kronika turystyczna. Słynny ekspres Berlin – Warszawa. Grupa artystów krakowskich i warszawskich teatrów ze względu na brak miejscówek okupuje wagon Warsu. Obficie korzysta z wyszynku. Jedna z mocno zmęczonych spożyciem dam co rusz chwyta za komórkę i bełkocząc, wyrzeka głośno na dobrą zmianę. Na stacji w Gnieźnie w Warsie pojawia się kolejny pasażer bez miejscówki – sam prokurator Stanisław Piotrowicz. Nie bacząc na docinki artystów scen polskich, do samej stolicy dumnie raczy się tylko herbatą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

CITIZEN – BLUE ANGELS

Dzięki zaawansowanej technologii, CITIZEN od lat proponuje niezawodne zegarki także dla lotników. Wyposażone w suwak logarytmiczny ułatwiają dokonania szeregu niezbędnych obliczeń. W maju tego roku do Polski trafiły specjalne, wyjątkowe modele: zegarki z kolekcji Promaster – zasilane światłem (Eco-Drive), synchronizowane radiowo (Radio Controlled) z pięknymi niebieskimi tarczami nawiązującymi do koloru nieba. BLUE ANGELS to specjalna amerykańska edycja zegarków CITIZEN charakteryzująca się niezwykłą precyzją oraz gracją nawiązującą do umiejętności elitarnych eskadr zespołu akrobacyjnego Marynarki Stanów Zjednoczonych o tej właśnie nazwie. Eleganckie modele o wodoszczelności 200 m zagoszczą na nadgarstkach nie tylko fanów lotnictwa.

eprasa.pl acf664e4b9

Droga Severskiego

Włodzimierz Sokołowski, czyli Vincent V. Severski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

Piotr Woyciechowski

Włodzimierz Sokołowski dziś pisze powieści szpiegowskie. W latach 80. jako oficer SB zwalczał opozycję solidarnościową

Stosunkowo niedawno na rynku wydawniczym pojawiła się nowa pozycja autorstwa Vincentego V. Severskiego pt. „Zamęt". To już czwarta powieść byłego funkcjonariusza SB, który w wydawnictwie Czarna Owca wydał trylogię „Nielegalni/Niewierni/Nieśmiertelni".

Vincent Severski, właściwie Włodzimierz Sokołowski, należy do wąskiego kręgu kilku najbardziej płodnych emerytowanych oficerów wywiadu (płk. Aleksandra Makowskiego, płk. Piotra Wrońskiego i gen. Mariana Zacharskiego), którzy z powodzeniem kontynuują pisarską karierę na rynku powieści szpiegowskich. Sokołowski z czasem stał się ulubieńcem środowiska „Gazety Wyborczej". Zaczął funkcjonować jako szpieg celebryta i został także dyżurnym komentatorem wydarzeń związanych z działalnością służb specjalnych. Na przykład w tygodniu poprzedzającym niniejszą publikację Włodzimierz Sokołowski został zaproszony jako panelista przez środowisko byłych generałów WP, ludzi służb i dyplomatów skupionych wokół Platformy Obywatelskiej do udziału w Forum Bezpieczeństwa – Polska 2018 „Jak wygrać niewypowiedzianą wojnę". Gdzie występując obok prominentnych funkcjonariuszy państwa pod rządami PO (gen. Radosława Kujawa – byłego Szefa SWW, Bartłomieja Sienkiewicza – byłego funkcjonariusza UOP i ministra spraw wewnętrznych oraz gen. Jarosława Stróżyka – byłego attaché wojskowego przy Ambasadzie RP w USA), popularyzował wiedzę o działalności służb wywiadowczych i chwalił się liczbą sprzedanych egzemplarzy swoich książek.

Wraz z twórczością Sokołowskiego do opinii publicznej przemycana jest charakterystyczna narracja dla oficerów Departamentu I SB, która w skrócie polega na przedstawianiu fałszywego obrazu wywiadu PRL jako formacji niezwiązanej z SB, niepolitycznej i apartyjnej, propaństwowej, działającej niekiedy nawet w opozycji do ZSRS.

Sokołowski wielokrotnie w wywiadach prasowych przyznawał, że „szpiegiem jest się do końca życia" i że „służb się nie opuszcza". Zapewne dlatego konsultował

eprasa.pl acf664e4b9

(o czym także wspominał) treść rękopisów swoich książek z Agencją Wywiadu. Bez względu na zróżnicowane oceny walorów czytelniczych jego powieści szpiegowskich uznać należy Włodzimierza Sokołowskiego za postać nietuzinkową, która nie doczekała się publikacji biografii zawodowej opracowanej na podstawie dostępnych archiwów IPN i WBH.

RODZINNA „SOWIECKOŚĆ"

To, co charakteryzuje Włodzimierza Sokołowskiego (i jemu podobnych oficerów z Departamentu I SB, tj. Petelickiego, Makowskiego, Czempińskiego czy Kazanę), to rodzinnie uwarunkowana „sowieckość" oraz zachowana (swego rodzaju) lojalność wobec komunistycznej państwowości, która przetrwała transformację ustrojową. Można zaryzykować twierdzenie, że Sokołowski wywodzi się z komunistycznej nomenklatury, o której pisał były czołowy jugosłowiański komunista i dysydent Milovan Djilas w książce „Nowa klasa".

Żeby to zrozumieć, trzeba prześledzić karierę zawodową Włodzimierza Sokołowskiego oraz jego rodziców. Obywatele PRL urodzeni w 1956 r., którzy zdecydowali się podjąć służbę w aparacie represji, w większości uczynili to podczas tzw. karnawału Solidarności (1980–1981) bądź podczas obowiązywania stanu wojennego (1981–1983). Bez względu na motywy, którymi się kierowali, doskonale wiedzieli, jaką rolę tzw. organa odgrywały w utrwaleniu dyktatury PZPR oraz w utrzymaniu PRL w zależności od Sowietów.

Z tego właśnie rocznika pochodzi Sokołowski, który po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim do SB został przyjęty 15 sierpnia 1981 r. Pomógł mu w tym jego wuj – wysoki rangą oficer Departamentu Techniki SB. Pomogło rodzinne pochodzenie. Pomimo uzyskania słabych wyników testowych („przeciętna osobowość"), został skierowany na roczny kurs wywiadu do OKKW w Kiejkutach w roku szkolnym 1981/1982. Otrzymał nazwisko operacyjne „Siewerski", którego używał do końca swej służby w wywiadzie. Kurs wywiadu ukończył z oceną bardzo dobrą. W tym samym roku otrzymał pierwszy stopień oficerski. Następnie został skierowany wprost do służby w elitarnym Wydziale XI Departamentu I SB zajmującym się zwalczaniem podziemia solidarnościowego w kraju i za granicą. Wstąpił do PZPR, której to partii był wierny do końca jej istnienia, czyli do stycznia 1990 r.

OJCIEC „LUCJAN"

Jego ojciec, Aleksy, urodził się Wilnie w 1925 r. W ankiecie personalnej LWP wpisał: „narodowość polska, obywatelstwo polskie, pochodzenie robotnicze". Podczas pierwszej sowieckiej, a następnie niemieckiej okupacji mieszkał, uczył się i pracował jako robotnik fizyczny w Wilnie. Po zakończeniu operacji „Ostra Brama" i oswobodzeniu Wilna (już pod drugą sowiecką okupacją), podjął w sierpniu 1944 r. pracę w Wileńskim Rejonowym Zarządzie Energetycznym jako pracownik umysłowy. Nie wiadomo, co dokładnie Aleksy Sokołowski robił i jak się zachowywał podczas wspólnych walk Armii Krajowej oraz Armii Czerwonej o Wilno. Sam zainteresowany w dostępnych dokumentach na ten temat milczy. W lutym 1945 r. Sokołowski senior jako 20-latek ochotniczo wstępuje do LWP. Nie bierze udziału w walkach frontowych. Bezpośrednio zostaje skierowany do Oficerskiej Szkoły Artylerii, którą kończy w 1947 r. i uzyskuje stopień podporucznika. W tym samym roku wstępuje do PPR, a następnie do PZPR. Przechodzi także kursy kadrowo-ewidencyjne i skierowany jest do pracy w sztabie dywizji. W charakterystyce ze stycznia 1949 r. czytamy: „Jest wybitnie zdolnym i aktywnym politykiem, rewolucyjnym i samodzielnym. Bardzo dobry stosunek do ZSRR. Jest zdecydowanym komunistą. Czujny klasowo. Zapowiada się na bardzo dobrego personalnika". Użyte w charakterystyce sformułowanie „czujny klasowo" ma swoje znaczenie praktycznie. Aleksy Sokołowski jest bowiem już od dwóch lat tajnym informatorem Głównego Zarządu Informacji Wojskowej o ps. Lucjan. Nie wiemy, kiedy ta współpraca została zakończona. Wiemy na pewno, że tajna współpraca Sokołowskiego seniora ze zbrodniczą i kierowaną bezpośrednio przez Sowietów Informacją Wojskową otworzyła 22-latkowi drzwi do kariery zawodowej w LWP.

Włodzimierz Sokołowski po ukończeniu studiów prawniczych na UW został przyjęty do SB 15 sierpnia 1981 r.

Tuż po zakończeniu II wojny światowej najbliższa rodzina Sokołowskiego seniora (matka i młodszy brat Lucjan) wyjeżdżają na tzw. Ziemie Odzyskane i osiedlają się na stałe w Szczecinie. Przyszła żona Sokołowskiego seniora, o rok młodsza Lucyna, z domu Szymonkiewicz, podczas wojny została wywieziona na roboty przymusowe do Niemiec. Po powrocie pracowała przez rok w WUBP we Wrocławiu, by następnie kontynuować karierę w dowództwie Śląskiego Okręgu Wojskowego i w Instytucjach Centralnych MON. W 1946 r. wstąpiła do PPR, następnie do PZPR. Lucyna i Aleksy związek małżeński zawarli w lipcu 1955 r. Po urodzeniu syna Włodzimierza Lucyna zajęła się domem.

W 1950 r. kpt. Aleksy Sokołowski pomimo słabego wykształcenia (zdał egzamin dojrzałości podczas służby w wojsku w liceum dla dorosłych w Szczecinie) zostaje skierowany na czteroletnie studia do Wojskowej Akademii Obrony Chemicznej im. Woroszyłowa. Z Moskwy powraca w 1954 r. Sowieci musieli mieć do niego spore zaufanie, skoro zdecydowali się umożliwić mu studia nad bronią masowego rażenia. W realiach zimnej wojny oraz planowanego przez ZSRS ataku nuklearnego na Zachód wojska przeciwchemiczne miały strategiczne znaczenie. Po powrocie Sokołowski senior pnie się po szczeblach kariery w Szefostwie Wojsk Chemicznych MON. W 1963 r. zostaje szefem Wojsk Chemicznych Śląskiego Okręgu Wojskowego. W latach 1971–1974 pełni funkcję komendanta Wyższej Szkoły Wojsk Chemicznych w Krakowie. W czasie stanu wojennego, kiedy syn Włodzimierz odbywał szkolenie w tajnym ośrodku wywiadu w Kiejkutach, płk. Aleksy Sokołowski zostaje komisarzem wojskowym w zakładach produkcyjnych na terenie Warszawy (Unitra-Unima, Wamel i Hydomat). Parę miesięcy później WRON zleca mu objęcie funkcji komisarza wojskowego w Urzędzie Wojewódzkim w Skierniewicach. Ojciec Sokołowskiego odszedł z wojska w 1986 r. w stopniu pułkownika, ze względu na osiągnięcie wieku emerytalnego. Przez cały okres służby w LWP był opiniowany jako żarliwy i aktywny komunista.

Rodzi się naturalne pytanie: Czy Aleksy Sokołowski mógł być zwerbowany przez Rosjan? Poszlaki wskazują, że taka możliwość jest całkiem prawdopodobna. Wskazują na to okoliczności wstąpienia do LWP, przebieg kariery zawodowej w wojsku, tajna współpraca z Informacją Wojskową, lojalność i wysoki stopień zaufania, jakim

eprasa.pl acf664e4b9

się cieszył u Sowietów. W perspektywie kariery Sokołowskiego juniora w SB o tych przypuszczeniach warto pamiętać.

WPADKI I SUKCESY

Pierwsze dwa lata służby Sokołowskiego w wywiadzie to pasmo wpadek. Zaraz po ukończeniu szkoły wywiadu w Kiejkutach gubi legitymację służbową, za co zostaje ukarany upomnieniem. Po sześciu miesiącach na wniosek przełożonego kara ulega zatarciu. Wkrótce potem wybucha afera związana z niejasnymi kontaktami Sokołowskiego z ekskluzywną prostytutką o imieniu Alina pracującą w hotelu Victoria w Warszawie. Sprawa ociera się o dyrektora Departamentu I SB – gen. Zdzisława Sarewicza. Ostatecznie zostaje zamieciona pod dywan i zakończona tylko rozmową ostrzegawczą. Najwidoczniej Sokołowski cieszy się w kierownictwie Departamentu I szczególnymi względami.

Zaczyna odnosić swoje pierwsze sukcesy zawodowe. Wyjeżdża kilkukrotnie w celach operacyjnych do Austrii i NRD. Posługuje się paszportami dyplomatycznymi. W dokumentach używa wymiennie swojego nazwiska i legalizacyjnego Siewerski. W 1986 r. na polecenie mjr. Aleksandra Makowskiego – naczelnika Wydziału XI Departamentu I SB – w ramach przedsięwzięcia specjalnego jedzie do Włoch. Tym razem posługuje się paszportem turystycznym wystawionym na nazwisko legalizacyjne Olgierd Kobrzak. Nigdy więcej do tego fikcyjnego nazwiska nie powraca. Nie wiadomo dokładnie, jakie zadanie miał do wykonania. Ostatecznie pierwsze sześć lat służby Sokołowskiego jest przez kierownictwo wywiadu oceniane pozytywnie. Otrzymuje Srebrny Krzyż Zasługi oraz specjalną nagrodę ministra spraw wewnętrznych. Jest chwalony za pozyskanie do współpracy siedmiu agentów i 10 kontaktów operacyjnych (tzn. tajnych współpracowników). Podkreśla się także zaangażowanie Sokołowskiego w życie partii. W opinii partyjnej z 1988 r. czytamy: „Jest ideowym, zaangażowanym, pryncypialnym członkiem PZPR. W uznaniu jego partyjnej postawy wyróżniony został dwukrotnie listem pochwalnym KZ PZPR".

Sokołowski został np. zaangażowany do przedsięwzięcia specjalnego o kryptonimie Soley, dotyczącego przejęcia przez wywiad spółki polonijnej działającej pod firmą Helios. Spółka specjalizowała się w poligrafii, zaopatrując się głównie w Berlinie Zachodnim. Na przełomie lat 1985 i 1986 firma stała się przykryciem dla działalności wywiadowczej Wydziału XI Departamentu I. Dyrektorem – pełnomocnikiem spółki był Rudolf Skowroński, który już w 1981 r. zajmował się drukowaniem i kolportażem wydawnictw drugiego obiegu, a później był przez pewien czas internowany w Białołęce. Prawdopodobnie wtedy właśnie został zwerbowany do współpracy z SB jako TW o ps. Tomek. Od 1984 r. Skowroński był na łączności z Departamentem III SB. Po przejęciu Skowrońskiego przez wywiad nadano mu pseudonim Setti. Oficerem prowadzącym Skowrońskiego był Włodzimierz Sokołowski. Kilka lat później niejasne relacje Włodzimierza Sokołowskiego z Rudolfem Skowrońskim i jego firmami staną się przyczyną kłopotów oraz zachwiania kariery zawodowej w służbach specjalnych.

Ważną rolę w przedsiębiorstwie Helios odgrywał również Dariusz Gawroński, były oficer wydziału nielegałów Departamentu I SB w stopniu majora, którego wykorzystywano w tym czasie jako kontakt operacyjny o ps. Ptaho. Oficerem obsługującym „Ptaho" był nie kto inny jak właśnie Sokołowski.

Do najważniejszych zadań „Derki" należało zwalczanie opozycji solidarnościowej oraz rozpracowywanie szwedzkich służb specjalnych

W przedsiębiorstwie Helios zatrudnienie znalazł bliski współpracownik Jacka Merkla, czyli Zdzisław Pietkun ps. Irmina – jeden z najgroźniejszych agentów SB w strukturach gdańskiej solidarności.

O randze i znaczeniu rozpracowania o kryptonimie Soley, w którym uczestniczył aktywnie Włodzimierz Sokołowski, świadczy adnotacja sporządzona na protokole zniszczenia akt: „Materiały znajdujące się w sprawie mogą doprowadzić do dyskredytacji Naszej Służby w oczach opinii publicznej w przypadku ujawnienia ich treści. W związku z tym proponuję sprawy nie składać w Archiwum Dep. I". Materiały operacyjne miały zostać zniszczone we wrześniu 1989 r.

„DERKO" OD ZWALCZANIA OPOZYCJI

W 1988 r. Włodzimierz Sokołowski zostaje skierowany do pracy na placówkę zagraniczną. Wyjeżdża do Szwecji. Oficjalnie jest II sekretarzem Ambasady PRL w Sztokholmie ds. prasowych, a jako oficer „Derko" prowadzi działalność szpiegowską w ramach rezydentury wywiadu o kryptonimie Viking. Otrzymuje wysokie uposażenie – na starcie pożyczkę z kasy wywiadu na zakup samochodu osobowego w wysokości 20 tys. koron oraz 10-procentowy dodatek operacyjny. Na placówkę ściąga swoją żonę Urszulę i syna Juliusa.

Podstawowym dokumentem dla oficerów pionu wywiadu SB, określającym precyzyjnie ich zadania wywiadowcze, jest tzw. Kierunkowy Plan Pracy. Ośmiostronicowy plan pracy na lata 1988–1992 wyznaczył cele i oczekiwania centrali działalności wywiadowczej dla oficera „Derko". Do najważniejszych zadań zaliczyć należy zwalczanie opozycji solidarnościowej oraz rozpracowywanie szwedzkich służb specjalnych (tzw. obiekt SKAN). Po dwóch pierwszych latach działalności szpiegowskiej Sokołowski otrzymał od swoich przełożonych ogólną ocenę końcową pracy – „zadowalającą" (mocna trójka). W podsumowaniu wyników pracy Sokołowskiego przełożeni w marcu 1990 r. odnotowali: „W zakresie pracy oficera »Derko« mieściła się głównie problematyka będąca w zainteresowaniu pionu »E« [zwalczanie opozycji – przyp. aut.]. Oprócz tych zagadnień »Derko« miał zlecone działania w zakresie wywiadu politycznego przy wykorzystaniu możliwości wynikających z miejsca przykrycia. Pracował też, w mniejszym zakresie, w zagadnieniach pionu »K« [rozpracowywanie szwedzkiej służby bezpieczeństwa SÄPO – przyp. aut.]. W ramach tak zakreślonego zakresu pracy realizował stałe i doraźne zadania".

W kwietniu 1990 r. Sejm kontraktowy (ostatni Sejm PRL) uchwala tzw. ustawy policyjne, w tym ustawę o UOP przewidującą likwidację SB. Projekty ustaw przygotowuje resort pod kierunkiem gen. Kiszczaka. Polska jest członkiem Układu Warszawskiego. ZSRS nadal istnieje. W tej sytuacji centrala Departamentu I SB zmienia plany kierunkowe pracy rezydentur, usuwając zlecenia rozpracowywania dawnej opozycji. Zmiany zadań nie są radykalne. Na przykład Sokołowski kontynuuje rozpracowywanie szwedzkiej polityki zagranicznej wobec ZSRS i procesu zjednoczenia Niemiec. Nadal rozpracowuje też szwedzką służbę bezpieczeństwa.

W lipcu 1990 r. Sokołowski składa wniosek o przyjęcie do służby w UOP. Weryfikacja w wywiadzie to mit. Milcza-

eprasa.pl acf664e4b9

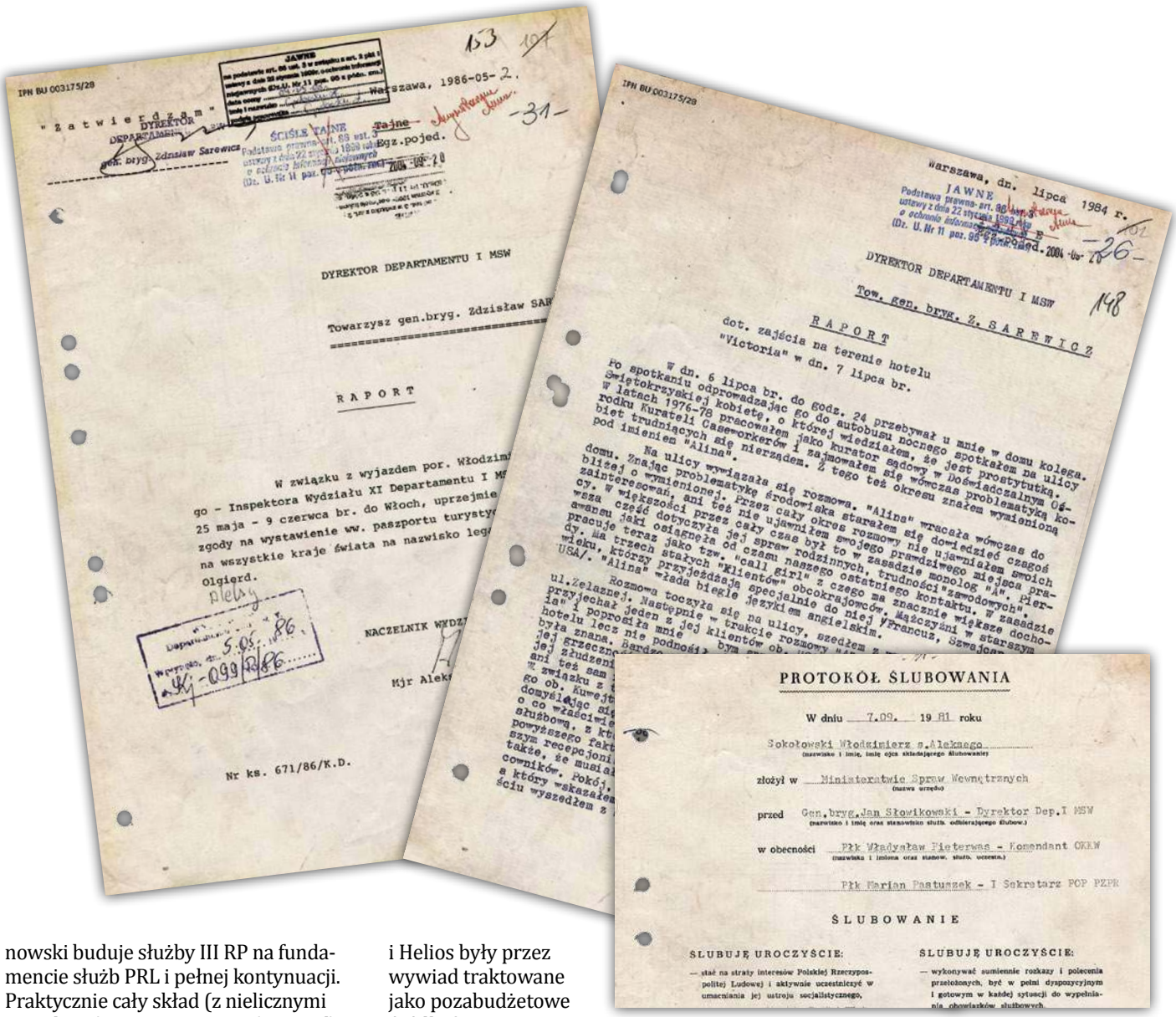

IPN BU 003175/28

"Zatwierdzam" DYREKTOR DEPARTAMENTU I MSW gen. bryg. Zdzisław Sarewicz

JAWNE

ŚCIŚLE TAJNE

Tajne

Egz.pojed.

Warszawa, 1986-05-2.

DYREKTOR DEPARTAMENTU I MSW

Towarzysz gen.bryg. Zdzisław SAR

RAPORT

W związku z wyjazdem por. Włodzim
go - Inspektora Wydziału XI Departamentu I M
25 maja - 9 czerwca br. do Włoch, uprzejmie
zgody na wystawienie ww. paszportu turysty
na wszystkie kraje świata na nazwisko leg
Olgierd.

NACZELNIK WYDZ

Mjr Alek

Nr ks. 671/86/K.D.

IPN BU 003175/28

Warszawa, dn. lipca 1984 r.

JAWNE

DYREKTOR DEPARTAMENTU I MSW

Tow. gen. bryg. Z. SAREWICZ

RAPORT

dot. zajścia na terenie hotelu "Victoria" w dn. 7 lipca br.

W dn. 6 lipca br. do godz. 24 przebywał u mnie w domu kolega. Po spotkaniu odprowadzając go do autobusu nocnego spotkałem na ulicy Świętokrzyskiej kobietę, o której wiedziałem, że jest prostytutką. W latach 1976-78 pracowałem jako kurator sądowy w Doświadczalnym Ośrodku Kuratelii Case-workerów i zajmowałem się wówczas problematyką kobiet trudniących się nierządem. Z tego też okresu znałem wymienioną pod imieniem "Alina".

Na ulicy wywiązała się rozmowa. "Alina" wracała wówczas do domu. Znając problematykę środowiska starałem się dowiedzieć czegoś bliżej o wymienionej. Przez cały okres rozmowy nie ujawniałem swoich zainteresowań, ani też nie ujawniłem swojego prawdziwego miejsca pracy. W większości przez cały czas był to w zasadzie monolog "A". Pierwsza część dotyczyła jej spraw rodzinnych, trudności zawodowych". W zasadzie awansu teraz jako tzw. "call girl" z czego ostatniego kontaktu. W starszym prac osiągnęła od czasu naszego ostatniego Francuz, Szwajcar dy. Ma trzech stałych "klientów" obcokrajowców, znacznie większe dochowieku, którzy przyjeżdżają specjalnie do niej z wiązyżni w USA/. "Alina" włada biegle językiem angielskim.

Rozmowa toczyła się na ulicy, szedłem z ul.Żelaznej. Następnie w trakcie rozmowy przyjechał jeden z jej klientów obcokrajowiec ia" i poprosiła mnie o towarzyszenie jej w hotelu lecz nie podniósł się z ławki. Hotel była znana. Bardzo szybko zrezygnowała z jej grzeczności. Zdziwiony byłem jej zrudzeni ani też sam w związku z t go ob. Kurej domyślając się o co właściwie służbowo, z kt powyższego fakt szym recepcjoni także, że musia cowników. Pokój, a który wskazałem ściu wyszedłem z

PROTOKÓŁ ŚLUBOWANIA

W dniu 7.09. 19 81 roku

Sokołowski Włodzimierz s.Aleksego
(nazwisko i imię, imię ojca składającego ślubowanie)

złożył w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych
(nazwa urzędu)

przed Gen.bryg.Jan Słowikowski - Dyrektor Dep.I MSW
(nazwisko i imię oraz stanowisko służb. odbierającego ślubow.)

w obecności Płk Władysław Fieterwas - Komendant OKEW
(nazwiska i imiona oraz stanow. służb. uczestn.)

Płk Marian Pastuszek - I Sekretarz POP PZPR

ŚLUBOWANIE

ŚLUBUJĘ UROCZYŚCIE:

— stać na straży interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i aktywnie uczestniczyć w umacnianiu jej ustroju socjalistycznego,

ŚLUBUJĘ UROCZYŚCIE:

— wykonywać sumiennie rozkazy i polecenia przełożonych, być w pełni dyspozycyjnym i gotowym w każdej sytuacji do wypełnienia obowiązków służbowych.

nowski buduje służby III RP na fundamencie służb PRL i pełnej kontynuacji. Praktycznie cały skład (z nielicznymi wyjątkami) Departamentu I (wywiad) i Departamentu II (kontrwywiad) automatycznie przechodzi do służby w Urzędzie Ochrony Państwa. Dwa lata później Sokołowski powraca z placówki (1992 r.). Nie trafia jednak do centrali Zarządu Wywiadu UOP w Warszawie. W encyklopedii internetowej Wikipedia znajduje się informacja, że został zwolniony z UOP. Do służby miał wrócić zaraz po wygranych przez postkomunistów wyborach parlamentarnych w 1993 r. Wiąże się to z jego bliskimi i niejasnymi do końca relacjami z Rudolfem Skowrońskim. Co dokładnie robił w tym czasie, nie wiadomo. Według niepotwierdzonych informacji podróżował do Moskowy.

W końcu lat 80. Rudolf Skowroński założył firmę Inter-Commerce, w której pracę znalazł kwiat oficerów Departamentu I SB, w tym płk Aleksander Makowski. Spółki Inter-Commerce i Helios były przez wywiad traktowane jako pozabudżetowe źródła finansowania służby. W początku lat 90. Skowroński pod kontrolą UOP współtworzył także wraz z płk. Aleksandrem Makowskim i innymi byłymi oficerami Departamentu I SB (Tomaszem Banaszkiewiczem i Wiesławem Bednarzem) spółkę ochroniarską Konsalnet SA.

Aleksander Makowski – jak sam przyznaje – w latach 1992–2001 był tajnym współpracownikiem UOP. Według nieoficjalnych informacji oficerem prowadzącym Makowskiego miał być jego dawny podwładny – Włodzimierz Sokołowski.

W 2002 r. następuje likwidacja UOP. Sejm RP powołuje Agencję Wywiadu i Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Makowski nie jest akceptowany przez Zbigniewa Siemiątkowskiego, ostatniego szefa UOP i pierwszego szefa AW, więc transferuje się do WSI i zostaje niejawnym współpracownikiem wojskowego wywiadu. Z kolei Rudolf Skowroński znika w tajemniczych okolicznościach. Od 2006 r. jest bezskutecznie poszukiwany listem gończym. Możliwe, że nie żyje. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że jeszcze parę lat temu widzieli go w Warszawie.

Sokołowski przechodzi do służby w Agencji Wywiadu. Karierę kończy w 2007 r. Osiada na stałe w Szwecji. To ciekawe, bo przez lata jego działalność szpiegowska była wymierzona przeciwko temu państwu. Nie ma wątpliwości, że bez zgody SÄPO nie byłoby to możliwe. Po raz drugi się żeni. Jego syn z pierwszego małżeństwa – Julius – także pozostał w Szwecji. Przyjął szwedzkie obywatelstwo. Ponoć pracuje w instytucji odpowiedzialnej za imigrantów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest badaczem dziejów służb komunistycznych, ekspertem ds. służb specjalnych.

eprasa.pl acf664e4b9

Złoże Przemyśl

SZEŚĆDZIESIĘCIOLATEK WCIĄŻ TRZYMA SIĘ MOCNO

Był czerwiec 1958 r., kiedy wiertnicy zakończyli wiercenie otworu Jaksmanice-1. Tak zaczęła się fascynująca historia złoża Przemyśl.

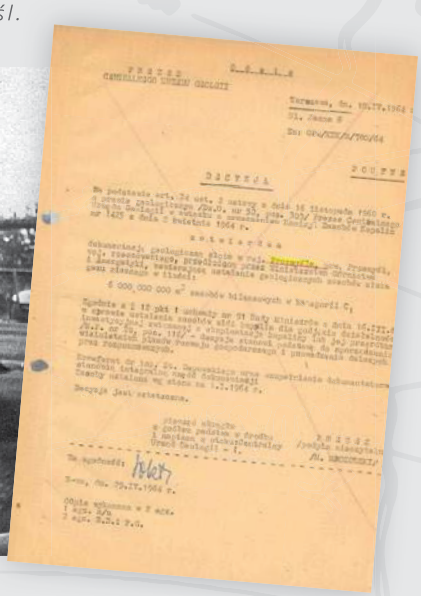

Budowa pierwszych gazociągów – Kopalnia Przemyśl-Zachód

Co ciekawe, otwór Jaksmanice-1 początkowo uznano za nieperspektywiczny. Wrócono do niego dopiero, gdy kolejne odwierty udowodniły, że okolice miasta są bogate w złoża gazu najwyższej jakości, o zawartości metanu sięgającej 98 - 99 proc. Wkrótce okolica zaroiła się od geologów, wiertników i gazowników, a prace, mimo spartańskich warunków, nabrały tempa. Wiercono nawet po kilkadziesiąt otworów rocznie, uruchamiano kolejne kopalnie: Hurko, Żurawica i Maćkowice (1964 r.), Przemyśl - Wschód (1967 r.) i - Zachód (1970 r.) i wreszcie Tuligłowy (1985 r.).

Przemyskie złoże jest niewątpliwie ewenementem w skali kraju. Składa się aż z przeszło 80 niezależnych elementów złożowych, czyli struktur geologicznych, w których występuje gaz. Obszar złoża to prawie 230 km^2 na terenie 10 gmin. Pierwotne zasoby wydobywalne złoża zostały oszacowane na 72 mld m^3. Żadne inne złoże nie może się z nim równać – drugie co do wielkości, Żuchlów na Dolnym Śląsku, zawiera tylko 24,5 mld m^3 surowca.

W latach 70. z Przemyśla pochodziło aż trzy czwarte krajowego wydobycia gazu. W następnych dekadach produkcja zaczęła jednak spadać i obecnie wynosi ok. 480 mln m^3 rocznie, a więc niecałe 13 proc. polskiego wydobycia. Ze złoża wydobyto już 65 mld m^3 i mogłoby się wydawać, że gigant wkracza w wiek przedemerytalny.

Przemyska ziemia potrafi jednak wciąż zaskakiwać, i to nawet najbardziej wytrawnych specjalistów. Nowoczesne badania geologiczne zrealizowane przez PGNiG w latach 2015 - 2017 r. wykazały, że ziemia w okolicy miasta kryje nieznane wcześniej duże zasoby gazu, które są w stanie zapewnić eksploatację złoża Przemyśl przez kolejne dekady.

Pionierskie początki

Dziś złoże Przemyśl to 6 kopalni, rozwinięta sieć gazociągów i dobrze wyposażone zaplecze techniczne. Początki przypominały jednak realia Dzikiego Zachodu. *Powiedziano mi… jedź do Przemyśla, tam jest przygotowane dla ciebie lokum. Przyjechałem, ale oczywiście nikt się mną nie przejmował. Na pierwsze noce przygarnęli mnie koledzy, którzy nocną kwaterę mieli w byłym sklepie na ul. Słowackiego. Następnie razem z kolegą znaleźliśmy schronienie w innym miejscu. Korzystaliśmy z łóżek*

Gaz pod autostradą

(Inf. wl.)

Na projektowanej (od 20 lat) trasie autostrady pod Przemyślem, przed 8 laty Przedsiębiorstwo Poszukiwań Naftowych wykonało 2 odwierty, w których na głębokości 2,3 kilometra natrafiono na gaz o ciśnieniu 200 atmosfer. Jeśli ostatecznie autostrada przebiegać będzie wytyczoną trasą ku Medyce, o co zabiegają władze wojewódzkie, to odwierty trzeba będzie zalać betonem.

Informację tę potwierdził kierownik przemyskiego Ośrodka Wierceń (Zakład Poszukiwań Nafty i Gazu w Jaśle) — Władysław Fraczek, który stwierdził, że znajduje się dokładnie pod

Głowacki wyjaśnił, iż odwierty „Buszkowiczki V i IX" (pomiędzy Duńkowiczkami a Żurawicą) wykonane były — w latach 1987—1988 — całkowicie legalnie, tzn. w oparciu o wszelkie wymagane uzgodnienia. Nasz rozmówca przyznał, że ewentualna likwidacja szybów (trzymanych do tej pory w rezerwie) byłaby dość kosztowna. Odwierty te (składające się z 4 kolumn rur różnej średnicy — największe ponad 16 cm) trzeba byłoby wypełnić cementem z wodą, natomiast na głębokości 5 metrów rury musiałyby być wycięte i wtopione w betonową płytę.

Od prawie roku ministrowie

MAGAZYN

Miasto na gazie

Przemyskie złoże gazu ziemnego jest najbogatsze w Polsce i ropie Środkowej, od Holandii aż po Rosję - twierdzi kierownik działu Geologii i Nadzoru Eksploatacyjnego w Ośrodku palń Przemyśl, Ryszard Głowacki. Informuje zarazem, że emyscy górnicy przekroczyli „jubileuszową" liczbę 50 miliardów metrów sześciennych wydobytego gazu, licząc od poku eksploatacji złoża, czyli w ciągu 36 lat.

sdług aktualnej ceny (55 groszy za sześcienny), wydobyty gaz kosztby ok. 10 miliardów dolarów. że optymalny czas eksploatacji wynosi 15 lat, w przemyskich odch szacunkowo znajduje się jesz, 30 mld metrów sześciennych Oznacza to, że będzie wydobyeszcze przez co najmniej 20 lat.

ładnie pod Przemyślem że znajduje się dokładnie pod

skim Ostrowie, niedaleko drogi krajowej pomiędzy Prałkowcami a Krasiczynem. Z otworu buchnął gaz, który po jakimś czasie zapalił się pod wpływem samozapłonu. W nocy widać było pożar z dystansu 65 km, a w odległości 1 km można było z powodzeniem czytać gazetę. Zamknięto drogę do Krasiczyna. Po 18 godzinach jeden ze strażaków zdołał podejść do otworu w azbestowej osłonie i zakręcił zawór.

NR

Piątek 6 lutego 1970 r.

Z jednego odwiertu — 200 mln m sześc. gazu

Intensywne badania prowadzone przez jasielskich wiertników w okolicy Przemyśla przyniosły ostatnio rewelacyjne wyniki. Załoga wiertni pracująca pod kierownictwem Stanisława Pikuły wydrążyła najgłębszy na Przedgórzu odwiert poszukiwawczy, w którym natrafiła na niezwykle wydajne źródła gazu ziemnego — surowiec ten występuje w jedenastu układających się piętrowo horyzontach. Z najniżej położonego gaz wydobywa się pod olbrzymim ciśnieniem około 230 atmosfer. Świadczy to o niezwykłej żywotności złoża

eprasa.pl

tych kolegów, którzy szli na noc do pracy. W tamtych czasach to była wartość wymienialna. A kopalnia Wapowce dosłownie z dnia na dzień stała się miejscem wydobycia gazu ziemnego, bez jakiegokolwiek zaplecza, bez dachu nad głową – wspominał Mieczysław Karnas, pierwszy kierownik kopalni Wapowce, utworzonej w 1973 r.

W tle – wiertnia na otworze Jaksmanice-5 w Buszkowicach

Barwna społeczność

Przez 60 lat eksploatacji złoża Przemyśl pracowało na nim kilka tysięcy osób: geologów, wiertników i gazowników. Były wśród nich postaci malownicze, nadające koloryt przemyskiej rzeczywistości. *Kierownikiem jednej z wiertni był w tym czasie inżynier Stanisław Stepek. Wieczorami otoczony wianuszkiem dziewcząt urzędował w kawiarni „Śródmiejska" i opowiadał im niestworzone bajki. Właśnie wtedy odwiercony został prawie w centrum miasta otwór Przemyśl-10 i Stepek puścił w obieg historię o tym, jak to urwał się świder cały z diamentów w prawie dwuipółkilometrową czeluść. Sprowadzono z Poznania lotnika, przywiązano go za nogi i spuszczono na spód, i ten odzyskał bezcenny świder. Otrzymać miał za to samochód marki Wołga.* (Ze wspomnień Ryszarda Głowackiego, inżyniera-geologa).

Podziemna agresja na ZSRR

W opowieści inżyniera Stepka (Barwna społeczność, fot. nr 2) było ziarno prawdy. Rzeczywiście, świdry wykorzystywane w pracach wiertniczych są pokryte cienką warstwą diamentów, które są najtwardszym minerałem na ziemi. Są to wprawdzie diamenty syntetyczne, ale samo skojarzenie z brylantami działa na wyobraźnię. Za pomocą m.in. takich świdrów na obszarze złoża Przemyśl wywiercono 540 otworów, z których aż 400 dało pozytywny rezultat. Świadczy to o kunszcie geologów i wiertników, ale nawet im zdarzały się pomyłki. Jak w 1963 r., gdy wskutek

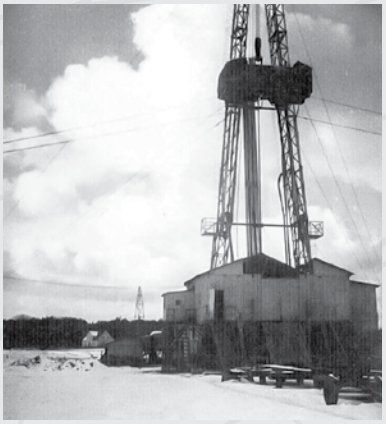

Wiercenia w Rejonie Przemyśl, lata 70. XX wieku

niezamierzonego odchylenia otworu wiertnicy zakończyli pracę poza granicą państwa – na terenie ówczesnego ZSRR. Szczęśliwie ten akt podziemnej agresji nie wywołał kryzysu dyplomatycznego.

Kopalnia Przemyśl - Zachód współcześnie

Złoże jak cały kraj

Szczyt produkcji na złożu Przemyśl przypadł na 1970 r. Wydobyto wtedy 3,7 mld m^3 gazu – prawie tyle, ile w 2017 r. w całej Polsce (3,8 mld m^3). Wysoki, ponadmiliardowy poziom wydobycia udało się utrzymać do 1995 r., ale było oczywiste, że złoże wchodzi w okres schyłkowy. W tej sytuacji PGNiG podjęło decyzję o optymalizacji procesu eksploatacji złoża.

Wibrosejsy jadą po rekord

Pierwszym etapem optymalizacji było wykonanie badań sejsmicznych. Używa się do nich specjalnych pojazdów, zwanych w branży wibrosejsami. Zamontowane w nich urządzenie wywołuje drgania, które wnikają w głąb ziemi, a po odbiciu się od skał są rejestrowane przez zainstalowane na powierzchni czujniki. Na podstawie zebranych danych geolodzy są w stanie określić budowę geologiczną i wskazać obszary, w których mogą się znajdować ropa i gaz. Badanie sejsmiczne wykonane na terenie i w okolicach Przemyśla oraz sąsiednich Rybotyczy-Fredropola i Kramarzówki jest największym, jakie do tej pory wykonano w Europie – powierzchnia, na której rozmieszczono czujniki, wynosiła ponad 1280 km^2.

Fot. Geofizyka Toruń

Badania sejsmiczne na Podkarpaciu

Trójwymiarowa niespodzianka

Po analizie danych uzyskanych podczas badania sejsmicznego, nazywanego sejsmiką 3D, specjaliści z PGNiG doszli do wniosku, że złoże Przemyśl może zawierać znacznie więcej gazu, niż dotychczas sądzono. Te założenia należało jednak potwierdzić wierceniami. Pierwsze z nich PGNiG wykonało w 2017 r. i 2018 r. Rezultat okazał się lepszy niż przypuszczano – z otworu Przemyśl-290 popłynęło 150 m^3 gazu na godzinę. Na podstawie wykonanych prac geolodzy oszacowali, że w nowych horyzontach może się znajdować nawet 20 mld m^3 gazu. Obecnie PGNiG prowadzi i planuje dalsze prace wiertnicze, które pozwolą ostatecznie potwierdzić nowy potencjał złoża Przemyśl.

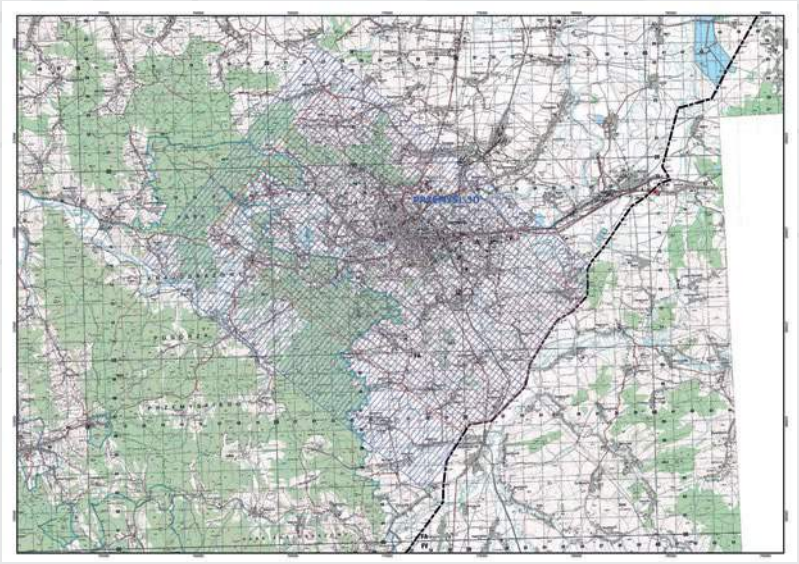

Mapa lokalizacyjna zdjęcia sejsmicznego Przemyśl 3D

PGNiG

eprasa.pl acf664e4b9

Chuligani opozycji

Wojciech Wybranowski

Jest ich kilkunastu. Skrzykują się w Internecie i ruszają na spotkania z politykami PiS. Cel? Stworzyć wrażenie powszechnego niezadowolenia obywateli z rządu

Grudzień 2016 r., Jelenia Góra, spotkanie minister edukacji narodowej Anny Zalewskiej z samorządowcami i studentami. Chwilę po jego zakończeniu idąca już do samochodu szefowa resortu jest atakowana przez obecnych na spotkaniu działaczy miejscowego Komitetu Obrony Demokracji. Padają wulgarne słowa, dochodzi do szarpaniny. Zdarzenie ostro skrytykowała większość komentatorów, odcięli się od niego posłowie opozycji, a prokuratura po roku przygotowała akt oskarżenia wobec awanturników. Wtedy wydawało się, że zadyma była epizodem. Nie była.

Kilka miesięcy przed wyborami samorządowymi do prowokowanych przez sympatyków opozycji awantur na spotkaniach polityków PiS doszło już w kilkunastu miastach Polski, m.in. w Gdańsku, Pruszkowie, Otwocku, Radomiu, Warszawie, Białymstoku, Sandomierzu, Garwolinie. – Komuś bardzo zależy na wywołaniu wrażenia rozbitego przez niezadowolonych ludzi spotkania, awantury, zamieszek i tak to później przedstawia „Gazeta Wyborcza". W rzeczywistości są to dobre, ciekawe spotkania, na których konflikt, najczęściej bezskutecznie, próbują wywołać dwie–trzy osoby, bardzo często te same – mówi Oliwer Kubicki, radny PiS i bliski współpracownik wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego.

Kim są i w jaki sposób organizują się przed spotkaniami polityków Zjednoczonej Prawicy ludzie, którzy dali się poznać z prowokowania i udziału w awanturach? Z niektórymi z nich udało nam się oficjalnie i nieoficjalnie porozmawiać. Prześledziliśmy też sposób, w jaki się zwołują i organizują. W rzeczywistości to bardzo niewielka grupa ludzi mocno związana z Komitetem Obrony Demokracji, Obywatelami RP lub mniejszymi bliskimi im grupami. Do akcji zwołują się, wykorzystując bliski KOD internetowy portal i utworzone niedawno profile na Twitterze oraz Facebooku.

SPONTANICZNE, CZYLI ZORGANIZOWANE

Schemat działania w każdym przypadku jest zawsze ten sam. Na salę wchodzi od kilku do maksimum kilkunastu osób związanych z KOD. Zjawiają się sporo przed rozpoczęciem spotkania, by zająć miejsca w różnych częściach sali, tak by nie sprawiać wrażenia zorganizowanej grupy, a jednocześnie na tyle blisko miejsca, gdzie znajduje się mówca, by skutecznie przejąć mikrofon. „Rozrzut" po sali powoduje też,

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

że podczas skandowania haseł, gwizdów i okrzyków obecni na spotkaniu są zdezorientowani, mają wrażenie, że to tłum protestuje. Później wystarczy jeszcze tylko po dojściu do głosu przekazywać mikrofon pozornie niezwiązanym ze sobą kolegom.

Działacze KOD i współpracujących z nimi – często nieformalnych – grup do organizowania akcji wykorzystują konta na portalach społecznościowych założone na Facebooku i Twitterze o nazwie Lotna Brygada Opozycji. Taką nazwę ukuła „Gazeta Polska", a zadymiarze z KOD – cokolwiek ironicznie – przyjęli ją i zaczęli jej używać. Przygotowali nawet na FB specjalne „nakładki" z takim napisem, które umieszczają na swoich zdjęciach profilowych. Konto FB obserwuje 41 osób, twitterowe – 116 (wśród nich m.in. Marta Lempart, organizatorka czarnych protestów). To właśnie tam umieszczane są informacje o terminach i miejscach spotkań polityków PiS, na których zadymiarze mają się pojawić. „Oznaczajcie się, proszę, na które spotkanie się wybieracie. Można oznaczyć dwa spotkania" – instruują administratorzy konta.

Zdecydowanie ważniejszą rolę w całej sprawie odgrywa jednak związany z Komitetem Obrony Demokracji portal Skwer Wolności. To tam działacze KOD znajdują szczegółowe informacje o spotkaniach polityków PiS, dzielą się relacjami i fotografiami ze swoich „działań" na spotkaniach polityków rządzącego obozu.

Skwer Wolności prowadzi Katarzyna Wyszomierska z Ożarowa Mazowieckiego. To działaczka KOD, była dziennikarka Radia Solidarność, później związana z Radiem Eska i „Expressem Wieczornym". Sama, jak przekonuje „Do Rzeczy", brała udział tylko w jednym spotkaniu z politykiem PiS – ministrem Szyszką.

– Pomysł na to, by uczestniczyć w spotkaniach przedstawicieli PiS, jest bezpośrednią odpowiedzią na zaproszenie do rozmowy i udziału w otwartych spotkaniach wystosowane przez władze do wszystkich obywateli – mówi nam Wyszomierska. – Zachęceni m.in. przez premier Szydło, która wielokrotnie deklarowała, że „rząd będzie słuchać ludzi" i prezesa Kaczyńskiego, widzę w tym doskonałą okazję, by zadać nurtujące wielu Polaków pytanie: Do czego skłania mnie troska o stan demokracji w Polsce?

Szefowa portalu Skwer Wolności przekonuje, że w nawoływaniu działaczy KOD do udziału w spotkaniach PiS i późniejszych relacji z często zakłóconych przez KOD spotkań nie widzi niczego niewłaściwego. – Zarzutów prowadzenia „działalności

eprasa.pl acf664e4b9

bojówkarskiej" się nie obawiam, choć wiem, że ze strony mediów podporządkowanych rządowi, z mediami publicznymi na czele, mogę się spodziewać wszystkiego najgorszego, a właściwie tego już doświadczyłam – stwierdza.

Wyszomierska angażowała się wcześniej w protesty przeciw reformie sądownictwa i przeciw wprowadzaniu niedziel wolnych od handlu. Głośno stało się o niej, gdy podczas zorganizowanej przez opozycję w grudniu 2016 r. blokady Sejmu przesłała okupującym salę sejmową podarek – słynny pasztet, który posłanki opozycji skonsumowały w Wigilię.

ZBULWERSOWANI „WYBORCY"

Kilkanaście dni temu na warszawskim Bemowie spotkanie mieszkańców dzielnicy z ubiegającym się o fotel prezydenta miasta wiceministrem sprawiedliwości Patrykiem Jakim zakłóciła grupa ludzi. Na zdjęciach ze spotkania internauci rozpoznali działaczy mazowieckiego KOD.

– Przychodzili znacznie wcześniej niż inni uczestnicy spotkania, widać było, że są grupą zorganizowaną, bo starali się rozejść po sali i usiąść jak najbliżej pierwszych rzędów. Łącznie było ich 6–10 osób, przy czym 4–5 osób to były osoby agresywne, inicjujące pewne zachowania, ale nie wykluczam, że mogło być ich na sali więcej – opowiada nam dr Błażej Poboży, zastępca burmistrza Bemowa i jeden z organizatorów spotkania.

W Internecie na zdjęciach szybko rozpoznano jednego z najbardziej agresywnych mężczyzn, usiłującego doprowadzić do przerwania spotkania z Jakim. To Piotr Łopaciuk, na co dzień prowadzący bar Mak Kargul w Żanęcinie pod Sokołowem Podlaskim. Jest aktywnym działaczem Komitetu Obrony Demokracji, kilka miesięcy temu nieskutecznie rywalizował o fotel szefa mazowieckiego KOD z Kingą Łozińską. Użytkownicy Twittera, porównując dostępne w sieci zdjęcia, szybko też ujawnili, że Łopaciuk pojawiał się już na innych spotkaniach polityków PiS, które zostały zakłócone przez działaczy KOD m.in. w Radomiu z Ryszardem Terleckim czy w Garwolinie z premierem Mateuszem Morawieckim. Kilka miesięcy wcześniej zakłócił też spotkanie z senator Anną Marią Anders w Suwałkach. Szeroko opisała go „Gazeta Polska". Na pytania „Do Rzeczy" nie odpowiedział. W rozmowie z portalem NaTemat.pl chwalił się: – Doskonałą reklamę robią mi prawicowe media, co pokazuje, że chyba moja obecność na spotkaniach polityków PiS jest dla tych ostatnich groźna.

Łopaciuk po awanturze na spotkaniu z Jakim stał się najbardziej rozpoznawalnym aktywistą Lotnych Brygad Opozycji. Jednak analiza relacji, które pojawiają się na Skwerze Wolności, wskazuje, że w rzeczywistości grupa zadymiarzy jest stosunkowo niewielka, a główne role w awanturach na spotkaniach odgrywają pojedynczy aktywiści lokalnych KOD często ulokowani w ich kierownictwie.

W gronie osób, które wywołały zadymę podczas majowego spotkania premiera Mateusza Morawieckiego z mieszkańcami Gdańska, do którego doszło pod koniec maja w słynnej stołówce BHP, była m.in. Magdalena Filiks, liderka KOD w Szczecinie (prowadziła też jedną z demonstracji pod Sejmem, na której obok niej wystąpili m.in. Władysław Frasyniuk i Leszek Balcerowicz). Zadymiarze z KOD rozwinęli w Gdańsku transparenty „Pycha i Szmal" i „PiS wyrzuca niepełnosprawne dzieci ze szkół". Krzyki i przepychanki, do jakich doszło, doprowadziły do przerwania spotkania.

Uliczne rozróby i awantury na spotkaniach stały się już stałą bronią opozycji w walce z PiS czy z szeroko pojętą prawicą

Z kolei w Myśliborzu (Zachodniopomorskie) doszło do awantury podczas spotkania mieszkańców z posłem Stanisławem Piotrowiczem. Kilka osób przygotowało kartki z napisami: „Precz z komuną", „Towarzysz Piotrowicz" i „Pycha i Szmal". Doszło do pyskówki. Wśród aktywistów Lotnej Brygady znalazł się Andrzej M. z Myśliborza, działacz szczecińskiego KOD. To nie pierwsza akcja tego rzekomego „zbulwersowanego wyborcy". Rok wcześniej wraz z grupą aktywistów KOD usiłował zakłócić spotkanie premier Beaty Szydło podczas 4. Międzynarodowego Kongresu Morskiego. „Grupa Szybkiego Reagowania KOD, w sile 20 osób (w przybliżeniu) oczekiwała na skrzyżowaniu Kuśnierskiej i Rycerskiej. Niektórzy w koszulkach Pągowskiego. […] Gościa przywitała głośna Guantanamera – ze słowami: „Drukuj ten wyrok, Beata, drukuj ten wyrok…, flagi KOD-u, flaga Unii Europejskiej" – opisywał później na stronie internetowej zachodniopomorskiego KOD. Andrzej M. nie chciał z nami rozmawiać. Na wszystkie pytania, które mu przesłaliśmy, odpowiedział krótkim: „NIE".

Anna W. (zastrzegła, że nie zgadza się na podanie nazwiska), mieszkanka Środy Wielkopolskiej, w roli niezadowolonego wyborcy wystąpiła już sześć razy. Ostatnio podczas spotkania z europosłem Ryszardem Czarneckim w Kaliszu na początku czerwca. Doszło tam do poważnej awantury między działaczami KOD a sympatykami posła. „Jeżdżę na spotkania tylko w okolice mego miasta, raz byłam najdalej 50 km. Nie spotka mnie pan w Krakowie, Lublinie, Wrocławiu czy Łodzi. Zadaję zawsze wypracowane pytania, jeszcze nigdy nie dostałam odpowiedzi!!!!! Zadając pytanie, chcę uświadomić jednocześnie wielbicieli i otworzyć im oczy!!!!!! Dwa razy byłam w moim mieście, na spotkaniu. Trzy razy poza, odległość 20–30 km, raz 50" – napisała nam Anna W., która początkowo zgodziła się na rozmowę, później jednak, jak twierdzi – po konsultacji ze znajomymi – odpowiedzi na pytania odmówiła.

Niedawno przemyska „Gazeta Wyborcza" podniosła alarm, bo po spotkaniu w Sanoku z marszałkiem Sejmu Markiem Kuchcińskim policjanci wylegitymowali młodą kobietę, która – jak twierdzi gazeta – wyłącznie chciała zadać politykowi PiS pytanie. W rzeczywistości pani Anna G.M. z Przemyśla (na rozmowę z nami zgodziła się wyłącznie, jeżeli nie podamy personaliów i miejsca zdarzenia, na co nie mogliśmy się zgodzić) zakłóciła spotkanie Kuchcińskiego z wyborcami, wznosząc transparent „Sejm jest obywateli. Wolne media" i próbując zakrzyczeć prowadzącego. To aktywistka grupy Obywatele RP uczestnicząca w licznych akcjach tej nieformalnej organizacji. Brała np. udział w akcji Obywateli RP na Krakowskim Przedmieściu, gdzie aktywiści Pawła Kasprzaka usiłowali zakłócić miesięcznicę smoleńską.

POLITYCZNI ZADYMIARZE

Uliczne rozróby i awantury na spotkaniach stały się już stałą bronią opozycji w walce z PiS czy szeroko pojętą prawicą. Obywatele RP kierowani przez Pawła Kasprzaka cyklicznie torpedowali miesięcznice smoleńskie, próbowali przeszkodzić w Marszu Niepodległości i prowokowali kibiców uczestniczących w pielgrzymce na Jasną Górę. Jedną z gwiazd ulicznych awantur organizowanych przez środowiska Obywateli RP i KOD był m.in. dawny opozycjonista Władysław Frasyniuk, który latem ubiegłego roku na akcji pod Pałacem Prezydenckim pojawił się z odznaką z napisem w języku rosyjskim „Jeb...ć PiS".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

Łukasz Warzecha

Pytania prezydenta

Prezydent Andrzej Duda przedstawił propozycję 15 pytań dotyczących nowej ustawy zasadniczej, na które mielibyśmy odpowiedzieć podczas referendum planowanego na 10–11 listopada

Czy jesteś za tym, żeby Polska była silna, a ludzie żyli w niej dostatnio (i za bardzo się nie napracowali)?" – być może to powinno być jedyne pytanie, jakie mógłby zaproponować w referendum prezydent Duda. A nawet, jeśli ktoś tę propozycję uznaje za nadmierną złośliwość wobec głowy państwa, to doprawdy trudno znaleźć komentatora, który pochwaliłby projekt pytań, zaprezentowany w ubiegłym tygodniu przez prezydenta. Niezły początkowo projekt zaczyna grzęznąć na dobre w mule nadmiernej liczby pytań, z których większość jest zbędna, niezrozumiała (nie tylko dla przeciętnego wyborcy), niepotrzebna, absurdalna albo wprost szkodliwa.

Od dawna było oczywiste, że referendum nie będzie skonstruowane według najprostszego, przystępnego dla każdego schematu, czyli dwóch lub trzech klarownych pytań o ustrój państwa. Czy obywatele są – po pierwsze – za zmianą konstytucji w ogóle, po drugie – za zmianą modelu ustrojowego, ewentualnie po trzecie – w którą stronę (zwiększenie władzy prezydenta lub, alternatywnie, zwiększenie władzy premiera oraz ograniczenie liczby posłów i wprowadzenie głosowania większościowego). Taka konstrukcja referendum sygnalizowałaby też pośrednio zamiar odejścia w nowej ustawie zasadniczej od jednej z największych wad obecnej: regulowania spraw, które w konstytucji w ogóle nie powinny się znajdować, i zapchania jej zbędnymi szczegółami.

Tymczasem już kilka miesięcy temu prezydent zasygnalizował, że lista pytań, którą ostatecznie przedstawi we wniosku kierowanym do Senatu, sięgnie 10. Skoro zaprezentowanych w ubiegłym tygodniu propozycji jest 15, można zakładać, że bierze się pod uwagę rezygnację z jednej trzeciej z nich. Szkoda, bo należałoby zrezygnować prawie ze wszystkich.

W koncepcji prezydenta na każde pytanie odpowiedź może brzmieć jedynie „tak" lub „nie", co automatycznie zlikwidowało możliwość zadania pytań wariantowych. Nie da się w tej formie zapytać na przykład: „Czy w wyborach do Sejmu jesteś za: utrzymaniem systemu proporcjonalnego – wprowadzeniem systemu mieszanego – systemem większościowym?". Dlaczego prezydent narzucił sobie takie ograniczenie – trudno zrozumieć.

Pierwsze pytanie brzmi:

„Czy jesteś za uchwaleniem

a) nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej?

b) zmian w obowiązującej Konstytucji RP?".

Pytanie jest oczywiste i musi zostać zadane – po to w końcu jest referendum. Trudno powiedzieć, jak potraktowana zostanie odpowiedź twierdząca na oba podpunkty.

Wśród pytań ustrojowych są jeszcze dwa: 13 i 15. Brzmią one: „Czy jesteś za wzmocnieniem kompetencji wybieranego przez Naród Prezydenta w sferze polityki zagranicznej i zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej?" oraz „Czy jesteś za zagwarantowaniem w Konstytucji RP podziału jednostek samorządu terytorialnego na gminy, powiaty i województwa?".

Oba są fatalne. 13 pytanie dotyczy wzmocnienia prezydenta, ale nie ustanowienia rządów prezydenckich. Całkiem jakby Andrzej Duda bał się spytać wprost: „Czy jesteś za wprowadzeniem w Polsce modelu prezydenckiego z prezydentem wybieranym w głosowaniu powszechnym?". Jeśli odpowiedź na pytanie w formie zaproponowanej przez Andrzeja Dudę byłaby twierdząca, a odpowiednie zmiany wprowadzono by do ustawy zasadniczej, nie dostalibyśmy nowego rozwiązania ustrojowego, ale jeszcze większy kompetencyjny chaos i wyniszczającą wojnę między ośrodkami władzy w razie kohabitacji.

Pytanie 15 natomiast w ogóle nie powinno znaleźć się w referendum. Jest zbyt szczegółowe. Kwestia podziału administracyjnego nie musi i nie powinna być definiowana w konstytucji. Tutaj jednak widać jeszcze jeden deficyt propozycji prezydenta. Jeżeli uznajemy bowiem, że są sprawy zbyt szczegółowe na konstytucję, ale zbyt poważne na zwykłe ustawy, należałoby wprowadzić instytucję ustaw konstytucyjnych (kardynalnych), które można zmienić jedynie kwalifikowaną większością – na przykład dwóch trzecich lub trzech piątych, ale bez procedury właściwej dla zmiany konstytucji. Taki pomysł krążył w początkowej fazie rozważań o referendum, ale sprawy na liście pytań ostatecznie nie ma. Szkoda.

Pytanie drugie: „Czy jesteś za wprowadzeniem do Konstytucji RP obowiązku przeprowadzenia referendum ogólnokrajowego, zatwierdzającego zmiany konstytucji?". Prezydent już jakiś czas temu, podczas niezbyt udanej konwencji konstytucyjnej na Stadionie Narodowym, zapowiadał, że będzie chciał wzmocnić instytucję referendum, i to pytanie można potraktować jako część tego zamiaru.

eprasa.pl acf664e4b9

Podobnie jak pytanie kolejne: „Czy jesteś za wprowadzeniem do Konstytucji RP obowiązku przeprowadzenia referendum ogólnokrajowego w sprawach o istotnym znaczeniu dla Państwa i Narodu, jeśli z takim żądaniem wystąpi co najmniej milion obywateli?”.

Wszystko świetnie, tyle że pan prezydent jakimś trafem zapomniał o kwestii wiążącego wyniku głosowania. Bez zajęcia się tą sprawą pytanie trzecie traci sens. Obecna ustawa zasadnicza rozbraja instytucję referendum podwójnie. Po pierwsze dlatego, że stawia absurdalnie wysoki próg, od którego jego wynik staje się wiążący: przynajmniej 50 proc. uprawnionych do głosowania. Po drugie, ponieważ nie wprowadza żadnego terminu, w którym – w przypadku, gdyby wynik był jednak wiążący – parlament ma przekuć wynik referendum w obowiązujące prawo. Jeśli już prezydent chce się w swoim głosowaniu zająć referendami, to powinien to uczynić kompleksowo. Skoro zaś wspomnianej kwestii na liście pytań nie ma, trzeba sobie zadać pytanie, czy to kwestia niekompetencji ludzi Andrzeja Dudy, czy też próba zamydlenia oczu głosującym: pozwolimy im pomyśleć, że głosują za czymś ważnym, a w istocie nic się nie zmieni.

Pytanie czwarte wygląda kuriozalnie: „Czy jesteś za odwołaniem się w preambule Konstytucji RP do ponadtysiącletniego chrześcijańskiego dziedzictwa Polski i Europy jako ważnego źródła naszej tradycji, kultury i narodowej tożsamości?”. Można je odebrać jako ukłon Andrzeja Dudy w stronę „antytożsamościowej” części polskiego społeczeństwa. Tak jakby prezydent chciał pokazać wszystkim tym, którzy „nie płakali po papieżu” i czują się osaczeni przez Kościół, że i dla nich ma jakąś propozycję: będą mogli zagłosować za tym, że Polska wzięła się znikąd.

Pytanie o kształt preambuły w ogóle nie powinno się znaleźć w referendum. To wprowadzanie całkowicie zbędnego ideologicznego elementu do dyskusji, która powinna się skupić na modelu państwa. Zarazem jest to umożliwienie głosowania nad faktami – bo chrześcijańskie dziedzictwo Europy i Polski jest po prostu faktem – które w ogóle nie powinny podlegać dyskusji.

Pytania siódme, ósme i dziewiąte dotyczą przynależności Polski do organizacji międzynarodowych. „Czy jesteś za kon-

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

eprasa.pl acf664e4b9

stytucyjnym zagwarantowaniem członkostwa Rzeczypospolitej Polskiej w Unii Europejskiej?", „Czy jesteś za zapisaniem w Konstytucji RP gwarancji suwerenności Polski w Unii Europejskiej oraz zasady wyższości konstytucji nad prawem międzynarodowym i europejskim?", „Czy jest Pani/Pan za konstytucyjnym zagwarantowaniem członkostwa Rzeczypospolitej Polskiej w NATO (sojuszu północnoatlantyckim)?".

Zadziwiający jest już sam pomysł, żeby zapisywać w konstytucji przynależność kraju do jakichkolwiek organizacji międzynarodowych. Przypomina to wpisanie do Konstytucji PRL w 1976 r. „umacniania przyjaźni i współpracy ze Związkiem Radzieckim". Nawet jednak komuniści nie wpisali do ustawy zasadniczej przynależności Polski Ludowej do Układu Warszawskiego. Z zasady przyjmuje się, że niezmienne jest państwo, ale zmienne mogą być jego sojusze. Zapisywanie ich w ustawie zasadniczej oznacza, że sami krępujemy sobie ręce na przyszłość, której przecież nie znamy.

Te pytania można owszem, odczytać jako niby sprytny zabieg, mający odebrać argumenty tym, którzy twierdzą, że na zapleczu PiS-owskich gabinetów rozważany jest polexit. Jednak to broń obosieczna, bo łatwo ten argument odwrócić i uznać, że prezydent daje pole do popisu twardym eurosceptykom, otwierając im możliwość prowadzenia kampanii skupionej wokół tych zapisów i nawoływania do głosowania na „nie".

W dodatku między pytaniem siódmym a ósmym pojawia się sprzeczność. Najpierw UE uważamy za taki dar losu, że chcemy być jej jedynym członkiem, który przynależność do niej wpisze sobie do konstytucji (bo przecież trudno uznać, że prezydent umieszcza to pytanie z powodu niechęci do UE), a zaraz potem podkreślamy naszą suwerenność wobec tejże organizacji.

Pytanie 10: „Czy jesteś za zagwarantowaniem w Konstytucji RP szczególnej ochrony polskiego rolnictwa i bezpieczeństwa żywnościowego Polski?" – ma być chyba ukłonem w stronę wsi i próbą zjednania sobie rolników, ale jest kompletnym nonsensem. Dlaczego w ogóle konstytucja miałaby się zajmować jedną z wielu dziedzin produkcji, jaką jest rolnictwo? Jak miałaby wyglądać szczególna konstytucyjna ochrona rolnictwa? Czy sprowadziłaby się do enigmatycznego zapisu, że „rolnictwo jest pod szczególną ochroną państwa", który następnie byłby przedmiotem dowolnych, nawet najgłupszych, interpretacji? Czy byłaby to podstawa do kolejnych antywolnościowych ustaw, takich jak ustawa o ziemi?

Równie enigmatyczne jest pytanie 11: „Czy jest Pani/Pan za wzmocnieniem w Konstytucji RP pozycji rodziny, z uwzględnieniem ochrony obok macierzyństwa także ojcostwa?". Owszem, na definicję rodziny miejsce w konstytucji z pewnością jest i dobrze byłoby zapisać ją w taki sposób, żeby postawić tamę lewicowemu naciskowi na rozmycie tego pojęcia. Jednak pytanie nie tego przecież dotyczy. Nie brzmi: „Czy jesteś za zapisaniem w konstytucji, że rodzina to wyłącznie związek kobiety i mężczyzny?" – co miałoby największy sens. Zamiast tego mamy nieokreślone „wzmocnienie pozycji", które nie wiadomo, do czego miałoby się sprowadzać.

Pytanie 14: „Czy jesteś za przyznaniem w Konstytucji RP gwarancji szczególnej opieki zdrowotnej kobietom ciężarnym, dzieciom, osobom niepełnosprawnym i w podeszłym wieku?" – to kolejne szczegółowe zagadnienie, które w referendum w ogóle nie powinno się znaleźć. W dodatku powtórzenie punktu 3 artykułu 68 obecnej konstytucji, będącej w rozdziale o prawach obywatela katalogiem szczegółowych życzeń. Dzisiaj ustawa zasadnicza mówi nawet o urlopach – czy nowa miałaby brzmieć podobnie? Jeśli tak, to nie ma sensu zmieniać obecnej.

Na koniec rodzynek, czyli seria trzech pytań socjalnych – potencjalnie najbardziej szkodliwych, układanych zapewne w ścisłej współpracy z Solidarnością. To pytania piąte, szóste i 12: „Czy jesteś za konstytucyjnym zagwarantowaniem szczególnego wsparcia dla rodziny, polegającego na wprowadzeniu zasady nienaruszalności praw nabytych (takich jak świadczenia »500+«)?", „Czy jesteś za zagwarantowaniem w Konstytucji RP szczególnej ochrony prawa do emerytury dla kobiet od 60. roku życia, a dla mężczyzn od 65. roku życia?" oraz „Czy jest Pani/Pan za konstytucyjną ochroną pracy jako fundamentu społecznej gospodarki rynkowej?".

Zapisywanie w konstytucji nienaruszalności uprawnień socjalnych czy wieku emerytalnego to przepis na katastrofę i tu prezydent sprawia największy zawód. Nikt nie jest w stanie przewidzieć sytuacji gospodarczej świata, Europy i Polski w ciągu nawet najbliższej dekady. Zasada, że „prawa nabyte" – a przecież nie jest to tylko „500+" – mają być szczególnie chronione (cokolwiek to znaczy) to nałożenie każdemu rządowi pęt w kształtowaniu budżetu i polityki społecznej. Oznaczałoby to, że w razie kryzysu, przy niemożliwości ograniczenia świadczeń czy podwyższenia wieku emerytalnego (co jest nieuchronne!), rząd byłby zmuszony dusić obywateli kolejnymi podatkami lub dramatycznie zwiększać zadłużenie. Jednocześnie nietrudno przewidzieć, że odpowiedź większości pytanych będzie twierdząca.

Zapisywanie w konstytucji nienaruszalności uprawnień socjalnych czy wieku emerytalnego to przepis na katastrofę i tu prezydent sprawia największy zawód

Równie dobrze można by spytać, czy ludzie chcą być piękni i bogaci.

Co miałaby natomiast oznaczać „konstytucyjna ochrona pracy" – nie wiadomo, ale jest zagrożenie, że mógłby to być wstęp do kolejnych zaostrzeń Kodeksu pracy i krępowania wolności gospodarczej w imię księżycowych wymysłów związkowców. Może jednak powinniśmy się cieszyć, że prezydent nie zdecydował się spytać obywateli, czy chcą gwarancji dożywotniego zatrudnienia za minimalną płacę w wysokości 10 tys. zł.

Im bliżej potencjalnego terminu referendum, tym słabiej prezentuje się plan Andrzeja Dudy. Gdy prezydent ogłaszał swój zamiar w maju 2017 r., była nadzieja, że dyskusja skupi się na zasadniczym pytaniu o model ustrojowy. Ta nadzieja zniknęła ostatecznie wraz z ogłoszeniem listy proponowanych pytań. Żadnego wielkiego nowego otwarcia nie będzie, góra urodziła mysz. Lecz może i lepiej, bo gdyby nowa ustawa zasadnicza miała być tworzona wedle myśli przebijającej z prezydenckich propozycji, moglibyśmy jeszcze zatęsknić za konstytucją z 1997 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. ARTUR WIDAK/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Cztery drogi Tuska

Marcin Makowski

Powrót Donalda Tuska do Polski to medialna telenowela. A jakie są potencjalne warianty politycznej przyszłości dzisiejszego szefa Rady Europejskiej?

Na pewno na emeryturę nie pójdę. W 2019 tak, będę tutaj i niech nikt nie myśli, że będę oglądał wyłącznie telewizję czy grał w piłkę z wnukami – stwierdził Donald Tusk w rozmowie z Andrzejem Morozowskim w TVN24. Był Wielki Piątek, 30 marca. Wszyscy, którzy choć trochę znają polityczne modus operandi byłego premiera, wiedzą, że datę wybrał nieprzypadkowo. Cel był prosty – na chwilę przed Wielkanocą dać temat do rozmów przy rodzinnych stołach i zasiać ziarno nadziei w sercach wyborców, którzy jak Agnieszka Holland czekają na to, „żeby było tak, jak było". Dla wielu z nich Tusk jest gwarantem powrotu przewidywalności politycznej, pogrzebanej za rządów Zjednoczonej Prawicy. Nawet jednak oni muszą się zadowolić półsłówkami przewodniczącego Rady Europejskiej, który w tej samej rozmowie stwierdził, że na razie „żadnych wariantów nie formułuje". Nie zmienia to jednak faktu, że przynajmniej cztery, częściowo suflowane przez jego politycznych sojuszników w kraju, brane są dzisiaj pod uwagę.

PARTIA STATUS QUO

Scenariusz pierwszy: Tusk wraca do Polski z własną partią na wybory parlamentarne 2019 r. Zdaniem Jarosława Flisa, żeby do tego doszło, to PO musiałaby przejść prawdziwe trzęsienie ziemi. – Gdybyśmy założyli, że w wyborach samorządowych PO ponosi porażkę, Trzaskowski odpada w Warszawie, partia traci Gdańsk, a PiS przejmuje władzę w połowie województw, wewnętrzny chaos i ssanie na powrót Tuska byłyby niebagatelne – tłumaczy socjolog. Jednak i coś innego przemawia na niekorzyść „partii Tuska". Paradoksalnie największym wrogiem przedstawionej inicjatywy jest nie PiS, lecz obecna opozycja, w której szeregach prawie nikt na byłego premiera nie czeka.

– Tusk jest doświadczonym politykiem. Sądzę, że zdaje sobie sprawę z tego, że powstanie nowego ugrupowania utrudnia stworzenie szerokiej koalicji na wybory parlamentarne 2019 r., a to powinien być priorytet, jeśli w ogóle chcemy myśleć o odsunięciu PiS od władzy – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Katarzyna Lubnauer, szefowa Nowoczesnej. Sceptycyzmu, z drugiej strony barykady, nie ukrywa również były wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego, Ryszard Czarnecki. Jego zdaniem Tusk pamięta lekcję Aleksandra Kwaśniewskiego, który miał podobne plany, a „jedynie się ośmieszył i pogrążył". – Na podsycaniu partyjnych spekulacji zależeć może „Gazecie Wyborczej" czy środowisku KOD, które celują w stworzenie nowego antyprawicowego frontu ludowego. Donald Tusk jest tak eklektyczny, że wydaje się być idealnym patronem takiego ruchu, zmierzającego do przywrócenia status quo – mówi Czarnecki. Dodaje jednak, że w powodzenie takiego projektu nie wierzy.

Gdy w niedzielę 10 czerwca Polskie Radio 24 zorganizowało debatę na temat politycznej przyszłości byłego szefa PO, głosy obecnych polityków opozycji nie pozostawiały cienia wątpliwości. „Nie ma potrzeby tworzenia kolejnych bytów. Nie sądzę, żeby Tusk zamierzał rozbijać z trudem tworzoną koalicję partii opozycyjnych i robić kolejną listę" – stwierdził Marcin Święcicki z PO. O „partii Tuska" jako początku politycznego sezonu ogórkowego mówił z kolei Paweł Rabiej,

eprasa.pl acf664e4b9

kandydat na wiceprezydenta Warszawy. Szef Rady Europejskiej musi wziąć te nastroje pod uwagę.

ODBICIE PLATFORMY

Scenariusz numer dwa nazywany powrotem króla zakłada odebranie Platformy z rąk Grzegorza Schetyny.

– Gdyby Tuskowi marzyła się polityka partyjna, prędzej wróciłby wysadzić z siodła Grzegorza Schetynę niż zbudować własne ugrupowanie. Tusk jest człowiekiem licznych talentów, niektóre są diaboliczne, ale akurat pracowitość nigdy nie należała do jego cnót. On jest doskonały w walkach wewnętrznych i skuteczny, jeśli chodzi o debatowanie w mediach. Tutaj nie ma sobie równych. Zakładanie partii to jednak harówa, zwłaszcza że nasza scena polityczna jest zapchana, a niezbyt obiecująca historia Nowoczesnej pokazuje, że nawet jeśli już ugrupowanie da się założyć, osobna historia to jego utrzymanie na powierzchni. Także raczej będzie się starał przechwycić PO, a to może mu się udać – przekonuje europoseł PiS, prof. Ryszard Legutko.

– Nie ma powrotu do tej samej rzeki. Donald Tusk był już premierem, teraz sprawuje dużo bardziej zaszczytną funkcję. Nie sądzę, aby był z powrotem zainteresowany przepychaniem się w polityce partyjnej. W PO i Nowoczesnej nie rozmawia się o powrocie Tuska – ucina spekulacje Katarzyna Lubnauer.

LISTA EUROPEJSKA

Trzeci scenariusz, ostatnimi czasy zyskujący na popularności, nazywa się wprost listą europejską Tuska. W przybliżeniu zakłada on skonstruowanie listy kandydatów do Parlamentu Europejskiego, która zbierałaby wszystkie wielkie (albo jak kto woli przegrane i sfrustrowane) nazwiska z szerokiego spektrum anty-PiS. W owym gronie mieliby się znaleźć m.in. były prezydent Bronisław Komorowski oraz byli premierzy: Jerzy Buzek, Leszek Miller, Marek Belka, Ewa Kopacz, Hanna Suchocka czy Kazimierz Marcinkiewicz. Formalnie byłby to projekt „pobłogosławiony" przez szefa Rady Europejskiej, ale równocześnie poparty przez PO, Nowoczesną, SLD i PSL.

Jarosław Gowin uważa, że przygotowania w tym kierunku już trwają. – Rozmawiałem z dwoma posłami Platformy i obydwaj potwierdzili, że są sondowani na okoliczność startu w wyborach do europarlamentu z list firmowanych przez Donalda Tuska, ale raczej bez niego samego na liście. Tusk miałby być patronem tego środowiska, które stanowiłoby zaplecze przed startem w wyborach prezydenckich – odpowiada wicepremier. Gdy dopytuję, czy Kopacz i Komorowski to wiarygodne nazwiska, Jarosław Gowin bez chwili wahania odpowiada, że były prezydent i premier są brani pod uwagę, bo to ludzie całkowicie zmarginalizowani w Platformie przez Grzegorza Schetynę. – Oni mają jeszcze poczucie, że mogą coś zdziałać w poważnej polityce. Komorowski nie ukrywał zresztą swojej chęci do kandydowania, co zostało dosyć cierpko skomentowane przez polityków PO – dodaje szef Porozumienia.

Jak twierdzi europoseł, który chce zachować anonimowość, do tej listy należy jeszcze dopisać Bogdana Zdrojewskiego, byłego ministra kultury i dziedzictwa narodowego, który coraz mniej komfortowo czuje się we własnej partii.

Bardziej sceptycznie do przedstawionego scenariusza podchodzi jednak Ryszard Legutko. – Ewentualna lista Tuska w wyborach europejskich to byłaby granda, ponieważ dopóki pełni funkcję szefa Rady Europejskiej, nie może się angażować w bieżącą politykę partyjną. Niestety nie takie rzeczy Unia już akceptowała. A że Kopacz i Komorowski są sfrustrowani, wie chyba każdy. W geście rozpaczy i nadziei mogą jednak poprzeć Tuska – odpowiada europoseł PiS.

– O Komorowskim i Kopacz słyszałem, że są przewidywani do startu z list PO, reszta polityków lewicowych starej daty, którzy krążą na giełdzie nazwisk ewentualnej listy Tuska, może liczyć na miejsca w europarlamencie z ramienia SLD. Dlaczego mieliby ryzykować i nie działać pragmatycznie? Lepiej mieć mysz w garści niż kota w worku – mówi Czarnecki.

Z moich ustaleń wynika, że przynajmniej do czasu ogłoszenia wyników wyborów samorządowych Donald Tusk będzie trzymał scenariusz europejski w rękawie jako alternatywę dla swoich ludzi w Platformie, na wypadek porażki w regionach. – Woli wyczekać do ostatniej chwili i przypuścić szturm na osłabionego Schetynę niż wchodzić z nim w wyniszczającą wojnę pozycyjną, prowadzoną dodatkowo z dystansu – twierdzi jeden z europosłów, dobrze znających temat.

TUSK 2020

I tak dochodzimy do ostatniego, czwartego scenariusza: wyborów prezydenckich 2020 r., w których Donald Tusk wystartuje jako kandydat PO, popierany przez szeroki obóz opozycyjny. Ze wszystkich roztaczanych przez niego i jego środowisko wizji ta wydaje się najbardziej wiarygodna i trzymająca się realiów twardej polityki. – To byłoby ukoronowanie kariery Donalda. Już raz poczuł smak porażki, teraz chce postawić kropkę nad i – mówi mi o ewentualnym starcie Tuska jeden z polityków Platformy. Ten wariant potwierdza Katarzyna Lubnauer. – Do końca 2019 r. Tusk ma swoje ważne zadania europejskie, ale później nie można wykluczyć, że zostanie kandydatem na prezydenta szerokiego obozu opozycyjnego – przekonuje przewodnicząca Nowoczesnej.

Według moich informatorów, gdyby Platforma wypadła zadowalająco w wyborach samorządowych, a Koalicja Obywatelska realnie zagroziła Zjednoczonej Prawicy w wyścigu do parlamentu, to start Tuska z oficjalnym namaszczeniem PO byłby więcej niż pewny. I to pomimo osobistej niechęci, jaką ma względem niego Schetyna. – Gołym okiem widać, że opozycja nie ma dzisiaj nikogo, kto mógłby realnie zagrozić Andrzejowi Dudzie. Kogo może wystawić PO, młodego Krzysztofa Brejzę? To nie ten kaliber. Stróż żyrandola czy nie, prezydentura wydaje się najlepszym pomysłem na polityczną emeryturę Tuska – twierdzi Ryszard Legutko.

Gdy pytam innych moich rozmówców, co wydarzyłoby się w sytuacji, w której wygrana prezydentury nie byłaby pewna, wielu z nich się waha. – Niestety, to jedna z wad Tuska. Jest dobry w grach wewnątrzpartyjnych, ale nie lubi ryzyka. Woli przychodzić na gotowe i dlatego z ogłoszeniem decyzji będzie czekał do samego końca – twierdzi mój rozmówca z PO. Nie wszyscy jednak wierzą w zachowawczość Tuska. – Z wielu badań, które przeprowadziłem, albo z którymi miałem styczność, wynika, że wraz z wiekiem u polityków rośnie prawdopodobieństwo źle skalkulowanego startu wyborczego – mówi Jarosław Flis.

Bez względu jednak na to, który z przedstawionych scenariuszy wybierze Donald Tusk, jedno wydaje się pewne. W perspektywie dwóch lat czeka nas symboliczne, i być może ostateczne starcie PO – PiS. Chyba nikomu nie trzeba tłumaczyć, o jaką stawkę będzie się toczyć ta walka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

Projekt Warszawa

Kamila Baranowska

Rafał Trzaskowski miał zdobyć stolicę bez większego wysiłku. Na razie to jednak Patryk Jaki nadaje ton rozgrywce wyborczej. Pytanie, czy przebieg kampanii jest w stanie zmienić sympatie warszawiaków, które od lat są po stronie Platformy

Czy dzięki dobrej kampanii można wygrać wybory, których wynik wydaje się przesądzony? I analogicznie – czy źle poprowadzona kampania może zaprzepaścić szanse polityka, który na starcie wydawał się pewniakiem do zwycięstwa? Te pytania krążą dziś nad głowami sztabowców zarówno Patryka Jakiego, jak i Rafała Trzaskowskiego.

NA PRAWO MOST, NA LEWO IDEOLOGIA

– W tych wyborach podejmiemy decyzję, czy Warszawa będzie Warszawą ideologiczną PO, czy pragmatyczną Patryka Jakiego – przekonywał na niedawnej konferencji Patryk Jaki, kandydat Zjednoczonej Prawicy. Była to reakcja na udział Rafała Trzaskowskiego w Paradzie Równości, a także jego deklarację, że chętnie udzieliłby ślubu parze homoseksualnej. Jaki zapewnił też, że nie wyda „ani jednej złotówki na sprawy ideologiczne".

W jego deklaracji nie było przypadku. Badania, które robi sztab Jakiego, pokazują, że warszawiaków nie interesują sprawy światopoglądowe. O wiele ważniejsze są dla nich kwestie jakości komunikacji publicznej, czystości powietrza, dostępu do usług medycznych, budowy nowych mostów i – odpowiadając na oczekiwania potencjalnych wyborców – na te właśnie tematy stawia Patryk Jaki.

Dlaczego zatem Trzaskowski tak bardzo skupia się na kwestiach ideologicznych? Zastanawiają się nad tym nawet najzagorzalsi kibice Platformy. „Wielu uważa, że Trzaskowski ma gorszą kampanię niż Jaki. Jego błędem strategicznym (podobnie jak Komorowskiego) jest kierunek w lewo, gdy tymczasem walczy o centrum. Deklaracja, że chciałby udzielać ślubu gejom, zyska mu miły felieton w »Gazecie Wyborczej«, ale powoduje straty wśród centrowców" – stwierdził Roman Giertych.

Nie jest jedynym sympatykiem opozycji, który otwarcie krytykuje to, co robi Rafał Trzaskowski. – Mam wrażenie, że sztab Rafała Trzaskowskiego jest kompletnie pogubiony. To, co się teraz dzieje, to jest jakaś porażka – stwierdziła była posłanka Nowoczesnej Joanna Scheuring-Wielgus w Wirtualnej Polsce. Także Robert Biedroń w TVN24 przyznał, że Jaki prowadzi lepszą kampanię. – Patryk Jaki jest dla mnie bardzo autentyczny, bo on mówi z serca – powiedział. – Mam nadzieję, że opozycja się otrząśnie, bo wygra Patryk Jaki i będzie za późno – dodał.

Rzeczywiście – Rafał Trzaskowski okazał się niewdzięcznym materiałem na kandydata i jeszcze przed oficjalnym startem wyborczego wyścigu Platforma musi myśleć o ratowaniu jego kampanii. Trzaskowski zalicza wpadki, łatwo daje się wyprowadzać z równowagi i nie ma pomysłów, którymi mógłby zaskoczyć. Zachowuje się, jakby wygrana mu się należała i nie musiał o nią specjalnie zabiegać. To zaczęło dawać do myślenia kierownictwu PO.

Jeszcze przed ogłoszeniem kandydatury Trzaskowskiego, kiedy zastanawiano się, na kogo ostatecznie Schetyna postawi w Warszawie, jeden z polityków Platformy mówił mi, że Trzaskowski to ryzykowna decyzja. Na pytanie, dlaczego, odpowiadał: – Rafał to polityk salonowy, przyzwyczajony do funkcjonowania w rzeczywistości Parlamentu Europejskiego, a nie zajmowania się dziurami w jezdni i kałużami. Nie bardzo wyobrażam go sobie na spotkaniach z wyborcami, którzy skarżą się na wywóz śmieci.

DO MNIE, WARSZAWO, SIĘ ŚMIEJESZ

Teraz okazuje się, że miał rację. Niedawno w Internecie pojawiło się nagranie z nerwową reakcją Trzaskowskiego na próbę zadania mu żartobliwego pytania przez przychylnego mu mieszkańca (jak się okazało, był to sympatyk KOD). I choć ten zapewniał o swojej życzliwości, Trzaskowski potraktował go obcesowo i nie chciał z nim rozmawiać. – Facet wyglądał mi na takiego, który ma poczucie humoru, natomiast nie ma – ocenił ów człowiek.

To niejedyna wpadka, którą zaliczył kandydat Platformy. Hitem w sieci stał się fragment nagrania z jednego ze spotkań z mieszkańcami, na którym Trzaskowski przyznaje, że nie zna miasta. – Ja nie znam

FOT. MACIEJ STANIUK/REPORTER

eprasa.pl acf664e4b9

dzielnic. Ja, jako warszawiak, nie znam. Akurat w Rembertowie miałem dziewczynę, więc Rembertów tak. Ale Wesołej? Ursus? Ja nie znam – mówi kandydat na prezydenta miasta. A już zupełnie nieprzemyślaną wypowiedzią było stwierdzenie, że inwestycja w postaci Centralnego Portu Komunikacyjnego jest niepotrzebna, bo przecież powstaje lotnisko w Berlinie i trudno będzie z nim konkurować. Sympatii kandydatowi PO nie przysporzyły także kpiny Moniki Olejnik, która goszcząc go w swoim programie, kilka razy upominała, by podczas rozmowy patrzył na nią, a nie na siebie na ekranie.

Platforma Obywatelska widząc, co się dzieje, postanowiła zareagować i dokonać zmian zarówno w zapleczu Trzaskowskiego, jak i w kampanijnej taktyce.

Przede wszystkim postanowiono zminimalizować ryzyko kolejnych gaf. W jaki sposób? Odcięto Trzaskowskiemu dostęp do Twittera i ograniczono udostępnianie nagrań ze spotkań z mieszkańcami stolicy. Z rozmów z ludźmi do sieci mają teraz trafiać głównie zdjęcia, a nie nagrania wideo.

Za media społecznościowe kandydata PO miała odpowiadać Kinga Gajewska, ale coraz częściej mówi się o tym, że docelowo zadanie to przejmie profesjonalna agencja. Na razie do pracy na rzecz Trzaskowskiego w Internecie włączyła się jeszcze współpracownica posła PO Roberta Tyszkiewicza Anna Mierzyńska, która przedstawiając się jako specjalistka od mediów społecznościowych, oznajmiła, jakoby większość sympatyków Patryka Jakiego było botami, czyli nieistniejącymi w rzeczywistości automatami. W odpowiedzi ruszyła na Twitterze akcja, w której zwolennicy Jakiego publikowali swoje zdjęcia z podpisem: „To my, boty".

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Pierwszą jaskółką wprowadzanych zmian był sondaż przygotowany przez firmę byłego doradcy od PR Donalda Tuska – Łukasza Pawłowskiego, w którym Trzaskowski wygrywa z Jakim już w pierwszej turze (stosunkiem głosów 53,58 proc. do 25,65 proc.). To miało pokazać, że mimo wszystko to Trzaskowski pozostaje faworytem tego wyścigu.

SEN O WARSZAWIE

To samo wynika zresztą z większości wewnętrznych badań, które regularnie zamawiają oba sztaby. Chociaż, jak słyszymy, widać w nich także, że Patryk Jaki powoli odrabia straty.

Jego kampania prowadzona jest sprawnie i energicznie. Jaki sypie pomysłami, prawie codziennie robi konferencje prasowe i widać, że czuje się w tym wszystkim jak ryba w wodzie. Z większych wpadek zaliczył jedną, kiedy w jego spocie zamiast warszawskiej Pragi znalazła się Praga czeska. Jaki bardzo się pilnuje, mając świadomość, że są media, które czyhają na jego najmniejsze potknięcie.

Kandydatowi Zjednoczonej Prawicy pomagają za to bardzo młodzi radni PiS, którzy podsuwają mu gromadzone od lat pomysły i postulaty mieszkańców. Ostatnio w sztabie powstał pomysł, by radni poszczególnych dzielnic odsyłali zgłaszających się do nich z konkretnymi sprawami warszawiaków na niebieską ławkę Trzaskowskiego, na której ten rozmawia z mieszkańcami stolicy. – Radni opozycji i tak niewiele mogą, więc niech mieszkańcy pytają kandydata rządzącej od tylu lat Platformy, jak rozwiąże ich problemy. To o wiele lepsze niż wysyłanie jakichś działaczy czy młodzieżówki, co robi opozycja na spotkaniach polityków PiS w terenie – opowiada nasz rozmówca, współpracujący z Jakim.

– Jest mało prawdopodobne, by Patrykowi Jakiemu udało się wygrać, ale jego wysiłek i dobrze, na razie, prowadzona kampania mogą przełożyć się na lepszy wynik PiS w wyborach do rady miasta – przewiduje prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW.

Dlaczego ekspert nie wierzy w wygraną Jakiego? – Aby do niej doszło, musiałyby zagrać dwa czynniki. Po pierwsze, jakaś afera, która personalnie uderzałaby w kandydata Platformy i byłaby czytelna dla wyborców. Po drugie, musiałoby dojść do strukturalnego podziału niepisowskich wyborców, a to byłoby możliwe przy starcie kandydata, który byłby akceptowalny dla tego środowiska. Na razie takiego nie widać – uważa prof. Chwedoruk.

W sztabie Patryka Jakiego wszyscy zdają sobie sprawę z tych realiów. Dlatego do wszystkiego podchodzą na chłodno, bez optymizmu, który czasem towarzyszy prawicowym komentatorom. A kiedy słyszą porównania do kampanii z 2015 r., od razu odpowiadają, że akurat w Warszawie Andrzej Duda przegrał. I to pomimo to, że w wyborach prezydenckich do liczby głosów mieszkańców stolicy dodawane były głosy Polonii.

Bez względu na to, jak zakończy się wyścig w Warszawie, Jaki swoim zaangażowaniem pomoże PiS w wyborach w całym kraju

– Dlatego to musi być jeszcze lepsza kampania – mówił Patryk Jaki w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy". Dodawał jednak, że gdyby nie wierzył w wygraną, nie byłoby go w tym miejscu. – Nadal struktura tego miasta jest centroprawicy nieżyczliwa i nie można o tym zapominać. Nadal to oni z PO muszą, a my tylko możemy. Będziemy walczyć, ile się da. Mam taką cechę, że co jakiś czas biorę na siebie taką mission impossible, choć wszyscy wokół mówią, żebym odpuścił. I wierzę, że w Warszawie choć sondaże są bezwzględne, dotychczasowe wyniki wyborów są bezwzględne, to jest szansa, by coś zmienić – uważa Jaki.

Profesor Chwedoruk mówi, że bez względu na to, jak zakończy się wyścig w Warszawie, Jaki swoim zaangażowaniem pomoże PiS w wyborach w całym kraju. – Na kampanię w stolicy zwrócone są oczy wszystkich, więc jeśli tutaj Platforma sobie nie radzi, to może się to przełożyć na jej całościowy wynik – mówi. – Jest jeszcze pewien makroefekt kampanii warszawskiej. Rafał Trzaskowski na naszych oczach wypada z politycznego obiegu, nawet jeśli wygra, to długofalowo stracił już raczej możliwość zostania liderem Platformy czy całej opozycji, a niektórzy takie nadzieje w nim niegdyś pokładali – konkluduje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

Maciej Pieczyński

Prezes Związku Polaków na Litwie fałszował faktury? Sprawę zbada polska prokuratura. Michał Mackiewicz uważa, że padł ofiarą „antypolskiej działalności"

Litewska

Według wyników kontroli przeprowadzonej przez Fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie" prezes Związku Polaków na Litwie Michał Mackiewicz zawyżał nakład polonijnej „Naszej Gazety". Wystawiał faktury na 4 tys. egzemplarzy tygodnika za 90 tys. zł, podczas gdy z drukarni w Białymstoku wychodziła tylko jedna czwarta tej liczby (koszt niecałych 30 tys. zł). Nieprawidłowości miały być wykryte w styczniu 2017 r. Mackiewicz został pilnie wezwany do Polski w celu okazania oryginalnych faktur i dowodów płatności, dotyczących rozliczenia za rok 2016. – Żaden z wydatków, które początkowo przedstawił nam pan Mackiewicz, nie pokrywał się z przelewami zarejestrowanymi na wyciągu z konta bankowego. Konfrontując się z całym zarządem w pełnym składzie oraz z naszą księgową i koordynatorem zajmującym się mediami na Litwie, prezes ZPL w całości przyznał nam rację, gdy podważyliśmy wiarygodność złożonych przez niego materiałów. Przy nas wyjął z torby właściwą dokumentację, która była zgodna z danymi z drukarni – mówi „Do Rzeczy" Mikołaj Falkowski, prezes Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie".

„Osoba przygotowująca rozliczenie śmiało wypisała fakturę na całość dotacji, bo gazeta ukazywała się regularnie, więc, mówiąc językiem urzędowym, »projekt był zrealizowany w 100 proc.«. Później, przy kopiowaniu załączników, powstały problemy – zauważyliśmy, że nie mieścimy się w kwocie według rodzajów wydatków i pozostają niewykorzystane środki na druk tygodnika, zaś na inne wydatki zostały określone zbyt małe kwoty. Stało się jasne, że potrzebna będzie korekta wydatków. Co w zasadzie zdarza się dość często i taka korekta przy rozliczeniu jest dopuszczalna" – tłumaczył się na łamach „Naszej Gazety", organu prasowego ZPL, Michał Mackiewicz. – Nie chodzi o to, czy tygodnik „Nasza Gazeta" wychodził regularnie, czy nie, ale o to, w jakim nakładzie był drukowany oraz ile kosztował druk – komentuje Mikołaj Falkowski.

ZARZUTY I TŁUMACZENIA

Zdaniem Mackiewicza zarzuty są natury politycznej. „Skandal, który wybuchł w przeddzień, w trakcie i po 15. Zjeździe ZPL nie był dla mnie zaskoczeniem" – pisze Mackiewicz. „Jeszcze w 2016 r., uczestnicząc jako wiceprezes Rady Polonii Świata w obradach Forum Polonii Amerykańskiej w Rzeszowie, dowiedziałem się, że w przeddzień pełniący wówczas obowiązki wiceministra spraw zagranicznych RP Jan Dziedziczak instytucjom współpracującym z Polonią nakreślił zadanie potrzeby zmiany prezesów Kongresu Polonii Amerykańskiej oraz Związku Polaków na Litwie. Dlatego niewiele się zdziwiłem, gdy przez ostatnie półtora roku doświadczałem pewnego rodzaju szantażu, prób upokorzenia i oszczerstw". – Pan Mackiewicz dostał od nas szansę, by się wytłumaczyć z wydatków za 2016 r. Okazał dobrą wolę i zobowiązał się do zwrotu niewykorzystanej części dotacji. Mając jednak uzasadnione podejrzenia, że w podobny sposób środki były rozliczane w poprzednich latach, wszczęliśmy kontrolę wsteczną. Okazało się, że również w poprzednich latach dochodziło do nieprawidłowości – mówi prezes Falkowski. Prezes Mackiewicz twierdzi, że w 2016 r. ZPL dostał po raz pierwszy od wielu lat pieniądze na swoją działalność z Senatu RP, za pośrednictwem fundacji. „Do tego czasu dotacje były albo symboliczne, albo wcale ich nie było, mimo to jest to jedyna gazeta społeczna, integrująca Polaków z całej Litwy zrzeszonych w szeregach ZPL" – pisze na łamach „Naszej Gazety". – To nieprawda. Tygodnik był finansowany regularnie, co roku. Od 2014 r. ZPL zawyżał kilkukrotnie wartość faktur – odpowiada Mikołaj Falkowski.

Prezes ZPL krytykuje prezesa fundacji za to, że oświadczenie dla mediów w sprawie nieprawidłowości wydał zarówno w języku polskim, jak i litewskim. „Po co? Ano z nadzieją, że trafi to do antypolskich sił litewskich, które potrafią

eprasa.pl acf664e4b9

Michał Mackiewicz przemawia podczas uroczystości upamiętniających 150. rocznicę urodzin marszałka Józefa Piłsudskiego. Zułowo, Litwa, 5 grudnia 2017 r. FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

afera

dokończyć dzieła, które prowadził ostatnio Falkowski – zniszczyć ZPL jako silną, liczącą się strukturę" – sugeruje Mackiewicz. – Siłą rzeczy po ujawnieniu sprawy fundacja musiała jakoś zareagować, nie mogliśmy tej sprawy zamiatać pod dywan. Dostaliśmy mnóstwo telefonów z mediów nie tylko polskich, lecz także litewskich. Żeby nie tłumaczyć za każdym razem wszelkich zawiłości, postanowiliśmy tekst oświadczenia przetłumaczyć – odpowiada Falkowski. Działania fundacji ostro skrytykowali europosłowie PiS. W specjalnym oświadczeniu czytamy: „Nasi rodacy na Litwie zachowali tożsamość opartą na wspólnocie wartości i są przykładem świetnej samoorganizacji i determinacji w dochodzeniu swoich praw. Dzięki Związkowi Polaków na Litwie i Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związkowi Chrześcijańskich Rodzin bronią praw jej mieszkańców do zachowania języka, kultury i tradycji przodków. Od lat części organizacji politycznych na Litwie – tych o skrajnie antypolskim nastawieniu – zależy na zniszczeniu polskości na Wileńszczyźnie. Systematycznie dążą one do rozbicia jedności środowiska polonijnego".

KTO CHCIAŁ ROZGŁOSU?

Europosłowie oskarżyli też ambasador RP w Wilnie o działalność „wymierzoną w autonomię i samostanowienie największej polskiej organizacji w Republice Litewskiej". Chodzi o spotkanie, na jakie Urszula Doroszewska wezwała Mackiewicza tuż przed niedawnymi wyborami kierownictwa ZPL. Najprawdopodobniej ambasador namawiała prezesa, by do czasu wyjaśnienia nieprawidłowości nie kandydował na kolejną kadencję. „Wszystko to jest zorganizowana, antypolska działalność" – tak po spotkaniu z ambasador całą sprawę komentował Mackiewicz. I dodał, że ktoś z Litwy wykorzystuje kontakty w Polsce, by mu zaszkodzić. – Moją intencją jest wspieranie Polaków i Polonii, gdziekolwiek by była – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" europoseł PiS Beata Gosiewska, jedna z sygnatariuszy apelu. – Wszelkie dotacje należy rozliczać uczciwie, jednak w tym konkretnym przypadku zachodzi podejrzenie, że nie było żadnych poważnych nieprawidłowości, natomiast ktoś chce wykorzystać całą sprawę, żeby pozbyć się pana Mackiewicza, który uważany jest za człowieka uczciwego.

W treści apelu europosłowie zwrócili się do premiera, aby „zwrócił uwagę kierownictwu Fundacji, że nazywa się ona „Pomoc Polakom na Wschodzie", a nie Fundacja „Ścigania Polaków na Wschodzie". – Nie zgadzam się na taką grę słów. Rozumiem, że ta afera to wielka wizerunkowa strata dla pana Mackiewicza. Jednak jako poważna instytucja, odpowiedzialna za wydatki na wsparcie Polaków na Wschodzie, nie możemy pozwolić na to, żeby pieniądze polskiego podatnika były defraudowane. To, że ktoś promuje polską kulturę na Litwie, nie zwalnia go z obowiązku przestrzegania przepisów polskiego prawa. Fałszerstw nie można przykryć patriotyczną retoryką, bo żadnym patriotyzmem nie jest okradanie państwa polskiego – odpowiada Falkowski. Sprawą zajmuje się prokuratura. O ewentualnej winie Mackiewicza zdecyduje sąd. Falkowski nie ma jednak wątpliwości: – Jeżeli ktoś na przestrzeni 30 miesięcy kładzie na stole ponad 120 podrobionych faktur i potwierdzeń przelewów, to nie może to być niefrasobliwość i przypadek albo niedopatrzenie – komentuje. Dodaje przy tym: – Wszelkie nasze zastrzeżenia wobec kierownictwa ZPL dotyczą wyłącznie spraw finansowych. To nie jest żaden atak polityczny. Nie negujemy samej działalności kulturalnej ZPL, zwłaszcza że ta organizacja, niezależnie od tego, co robi sam pan Mackiewicz, bardzo prężnie funkcjonuje w terenie, w ramach oddziałów rejonowych.

Beata Gosiewska uważa, że wszelkie wątpliwości co do działalności ZPL powinny być wyjaśniane w ramach bieżących relacji pomiędzy fundacją a związkiem, nie zaś na łamach prasy. Natomiast Antoni Radczenko, redaktor naczelny portalu Wiadomości Znad Wilii, twierdzi, że to raczej Mackiewicz nadał całej sprawie rozgłos: – Mógł wszystko spokojnie i po cichu wyjaśnić, w tym celu był przecież wzywany na rozmowy do pani ambasador i do prezesa fundacji. Jednak wolał wywołać skandal – komentuje Radczenko. – Michał Mackiewicz bardzo często używa patriotycznej retoryki, akcentuje swoją polskość. Tymczasem w tym konkretnym przypadku zasłania się immunitetem posła do litewskiego parlamentu [Mackiewicz jest posłem do Sejmasu z ramienia Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – przyp. red.]. A jednocześnie głośno mówi o politycznych, antypolskich atakach. Powinien zrezygnować ze stanowiska do czasu wyjaśnienia sprawy, zamiast iść w zaparte, bo to właśnie szkodzi wizerunkowi polskiej mniejszości na Litwie – dodaje.

NA LITWIE NIE JEST ŹLE

Michał Mackiewicz był jednym z inicjatorów powołania w połowie lat 90. Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. Funkcję prezesa Związku Polaków na Litwie pełni od 2002 r. Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Jest jednym z najbardziej znanych Polaków na Litwie. – Trudno powiedzieć, jakim autorytetem cieszy się wśród litewskiej Polonii – mówi Radczenko. – Polacy na Litwie głosują z reguły na swoich rodaków – dodaje.

Wśród problemów polskiej mniejszości nad Wilią wciąż tym najpoważniejszym jest pisownia polskich nazwisk. Zdaniem Radczenki jednak sytuacji Polaków na Litwie nie można porównać choćby z sytuacją rodaków na Białorusi. – Mimo wszystko litewskie władze stwarzają nam dość dobre warunki rozwoju. Myślę, że udałoby się więcej uzyskać, gdyby działacze polskiej mniejszości stosowali nieco mniej konfrontacyjną, „wojenną" retorykę – konstatuje redaktor naczelny polonijnego portalu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

Tomasz P. Terlikowski

Zakneblowany prorok?

O. Augustyn Pelanowski wygłosił kilka mocnych kazań dotyczących Franciszka

FOT. ROMAN KOSZOWSKI/FOTO GOŚĆ/FORUM

Czy także w Polsce rozpoczął się czas kneblowania głosów nieprzychylnych Franciszkowi? Czy kapłani i biskupi, którzy mają problem ze stylem obecnego pontyfikatu, muszą się liczyć z nakładaniem ograniczeń?

Jeszcze kilka miesięcy temu w Watykanie zupełnie wprost mówiono, że jeśli są na świecie jakieś lokalne zachodnie Kościoły, które z trudem przyjmują „rewolucję duszpasterską" Franciszka, to są to Stany Zjednoczone i Polska. Spór, jeśli w ogóle czegoś dotyczył, to raczej tego, kto z perspektywy watykańskiej biurokracji jest gorszy. Teraz jednak, wiele na to wskazuje, sytuacja się zmieniła. Kościół w Polsce wydał długo oczekiwany dokument dotyczący „Amoris laetitia", a bp Andrzej Czaja w trakcie jego prezentacji zaznaczył, że dokument ten jest dowodem „ewolucji mentalnej", którą biskupi w Polsce odbyli od momentu opublikowania „Amoris laetitia". – Na początku byliśmy, można tak powiedzieć, w punkcie „trzymajmy się przede wszystkim »Familiaris consortio«". Sytuacja jednak pokazuje nam, że po pierwsze „Amoris laetitia" w żaden sposób nie narusza ani doktryny, ani Kodeksu prawa kanonicznego, natomiast wskazuje piękną drogę wyjścia i udrażniania duszpasterstwa małżeństw i rodzin – tłumaczył przewodniczący Komisji Nauki Wiary KEP. I choć, jak wynika z prywatnych rozmów, wielu z biskupów nie podziela takiego postrzegania adhortacji, to jest to obecnie obowiązująca linia w polskim Kościele. Co to oznacza dla rozwodników w ponownych związkach? Nic, bo akurat na ten temat biskupi się nie wypowiedzieli.

Ta zmiana zbiegła się z innym, nie mniej istotnym procesem, jakim jest wymuszanie (środkami prawnymi i dyscyplinarnymi) milczenia na najbardziej dynamicznych krytykach Ojca Świętego w polskim Kościele. Zaczęło się niegroźnie od dyscyplinującej rozmowy apb. Marka Jędraszewskiego z ks. prof. Edwardem Stańkiem w Krakowie, a potem przyszedł czas na paulina o. Augustyna Pelanowskiego, który został przeniesiony z Wrocławia do klasztoru w Łęczeszycach, gdzie – według początkowych nieoficjalnych informacji – miał otrzymać zakaz publicznych wystąpień i móc odprawiać tylko msze prywatne. Informację tę potwierdzały źródła bliskie zakonnikowi, on sam jednak milczał. Kilka dni później, po sporej medialnej burzy, zakon ojców paulinów wydał w tej sprawie oficjalny komunikat, w którym zapewniono, że zakonnik nie otrzymał zakazu wypowiedzi, a przeniesienie na nową placówkę to standardowa sytuacja w życiu zakonnym. I choć trudno się z tym nie zgodzić, to nie sposób nie dostrzec też, że przeniesienie i nagłe zamilknięcie charyzmatycznego kaznodziei zbiegło się z kilkoma niezwykle mocnymi jego kazaniami dotyczącymi Franciszka.

KIEDY SŁUCHAĆ PAPIEŻA

Jedną z najmocniejszych, porównywalnych niewątpliwie z kazaniem ks. prof. Stanka, była homilia dotycząca pytania o to, kiedy i w jakich okolicznościach należy słuchać Ojca Świętego. Ojciec Augustyn Pelanowski, by odpowiedzieć na to pytanie, odwołał się do Ewangelii, a konkretnie do rozmowy Jezusa z Piotrem, dotyczącej tego, za kogo ludzie uważają Jezusa. – Mamy takie czasy, a nie inne, kiedy ta rozmowa dokonuje się właściwie

eprasa.pl acf664e4b9

na naszych oczach. Jezus pytał, a apostołowie różnie odpowiadali. Jedynie Piotr powiedział celną Prawdę, Prawdę zgodną z oczekiwaniem Jezusa. Powiedział to, kim naprawdę był Jezus, a nie to, co się ludziom wydawało. Odpowiedział Prawdą zgodną z Objawieniem: Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego – mówił o. Pelanowski. Odpowiedzią Jezusa było wypowiedzenie prawdy o Piotrze, który jest skałą, na której zbudowany jest Kościół. Gdy jednak chwilę później Piotr próbował odwieść Jezusa od Męki i Śmierci usłyszał – o czym także mówił paulin – ostre słowa: „Zejdź mi z oczu, szatanie". Co z tego wynika? Odpowiedź o. Pelanowskiego jest jednoznaczna. – To znaczy, że wtedy, kiedy papież mówi prawdę o Jezusie, to jest papieżem, a kiedy kłamie o Nim – przestaje być papieżem – zauważył zakonnik. I nie ma co ukrywać, że te słowa brzmiały niezwykle mocno. Szczególnie jeśli zestawić je z kolejnymi, w których paulin wzywał do tego, by odróżniać w słuchaniu papieża subiektywne ludzkie przekonania o tym, kim jest Bóg, od Prawdy zgodnej z nauką Pana Jezusa, czyli depozytu wiary. – Ludzie nie mogliby słuchać jakiegoś papieża tylko dlatego, że jest papieżem, jeśli twierdziłby np., że nie ma Syna Bożego, a Chrystus to kłamca. Albo gdyby mówił o „czwórcy świętej", podważał fakt, że aborcja jest grzechem, albo twierdził, że istnieją „homoseksualne małżeństwa" – mówił zakonnik. – Byłoby bałwochwalstwem bezkrytycznie wierzyć we wszystko to, co ta postać mówi – wskazał o. Pelanowski.

Jakie są zatem kryteria słuchania papieża? – Nauczanie papieża jest bezbłędne jedynie wtedy, gdy jest zgodne z nauczaniem Jezusa. A Jezus nie powiedział apostołom tak: idźcie na cały świat, głoście różną Ewangelię, zależnie od przestrzeni mówcie co innego, zależnie od tego, czego ludzie chcą słuchać. Kazał im głosić tę samą Ewangelię wszędzie, niezależnie od szerokości geograficznej – mówi paulin. A w wypowiedzi dla portalu Fronda uzupełniał, że „nawet Magisterium Kościoła nie jest ponad Słowem Bożym, ale my mamy mu służyć, wyjaśniać, co jest w Piśmie zawarte. Chrystus jasno stwierdza: kto oddala żonę swoją, a bierze inną, popełnia cudzołóstwo względem niej. Jeśli żona opuści swego męża, a wyjdzie za innego, popełnia cudzołóstwo. Jest tak napisane? Jest tak napisane! Więc nie może być nauczania sprzeciwiającego się temu, co powiedział Jezus".

Nie jest przypadkiem, że aby wyrazić swoje poglądy dotyczące nauczania papieża Franciszka, o. Augustyn Pelanowski odwołuje się akurat do Biblii. Ogromna większość jego nauczania oparta jest właśnie na lekturze Słowa Bożego, na próbie jego aktualizacji, zastosowania do konkretnej sytuacji. Można powiedzieć, że Pelanowski czyta Biblię tak jak pobożni Żydzi, szukając w niej nieustannie odwołania do obecnej sytuacji, a także błyskawicznie łącząc wątki czy budując parabole. Biblia jest u niego tekstem żywym, dynamicznym, wywołującym wstrząs, a jego lektura jest zawsze prowadzona z pasją nie tyle biblisty, ile proroka, który przykłada Słowo do konkretnej sytuacji. Doskonale widać to w innym kazaniu o. Pelanowskiego poświęconym uchodźcom, a dokładniej tym, którzy podkreślają, że do przyjmowania uchodźców zobowiązuje nas ewangeliczna opowieść o tym, jak Jezus oddzielił owce i kozły. – W przypowieści Chrystus w todze sędziego – zapewne niewypożyczonej z miejscowości Miesbach – ze swoimi anielskimi prokuratorami i adwokatami wyda wyrok nie na chrześcijan, tylko na tych, którzy ich prześladowali. Wynika to niedwuznacznie już z pierwszych dwóch wierszy rozpoczynających tę parabolę. Przypowieść ta nie jest jakimkolwiek wyrzutem, groźbą pod adresem chrześcijan, tylko jest skierowana w stronę tych, którzy nie znali Go, nie uwierzyli w Niego. Wyraźnie wynika z treści, że Chrystus z aniołami zgromadzi ludzi z innych narodów, czyli z tych narodów, krajów, państw, które Go nie znały, a przynajmniej nie były wyznawcami chrześcijaństwa. Grecki tekst ewidentnie to zaznacza, że chodzi o sąd nad niewierzącymi w Chrystusa poganami, gdyż użyto tu słowa ETHNOS (naród), zapisanego w liczbie mnogiej: ETHNE – które można śmiało przetłumaczyć jako pojęcie określające pogan (Mt 25, 32). Często też w Biblii rzeczownik ten występuje w antytezie do Izraelitów, a także i do chrześcijan. Wystarczy przewertować Ewangelie, Listy Apostolskie, by się o tym przekonać – zaznaczał duchowny.

– Z naszej współczesnej perspektywy przypowieść nie straciła w ogóle na aktualności, gdyż mamy wokół siebie mnóstwo ludzi niebędących chrześcijanami. Bóg osądzi muzułmanów, hinduistów i ateistów i kogokolwiek, kto nie był chrześcijaninem, ale kto stykał się z chrześcijanami – osądzi ich za ich stosunek do nas, chrześcijan, bo to w nas jest Chrystus ukryty – dodawał. I wreszcie wyjaśniał, że „ponieważ ci osądzani z przypowieści nie znali Chrystusa, nie znali Ewangelii, nie byli chrześcijanami, weryfikacją eschatologiczną będzie ich stosunek nie do Chrystusa, tylko do innego człowieka, a przede wszystkim do tych, w których Chrystus był ukryty, do kogoś, kto właśnie był chrześcijaninem. Ponieważ w tym, którego nakarmili, przyodziali, odwiedzili w więzieniu i przyjęli jako przybysza, o którego zatroszczyli się, bo był chory – ukrywał się Chrystus. Chrystus ukrywa się w każdym prawym chrześcijaninie. Można nie wierzyć w Chrystusa, bo się Go nie spotkało, ale nie da się uniknąć spotkania z chrześcijaninem. Będzie to więc ostatnią szansą dla niewierzących: czy potrafili chrześcijan potraktować po ludzku, a nie jak Asie Bibi czy tych Koptów na brzegu morza ściętych maczetami, czy ukrzyżowanych przez muzułmanów chrześcijan z Syrii, Iraku albo obnażonych i zgwałconych dziewcząt porwanych przez Boko Haram? Pan osądzi więc muzułmanów, hinduistów, buddystów, ateistów i oczywiście panów z Brukseli za to, jacy byli wobec wyznawców Chrystusa. Nie jest to więc przypowieść mówiąca o tym, że chrześcijanie mają rozpoznawać Chrystusa w niewierzących, ale że niewierzący mają okazać Chrystusowi miłosierdzie, którego nie znali, w dostrzeganych i potrzebujących pomocy chrześcijanach. Kiedy się ktoś powołuje na Biblię, to lepiej niech sprawdzi, co tam jest rzeczywiście napisane, zanim cokolwiek zacytuje. Nie tylko z każdego niepotrzebnego słowa zdamy rachunek, ale też z każdego zmanipulowanego słowa, a zwłaszcza gdy jest to słowo Boga!" – zakończył.

MILCZĄCY PROROK

Takich rozważań, wcale niedotyczących kwestii politycznych, ale zazwyczaj egzystencjalnych, jest w kazaniach, słowach, książkach o. Augustyna Pelanowskiego wiele. I równie wielu jest jego uczniów, którzy jak on czytają Słowo, by nie tylko nakarmić nim umysł, lecz także przetrawić je w taki sposób, by zastosować je do konkretnych wydarzeń życia. I nawet jeśli (co wcale nie jest oczywiste) zakon ojców paulinów wydał mu nakaz milczenia, to oni będą mówić. On zaś, milcząc, będzie nadal świadkiem niewygodnej dla wielu z nas prawdy o tym, że… posłuszeństwo jest o wiele ważniejsze niż najlepsze nawet kazania. Tam, gdzie zaczyna go brakować, zaczyna brakować Ducha Świętego. I dlatego, nawet jeśli nakazy milczenia obejmą kolejnych duchownych nastawionych krytycznie wobec Franciszka, to ich posłuszeństwo będzie najlepszym sprawdzianem ich wiary.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

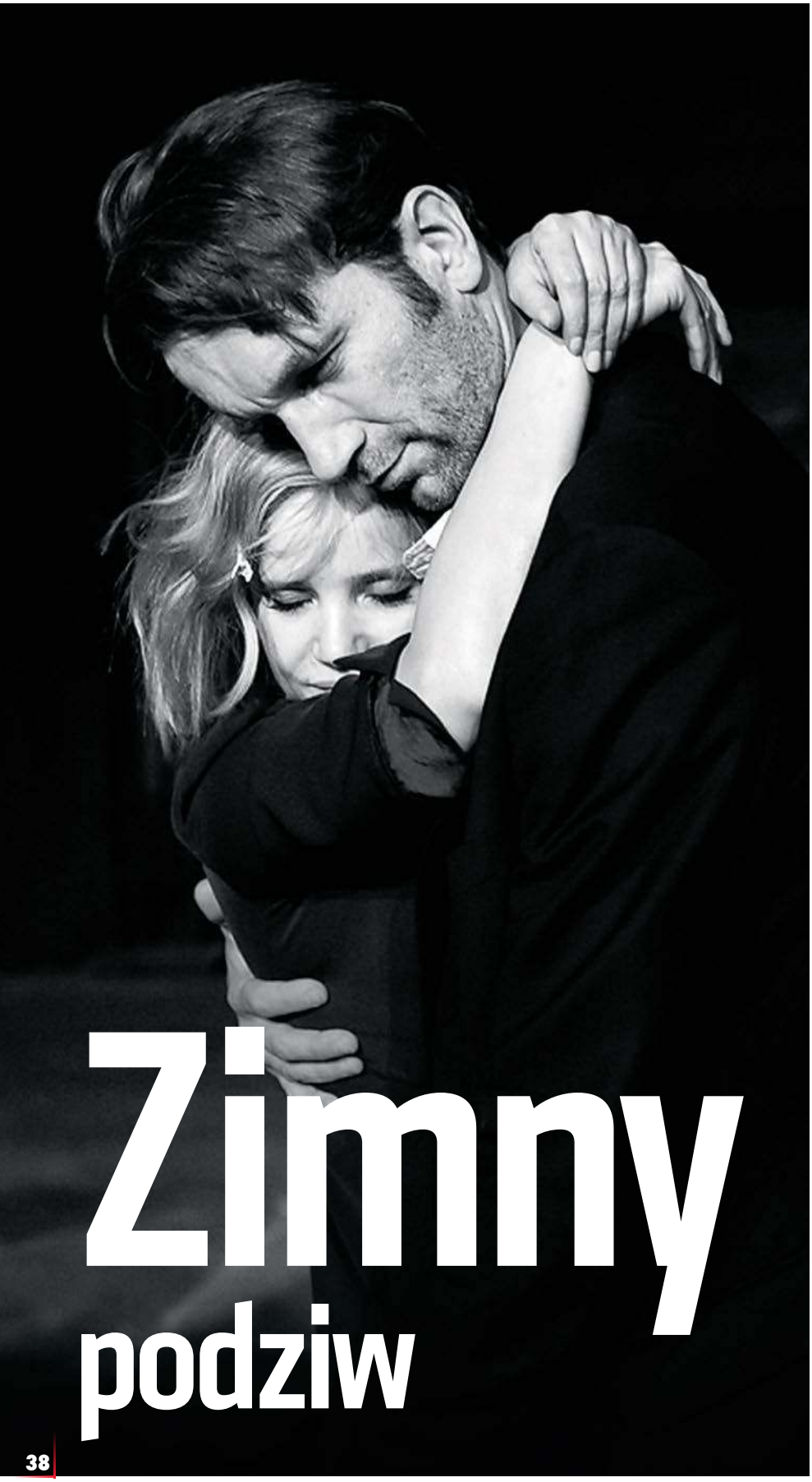

Zimny podziw

Piotr Gociek

Jedynie polskimi kompleksami i pilnym zapotrzebowaniem na arcydzieło wytłumaczyć mogę to, co w polskich mediach działo się wokół nowego filmu Pawlikowskiego

Zaglądam do triumfalnego e-maila od dystrybutora kinowego „Zimnej wojny", a tam takie kwiatki: „Rewelacyjne otwarcie filmu! Ponad 123 tys. widzów po pierwszym weekendzie na ekranach. Jest to nie tylko najlepsze otwarcie filmu w całej karierze Pawlikowskiego, lecz także wynik stanowiący ponad połowę łącznej frekwencji jego poprzedniego filmu, czyli uhonorowanej Oscarem »Idy«".

Cóż, tak naprawdę świadczy to jedynie o tym, jak niewielu widzów miała w polskich kinach „Ida" – przed Oscarem było to 111 tys., potem się udało, na fali rozgłosu, wykręcić nieco ponad drugie tyle. Dla porównania – nie najlepszą przecież „Historię Roja" obejrzało w polskich kinach 310 tys. widzów, nagrodzone w Berlinie „Body/Ciało" – 260 tys., a „Smoleńsk" Antoniego Krauze – 461 tys.

Ściganie się na wyniki sprzedaży biletów jest w tym przypadku zabawne. Kino przecież rozpadło się już dawno na zupełnie różne rodzaje twórczości. Są wielkie widowiska produkowane za setki milionów dolarów zarabiające miliardy dolarów. Są produkcje umiarkowanego komercyjnego środka, które po premierze kinowej szybko wypełniają programy niezliczonych telewizyjnych kanałów, i wcale nikomu niespieszno, żeby z jakimś szczególnym pietyzmem oglądać je na wielkim ekranie. I są wreszcie, w niemal osobnym obiegu, produkcje festiwalowe, artystyczne, autorskie, jak zwał, tak zwał, te, o których powinni dyskutować ludzie poważni i wyedukowani, które należy wspierać, bo to „kultura wysoka". Więcej łączy je z premierami w dobrych teatrach niż z przeciętnym repertuarem multipleksu.

Pawlikowski startuje „Zimną wojną" (podobnie jak wcześniej „Idą") w tej ostatniej kategorii, więc epatowanie liczbą sprzedanych biletów jest nieco

FOT. KINO ŚWIAT

eprasa.pl acf664e4b9

absurdalne, całkiem jakby tabloidy nagle miały się ścigać w publikowaniu tabelek zatytułowanych „Box office Opery Narodowej minionej dekady". Można natomiast, i warto, poważnie o „Zimnej wojnie" porozmawiać, bo w odróżnieniu od rozmaitych polskich produktów filmopodobnych to prawdziwy film – dobrze zagrany, ładnie nakręcony, opowiedziany, stylizowany (nie wiem, czy nie jest w tej chwili w polskim kinie Pawlikowski najlepszym stylistą).

„NASZE ARCYDZIEŁO"

Cofamy się o ponad pół wieku – do Polski, która powoli przechodzi od stalinizmu do epoki małej gomułkowskiej stabilizacji. Terror już mniejszy, ale zasady te same: mali ludzie może i śnią o wielkiej socjalistycznej przyszłości, ale na co dzień zajmują się zarządzaniem szarą rzeczywistością. Duszno jest w PRL, biednie i ponuro, ale widoków na zmianę brak, trzeba radzić sobie w tym, co jest. Strategie są różne: na przetrwanie, na wyrwanie się za granicę (mało komu się udaje), na dobrą karierę w ramach systemu. Władza traktuje kulturę jako ważny instrument rządu dusz, więc artystom niby troszkę lepiej. „Zimna wojna" to po części film o tych strategiach: on – pianista (Tomasz Kot), ona – podśpiewująca tancerka (Joanna Kulig), w tle reprezentujący całą obrzydliwość władzy partyjniak (Borys Szyc). Jednak nie, to nie jest film historyczny ani polityczna analiza czy kino rozrachunku albo moralnego niepokoju. Trudna historia służy jako wehikuł rozdzielający zakochanych. On zostaje za granicą, ona nie znajduje w sobie odwagi, mamy więc klasyczny melodramat, zaś tragedia zostaje pomnożona przez kłopoty bohaterów z samymi sobą, bo ich miłość okazuje się trudna i gorzka. Cytując piosenkę Krzysztofa Krawczyka i Edyty Bartosiewicz: „Trudno tak razem być nam ze sobą/ bez siebie nie jest lżej".

Jeśli ktoś wyczuwa teraz ducha lekkiej kpiny, ten ma rację. Ten ekstremalnie wystylizowany, nawiązujący i do włoskiego neorealizmu, i do francuskiej klasyki, i do polskiego kina lat 60. film przynależy do tradycji hollywoodzkiej bardziej, niż sugerowałaby nagroda na festiwalu w Cannes, zorientowanego przecież zawsze na docenianie tego, co osobne, europejskie i autorskie. Laur wydaje mi się przyznany sprawiedliwie – za reżyserię, czyli za kunszt, sposób, w jaki Paweł Pawlikowski zszył w nostalgiczną i gorzką opowieść sceny z różnych etapów życia kochanków. Nie bez powodu krytycy podkreślali, że czują tu ducha „La La Landu", bo przecież owo rozdarcie ze współczesnej podróbki klasycznego musicalu (miłość czy kariera) znajduje się w centrum „Zimnej wojny". Za reżyserię, zatem za jeden z bardzo ważnych elementów, ale nie dla filmu, który – pomijając „perwersyjną przyjemność w komponowaniu czarno-białych kadrów", jak pisał w „Do Rzeczy" Wiesław Chełminiak, oraz „światło, cień i dźwięk" interesujące Pawlikowskiego najbardziej – pozostaje jednak dziełem błahym. I wcale mi to nie przeszkadza, nie każdego dnia rodzi się nowy Fellini. Zresztą „Zimna wojna" to dowód na to, do jakiego stopnia kino może żywić się – z powodzeniem – samym sobą.

Zgadzam się jednak z Remigiuszem Włastem-Matuszakiem, który gdy rozmawialiśmy o filmie Pawlikowskiego w telewizji Republika, postawił tezę, że świeżość „Zimnej wojny" polega na kontraście. Rzeczywiście, w porównaniu

REKLAMA

eprasa.pl acf664e4b9

z licznymi festiwalowymi dziwactwami, których normalny widz nie jest w stanie zdzierżyć, w porównaniu z tzw. średnią polskiego kina, która sytuuje się gdzieś między „Botoksem", „Listami do M." a rozmaitymi próbami „uniwersalnego kina europejskiego", „Zimna wojna" zyskuje, bo jest po prostu zrobiona dobrze. Jednak żeby zaraz arcydzieło? Nie, tutaj muszę zgłosić weto.

Jedynie polskimi kompleksami i pilnym zapotrzebowaniem na „nasze arcydzieło" wytłumaczyć więc mogę to, co w polskich mediach działo się wokół „Zimnej wojny", bo czytając recenzje, można było odnieść wrażenie, że oto zmartwychwstał co najmniej Wojciech Jerzy Has.

„Tak wielopłaszczyznowego dzieła w polskim kinie nie było dawno. Filmu tak na wskroś polskiego, a zarazem uniwersalnego, zrozumiałego pod każdą szerokością geograficzną" – piał z zachwytu Marcin Cichoński w „Dzienniku Gazecie Prawnej", „porywa siłą wręcz ubezwładniającą" [cokolwiek to znaczy – przyp. P.G.]. „Jeden z nielicznych filmów, które mogą zostać z widzem na całe życie" – chwaliła bez opamiętania Sylwia Krasnodębska w „Gazecie Polskiej Codziennie", a już recenzje na internetowych portalach gromadziły pochwalne przymiotniki w sposób doprawdy nieznośny. Głęboka w nas, jak widać, jest wciąż potrzeba wzniesienia triumfalnego okrzyku „nareszcie chwalą nas, i to na Zachodzie", a tu przecież i dobre recenzje w „Variety", i chwalili dzieło pospołu Cate Blanchett z Guillermem del Toro.

DOBRY ZNAK NA PRZYSZŁOŚĆ

Więcej to wszystko mówi o specyficznym rodzaju widza, jakim jest polski recenzent, niż o samym filmie Pawlikowskiego. Eleganckim, wystylizowanym, sprawnym – powtórzę – ale jednocześnie zimnym, i taki właśnie zimny podziw towarzyszył mi podczas projekcji. To ćwiczenie z rzemiosła filmowego na bardzo wysokim poziomie, coś jak najlepsze płyty Dire Straits – komercja tak dobra, że ocierająca się o sztukę. I oczywiście dobry znak na przyszłość, bo jeśli porówna się niepełne, prawie udane filmy Pawlikowskiego, takie jak „Kobieta z piątej dzielnicy" czy „Lato miłości", z „Zimną wojną", to widać, że nad filmową materią Pawlikowski panuje coraz lepiej. Z tym większym zaciekawieniem czekam na zapowiadany nowy film reżysera, którym ma być

Nad filmową materią Paweł Pawlikowski panuje coraz lepiej FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

ekranizacja świetnej biografii Eduarda Limonowa, rosyjskiego pisarza i skandalisty, napisanej przez Emmanuela Carrère'a. Może ten gorący, wieloznaczny, szalony, niesłychanie utalentowany i dziki bohater, jakim jest Limonow, wielki pisarz i jednocześnie zaciekły narodowy bolszewik, sprawi, że ekran Pawlikowskiego zapełni się prawdziwymi emocjami.

POLITYCZNE ALUZJE

Jest jeszcze i inny wymiar recepcji „Zimnej wojny" – polityka. O tej bieżącej pisałem niedawno w „Do Rzeczy" w tekście „PiSteria Pawlikowskiego" i oczywiście swe twierdzenia podtrzymuję. Nieuczciwością jest zarzucanie polskiemu rządowi cenzury i walki z twórcami kultury, kiedy samemu pełnymi garściami czerpie się z państwowej kasy. Zwykłym kłamstwem jest gaworzenie o jakiejś nacjonalistycznej dyktaturze, która niszczy artystyczną wolność nad Wisłą. I obrzydliwym nadużyciem puszczanie oka do zachodniej publiki, że niby w „Zimnej wojnie", kiedy mowa o manipulowaniu światem sztuki przez komunistów, to jest to aluzja do dzisiejszych praktyk nielubianego przez Pawlikowskiego rządu. Nie jest tu zresztą Pawlikowski wyjątkiem, bo w te same struny biją Małgorzata Szumowska czy Agnieszka Holland, podobnie było z ostatnim filmem Wajdy „Powidoki" – znaleźli się chętni interpretatorzy, którzy gnojenie Władysława Strzemińskiego przez komunistów próbowali sprzedać widzom jako aluzję do współczesnych działań PiS.

O WOLNOŚCI TWORZENIA

Jest i węzeł polityka/historia, ważniejszy oraz ciekawszy. Tutaj interesująco pisał niedawno Tadeusz Sobolewski w „Gazecie Wyborczej", który po powrocie z Cannes nieco oprzytomniał i przestał trąbić, jak to „Zimna wojna" wypełnia w polskim kinie lukę wywołaną faktem, że „nie miało swojej »Casablanki«, »Doktora Żywago« ani »Lecą żurawie«". Za to postawił tezę: „Pawlikowski tworzy inteligencką wersję mitu życia w PRL. Wersją robotniczą był »Człowiek z marmuru«".

Jednak jakiż miałby to być mit? Że władza komunistyczna sprawiła, że artysta i/lub inteligent cierpiał, bo mu odbierała wolność tworzenia? No tak, ale wolność odbierano wszystkim. Poza tym to półprawda i ćwierć mitu. Tak się bowiem składa, że tych, którzy wyrwali się na Zachód w pogoni za wolnością, było bardzo niewielu, a tych, którzy pozostali twórcami niezłomnego oporu, było niewielu. Większość dogadywała się z prawdziwymi odpowiednikami filmowego komunistycznego aparatczyka, którego symbolizuje u Pawlikowskiego Borys Szyc, i stawała się częścią machiny propagandowej władzy. Gdzież tu więc miejsce na legendę? A szczególnie mocno ten problem występował w kinie, bo pisarz mógł jeszcze, tak jak Zbigniew Herbert czy Leopold Tyrmand, zamknąć się w pokoju i piórem ocalać niezależność myślenia oraz tworzenia. Filmowiec zaś w całości uzależniony był od machiny produkcyjnej PRL, szedł więc na rozmaite układy, które owocowały czasem świetnymi filmami, ale częściej nieładnym zapaszkiem moralnego kompromisu.

To, rzecz jasna, byłby świetny materiał na film, ale takiego filmu nie zrobi żaden z polskich reżyserów z PRL-owską przeszłością – z przyczyn oczywistych. I pokolenie Pawlikowskiego też się z tym nie zmierzy, bo to wciąż duchowe dzieci tamtego pokolenia.

★★★★☆☆

REŻ. PAWEŁ PAWLIKOWSKI
„ZIMNA WOJNA"
POLSKA 2018

wyst. Tomasz Kot, Joanna Kulig, Borys Szyc

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI
„KOBIETY DESPOTÓW"
„NIECHCIANI GENERAŁOWIE"

+

Cena: 146 zł
Oszczędność: 123 zł

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl acf664e4b9

Z Przemysławem Słowińskim, autorem książek biograficznych
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Kobiety dyktatorów

Lenin i Nadieżda Krupska FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Śmiertelną chorobą zaraziła Lenina Nadieżda Krupska?

PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: Nie brak takich głosów, niemniej sprawa kiły Lenina pozostaje do dziś niewyjaśniona. Niektórzy historycy uważają, że nabawił się jej podczas pobytu w Anglii, inni, że otrzymał w prezencie od dwóch krakowskich prostytutek. Najprawdopodobniej jednak wodza światowego proletariatu uraczyła syfilisem pewna prostytutka o imieniu Grusza, którą poznał na wygnaniu w Samarze. Związek z Gruszą trwał ok. dwóch lat – do czasu, kiedy kobietę złapano na kolportowaniu pisanych przez Lenina ulotek i wtrącono do więzienia. Nie wydała swojego kochanka, lecz na pożegnanie obdarzyła go prawdopodobnie syfilisem.

Po odstawieniu od łoża Stalin prześladował swoje, operując dzisiejszym językiem, partnerki?

Po śmierci swej pierwszej żony, Keke (Jekateriny Swanidze), powiedział głośno nad jej grobem: „To stworzenie zmiękczało moje kamienne serce. Teraz nie żyje, a wraz z nią umarły wszystkie moje cieplejsze uczucia dla rodzaju ludzkiego. Czuję w piersiach pustkę, tak niewypowiedzianą pustkę". Słowa te zwiastowały śmierć milionów ludzi. „Tego dnia, kiedy pochował swoją żonę, pozbył się ostatecznie cech ludzkich" – stwierdził później jego ówczesny przyjaciel, Józef Iremiszwili. A swych kobiet nie prześladował dopiero po odstawieniu od łoża, lecz wcześniej, tak jak chociażby drugą żonę, Nadieżdę Alliłujewą, która wkrótce po ślubie przekonała się, z jakim potworem przyszło jej żyć. Ich małżeństwo miało finał 8 listopada 1932 r., kiedy popełniła samobójstwo bądź też zastrzelił ją mąż. Jak było naprawdę, być może okaże się po otwarciu tajnych archiwów państwowych w Moskwie.

Trudno już dzisiaj dojść do tego, kiedy dokładnie bezwzględnemu i kapryśnemu Stalinowi znudziła się jego trzecia żona, Roza Kaganowicz. Oficjalna wersja brzmi: „Po krótkim małżeństwie, w 1935 r. doszło do rozwodu". Jednak w istocie pewnego dnia po prostu znikła jak kamfora. Możliwe jest wszystko: że nie mogła już wytrzymać dłużej u boku okrutnego satrapy i schowała się w jakąś mysią dziurę; że Stalin ją wyrzucił, ona zaś uciekła, gdzie pieprz rośnie; że ją zamordowano...

Adolf Hitler kochał wyłącznie platonicznie?

O życiu erotycznym Adolfa Hitlera krążą najrozmaitsze opowieści, większość pozostaje w sferze domysłów. Prywatność wodza otoczona była najgłębszą tajemnicą, ponieważ on sam stwarzał pozory, że nie interesują go sprawy przyziemne, a cały swój czas i siły poświęca III Rzeszy. Jak sam często powtarzał: „Jedyną kobietą, którą kocham, jest Germania". Według Waltera Schellenberga, szefa wywiadu SD: „Hitler owładnięty był siłami demonicznymi, które uniemożliwiały mu nawet normalny związek z kobietą. Ekstaza władzy w jej rozmaitych formach zupełnie mu wystarczała. W czasie swoich przemówień wprowadzał się w stan egoistycznego samopobudzenia, w wyniku którego uzyskiwał pełne zaspokojenie emocjonalne".

W latach 30. obiegała Niemcy plotka, że prawdziwym powodem fanatycznego oddania się przez niego pracy była impotencja. Potwierdzała to w prywatnych relacjach żona ministra propagandy Magda Goebbels, próbująca swego czasu bezskutecznie go uwieść. Wiele wskazuje na to, że przez sporą część życia Adolf cierpiał na nieuleczalną wtedy kiłę. Podejrzewany był również o wiele rozmaitych dewiacji seksualnych, od homoseksualizmu począwszy, a na koprofilii i sadomasochizmie skończywszy. Faktem jest, że wiele jego kochanek popełniło potem samobójstwo lub zginęło w tajemniczych okolicznościach. Najprawdopodobniej zostały zamordowane przez agentów gestapo, dbających o odpowiednią reputację przywódcy i stara-

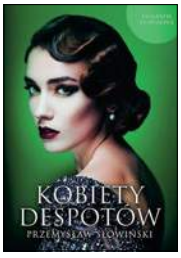

PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI „KOBIETY DESPOTÓW" FRONDA 2018

eprasa.pl acf664e4b9

jących się zniszczyć dowody świadczące o jego zboczonym instynkcie płciowym. Taki los spotkał m.in. niemiecką gwiazdę filmową Renate Müller, niejaką Susanne Liptauer oraz Angielkę Unity Mitford – wysoką, jasnowłosą i niebieskooką kobietę, reprezentującą typ urody lansowany przez nazistów.

Rozwód Josefowi Goebbelsowi uniemożliwiła małżonka interweniująca u Führera?

Wbrew oficjalnej propagandzie małżeństwo ministra propagandy z Johanną Marią Magdaleną Behrend nie należało do szczęśliwych i udanych, gdyż Goebbels nie był wzorem mężowskich cnót i nie stronił od towarzystwa innych kobiet. Najgłośniejszym echem odbił się jego trwający przeszło rok romans z czeską aktorką Lidą Baarovą, dla której zamierzał nawet rozwieść się z Magdą. Sprawa dotarła do Hitlera, który kategorycznie nakazał Josefowi zerwanie z aktorką. Sama Magda też nie pozostała mu dłużna, nawiązując romans z osobistym sekretarzem swojego męża Karlem Hankem, późniejszym gauleiterem Festung Breslau, zaginionym bez wieści u schyłku II wojny światowej. I w tym przypadku interwencja Führera zakończyła związek.

U boku niewiasty umierał Duce...

Mussolini był erotomanem. Od czasu, kiedy jako 16-latek został wprowadzony w świat cielesnych uciech przez podstarzałą prostytutkę, miał setki kochanek. W swoich pamiętnikach sam zresztą przyznał, że „rozbiera w myśli każdą napotkaną dziewczynę". Pewna dama, którą łączyły z Mussolinim przeżycia miłosne w latach wojny, opowiadała potem, że kiedy pierwszy raz dyktator rzucił się na nią, dysząc z pożądania, poczuła tak niesamowitą odrazę, że uciekła w kąt salonu, błagając, by jej poniechał, co też nastąpiło.

Pod koniec wojny Benito odrzucił propozycję ucieczki do Ameryki Południowej. Swojej kochance, Clarze Petacci, zasugerował natomiast, aby uciekła do Hiszpanii, lecz ona sama zdecydowała się do końca dzielić swój los z ukochanym. Ostatecznie Mussolini spróbował przekroczyć szwajcarską granicę przebrany za żołnierza Wehrmachtu, którym komunistyczni partyzanci pozwalali opuścić kraj. Pierwszy posterunek udało się oszukać, na jednym z kolejnych dyktator został aresztowany. Podążająca za nim jak cień Clara na własne życzenie została

Mao Tse-tung i jego czwarta żona Jiang Qing

FOT. RUE DES ARCHIVES/FORUM

wraz z Mussolinim zatrzymana. „Jeśli zabijecie jego, to zabijcie mnie także" – błagała. Jej życzeniu stało się zadość. Rozstrzelano ich 28 kwietnia 1945 r. w miejscowości Mezzagra, 29 km od granicy szwajcarskiej. Podobno Claretta, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, wyszeptała: „Jesteś zadowolony, że zostałam z tobą do końca?".

Temperament seksualny wyróżniał także Fidela Castro

O nienasyconym apetycie seksualnym El Comandante do dziś krążą legendy. „The New York Times" przypisywał mu stosunki z 35 tys. kobiet, co jednak wydaje się przesadą. Jednak tylko lekką. W książce „A Death Foretold in Miami, Havana and Washington", wydanej w roku 2009, dziennikarka Ann Louise Bardach pisze, że na pytanie, ilu spłodził potomków, Fidel uśmiechnął się i odparł: „Prawie plemię". Szczególnym sentymentem darzył blondynki, których na Kubie jest niedostatek. W łóżku nie stosował uprzedzeń politycznych: równie ochoczo konsumował imperialistki z Niemiec, Włoch i ze Stanów Zjednoczonych, co towarzyszki z okopów kubańskiej rewolucji...

Wdowa po twórcy ChRL miała aspiracje polityczne...

Znaczenie czwartej żony Mao, Jiang Qing, wzrosło już w latach 60. XX w., w okresie tzw. rewolucji kulturalnej. Stanęła wtedy na czele aparatu propagandowego i pośrednio kierowała działaniami Czerwonej Gwardii. Po śmierci przewodniczącego w 1976 r. na szczytach KPCh doszło do ostrej walki o władzę. W jej wyniku reformatorzy pod przywództwem Deng Xiaopinga doprowadzili do odsunięcia od władzy skupionej wokół Jiang Qing tzw. Bandy Czworga. Wdowa po Mao została aresztowana, kilka następnych lat spędziła w więzieniu, w oczekiwaniu na proces. Obwiniono ją o nawoływanie do niepokojów, sabotaż i celowe zniekształcenie nauk małżonka. W sądzie była pewna siebie i zarazem wściekła, wprawdzie przyznała się do zarzucanych jej czynów, ale przedstawiła je jako rezultat bliskich więzi ze zmarłym mężem: „Byłam tylko jego psem. Jeśli kazał mi kogoś ugryźć, to gryzłam". W 1981 r. została skazana na karę śmierci, dwa lata później zamieniono ten wyrok na dożywotnie więzienie. W 1991 r. zdiagnozowano u niej raka krtani, w wyniku czego trafiła do szpitala. Być może w ostatniej próbie okazania niezależności powiesiła się na wieszaku w szpitalnej łazience.

Czemu zmiany połowic na młodsze nie zmniejszyły żeńskiego elektoratu Aleksandrowi Łukaszence i Władimirowi Putinowi ani nie spotkały się z dezaprobatą Cerkwi?

Ponieważ Rosja i Białoruś to odmienny świat, w którym obowiązują inne prawa i schematy. Tam uchodzi za rzecz normalną, że mężczyzna, osiągnąwszy sukces, zmienia połowicę na lepszy (czytaj: nowszy) model. A Cerkiew i państwo tworzą jedność. Polityka hierarchii rosyjskiej Cerkwi prawosławnej i władz państwowych zmierzająca do stworzenia z prawosławia religii państwowej powoduje wspólne wystąpienie przeciwko ruchom sekciarskim, innowierczym, a nawet tendencjom niezgodnym z tradycyjną kulturą i tożsamością Rosjan. Szczególnie mocno akcentuje się w wypowiedziach duchownych i polityków, że rosyjska Cerkiew prawosławna była i pozostaje integralną częścią struktury państwowej Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przemysław Słowiński *– rocznik 1952, prawnik z wykształcenia, autor książek biograficznych, m.in.: „Największy. Muhammad Ali", „Bestia. Historia Mike'a Tysona", „Tesla. Władca piorunów", „Antoni Gaudi. Kapłan piękna z Barcelony", „Otto Skorzenny. Pierwszy komandos Trzeciej Rzeszy", „Uciekinier. Opowieść o Harrym Houdinim".*

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Gdyby Carrie była Norweżką

★★★★☆☆
REŻ. JOACHIM TRIER
„THELMA"
NORWEGIA/ DANIA 2017

wyst. Eili Harboe, Kaya Wilkins, Henrik Rafaelsen

O czym myśli dziewczyna, gdy dojrzewać zaczyna? Jak świat światem, to pytanie wzbudza trwogę rodziców. Na młodość nie ma lekarstwa. Wzmożona kontrola i permanentna presja często wywołują skutek odwrotny od zamierzonego. Liberalizm na dłuższą metę też się nie sprawdza. Wcześniej czy później musi nadejść ów straszny dzień, gdy hormony zwyciężą i aniołek przestanie odbierać telefony od maminki i tatusia („bateria mi się wyczerpała/zostawiłam smartfon w akademiku/wyciszyłam sygnał, bo siedziałam na wykładzie albo w bibliotece/nie słyszałam, w klubie grali głośną muzykę").

Czy można wierzyć 18-latce zapewniającej, że piwa nie pije, zioła nie pali, a od chłopaków trzyma się z daleka? Opiekunowie Thelmy, zamiast oswoić się z myślą o tym, co nieuchronne, czyli usamodzielnieniu się pociechy, próbują trzymać ją na krótkiej smyczy. Współczujemy dziewczęciu, wychowanemu w niemal klasztornym rygorze, Tronda zaś podejrzewamy o psychiczne odchyłki (w jednej z retrospekcji mierzy do córki ze strzelby). Okazuje się jednak, że to ona nie jest do końca normalna. Po babce odziedziczyła nadnaturalną moc i destrukcyjne skłonności. Co gorsza, zupełnie nad nimi nie panuje.

Tak mógłby wyglądać początek filmu o młodszej siostrze Wonder Woman albo kolejnej części „X-Menów", lecz Joachim Trier to jeden z ostatnich twórców, których można podejrzewać o komiksowe ciągoty. Dotąd duńskiego reżysera zajmowały wyłącznie problemy bohaterów mniejszych niż życie. Ten realizm chyba mu się trochę znudził, bo najbliższą krewną „Thelmy" jest „Carrie" – hybryda egzystencjalnego dramatu i horroru. W debiutanckiej powieści Stephena Kinga nikt nie dostrzega sygnałów nadchodzącej katastrofy, dlatego finałowa jatka jest dla mieszkańców Chamberlain całkowitym zaskoczeniem (trochę mniejszym dla czytelników, a żadnym dla kinomanów).

Mocne piętno na kulturze Skandynawów odcisnął purytanizm. Nic więc dziwnego, że studentce wychowanej na zakonnicę śni się wąż – symbol grzechu. Z „Thelmą" jest trochę jak z owym gadem, pożyczonym – jak się zdaje – ze słynnego obrazu Franza von Stucka: fascynuje i drażni zarazem. Eili Harboe gra, jakby ją zahipnotyzował Andrzej Żuławski. Warstwa wizualna to istny majstersztyk. Poziom obniża scenariusz dający do zrozumienia, że najlepszym sposobem na zwalczenie pokus jest im ulegać. Recepta Triera na szczęśliwe życie jest równie prosta: wystarczy po prostu być sobą. Poza tym dajmy już sobie spokój z fatalizmem. Zawsze da się odwrócić bieg wydarzeń, a ze zła może ostatecznie wyniknąć dobro.

Mnie tam nie przekonał. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „OCEAN'S 8"

Najpierw trzeba uwierzyć, że Sandra Bullock to siostra George'a Clooneya. Jeśli to się uda, to dalej będzie z górki. „Ocean's 8" jest bowiem kobiecą kontynuacją trylogii „Ocean's Eleven", w której mózgiem organizującym ryzykowne skoki na kasę był Danny Ocean, czyli właśnie Clooney. Jego siostra Debbie Ocean (Bullock) wraz z koleżankami zabiera się do własnej „roboty niemożliwej". Areną wydarzeń jest natomiast Nowy Jork. ©℗

Piotr Gociek

- ***„Ocean's 8", reż. Gary Ross, wyst. Sandra Bullock, Cate Blanchett, Anne Hathaway, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Dziedzictwo. Hereditary" („Hereditary"), reż. Ari Aster, USA 2018***
- ***„W cieniu drzewa" („Undir trénu"), reż. Hafsteinn Gunnar Sigurdsson, Islandia/Dania/Polska 2017***
- ***„Uprowadzona księżniczka" („Vykradena pryntsesa: Ruslan i Ludmila"), reż. Oleg Malamuzh, Ukraina 2018***

eprasa.pl acf664e4b9

Brzuch Escobara

Po premierze „Licencji na zabijanie" narzekano, że Bond dostał tak pospolitego przeciwnika jak szef narkotykowego kartelu. Dzisiaj, 24 lata po śmierci króla kokainy z Medellín, popkultura kłania mu się w pas.

Trzeba przyznać, że Pablo Escobar, pozujący na latynoskiego Robin Hooda (choć z wyglądu przypominał raczej Sancho Pansę), był barwną postacią. Miał czelność zaproponować prezydentowi Kolumbii, że w zamian za amnestię spłaci długi państwa. Potem zbudował dla siebie więzienie przypominające pięciogwiazdkowy hotel. Modus operandi watażki był prosty: jednych zabijał, drugich kupował. Telewizyjna prezenterka Virginia Vallejo oddała mu swe serce, gdy zabrał ją odrzutowcem na rajską wyspę (na której, zupełnym przypadkiem, odbywał się właśnie zlot handlarzy „białą śmiercią").

Pablo traktował Virginię jak luksusową putanę, którą w rzeczywistości była. We wspomnieniach wyolbrzymiła swą rolę. O upadku Escobara przesądziły jednak jego pycha i nadmierna brutalność, a nie zeznania wzgardzonej kochanki. Zapomniał, że rozgłos nie służy interesom. No i nie chciał zginać karku przed gringos, co twórcom filmu przychodzi z łatwością. Bardem z poświęceniem gra ciałem, Cruz – na granicy histerii, ale ten skok na kasę wyszedł Hiszpanom raczej średnio. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. FERNANDO LEÓN DE ARANOA
„KOCHAJĄC PABLA, NIENAWIDZĄC ESCOBARA" („LOVING PABLO")
HISZPANIA/BUŁGARIA 2017

wyst. Penélope Cruz, Javier Bardem, Petar Saargard

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRZEBUDZENIE BILLIE JEAN

★★★☆☆☆

REŻ. VALERIE FARIS I JONATHAN DAYTON
„WOJNA PŁCI"
USA 2017, IMPERIAL CINEPIX

wyst. Emma Stone, Steve Carell, Andrea Riseborough

To nie jest film o tenisie, lecz o przebudzeniu. W tenisistce Billie Jean King budzi się bojowniczka o prawa kobiet, doznaje też przebudzenia seksualnego (choć szczęśliwie zamężna, to odkrywa w sobie skłonność do pań). Trzecie przebudzenia, najmniej istotne, to ostatni wielki numer hazardzisty i emerytowanego tenisisty Bobby'ego Riggsa, któremu zamarzyły się wielkie pieniądze. Stąd koncept „wojny płci" – meczu między utytułowanym oldboyem wołającym „baby do garów!" oraz gwiazdą kobiecego tenisa, opłacaną jednak dużo słabiej od swych męskich odpowiedników. Mecz oglądało w telewizji 90 mln widzów i doprawdy było na co czekać. Siłą filmu są kreacje Emmy Stone i Steve'a Carella, reszta jest jednostronna i nakreślona grubą kreską: faceci to albo świnie, albo mimozy. Billie Jean może liczyć głównie na krawca geja i fryzjerkę lesbijkę. Najgrubszym nadużyciem jest postawienie w finale znaku równości między walką o prawa kobiet i prawa mniejszości seksualnych.

STRACHY NA STRYCHU

★★★☆☆☆

REŻ. SERGIO G. SÁNCHEZ
„TAJEMNICA MARROWBONE"
HISZPANIA 2017, MONOLITH

wyst. George MacKay, Anya Taylor-Joy, Charlie Heaton

Reżyserski debiut scenarzysty dobrze przyjętych filmów „Sierociniec" i „Niemożliwe". Chociaż kręcony w Hiszpanii i za hiszpańskie pieniądze, to z anglosaską obsadą i zagrany po angielsku. Rodzina (matka plus czworo dzieci) przenosi się z Europy do USA. Ucieka przed ponurą przeszłością i rodzinnym dramatem. Kłopoty zaczynają się wraz ze śmiercią matki. Rodzeństwo ukrywa ten fakt przed władzami i czeka, aż najstarsze z nich osiągnie pełnoletniość i legalnie odziedziczy posiadłość. Tymczasem w domu zaczynają się dziać dziwne rzeczy, a przeszłość powraca w nieoczekiwany sposób. Ten przyzwoicie zagrany horror ma jednak więcej wad niż zalet: zbiera sporo motywów znanych z kina klasy B, lecz nie przekuwa ich w nową jakość. Jest zbyt długi i nieco schizofreniczny, częściej dezorientuje widza, niż autentycznie go przeraża. Na końcu okaże się także, że nie jest zbyt oryginalny. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „PILLARS OF ETERNITY 2: DEADFIRE"

★★★★★☆

„Deadfire" to kontynuacja bardzo udanego RPG, wydanego w 2015 r. dzięki wsparciu finansowemu graczy. Już wtedy „Filary wieczności" zachwyciły klimatem przypominającym klasyczne produkcje w stylu „Baldur's Gate" oraz estetyczną izometryczną grafiką z elementami 3D. O ile to możliwe, po latach stały się jeszcze lepsze. Na uwagę zasługuje tryb nawigowania własnym statkiem, którym drużyna bohaterów porusza się po Archipelagu Ognia. Akcja gry bezpośrednio kontynuuje narrację poprzedniczki. Długie godziny przemierzania lochów, wysp, barwnych dialogów i walk z hordami potworów gwarantowane. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Obsidian Entertainment/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl acf664e4b9

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Pomoc na czasie

Tytuł książki Rodneya Starka, amerykańskiego socjologa religii, wieloletniego profesora Baylor University, najstarszej uczelni teksańskiej, zresztą baptystycznej, dokładnie określa jej treść. Ta popularyzatorska praca naukowa dostarcza dowodów na kłamliwość zarzutów stawianych Kościołowi katolickiemu przez jego wrogów. Nazywa też po imieniu cel, jaki wyznaczył sobie autor. „Nie mów fałszywego świadectwa" – przestrzega Stark, a słowa te mają tym większą wagę, że nie wypowiada ich katolik, tylko luteranin. „Nie napisałem tej książki w obronie Kościoła – akcentuje autor. – Napisałem ją w obronie historii".

Pierwodruk książki miał miejsce w roku 2016, jej polskie tłumaczenie – Jana Kabata ze wstępem Pawła Skibińskiego – ukazało się w ostatnich tygodniach nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Rzecz wydana zostaje w czasie, w którym pytania o przyszłość Kościoła nabierają coraz bardziej dramatycznego wydźwięku. Postępuje laicyzacja, jedyną ekspansywną religią jest islam, o katolicyzmie najwięcej mówi się przy okazji skandali obyczajowych z księżmi w rolach głównych. W przybierającej na sile antykatolickiej narracji wyróżnia się też coraz bardziej głos części wiernych, którzy w imię dziwacznie pojętej nowoczesności, ekumenizmu, praw człowieka biją się w piersi za prawdziwe i – częściej – wymyślone błędy i grzechy (!) Kościoła.

„Nie mów fałszywego świadectwa" w takiej rzeczywistości stać się może pożyteczną pomocą naukową, umożliwiającą i ułatwiającą polemikę z osobistymi nieprzyjaciółmi Pana Boga. Tyle że Rodney Stark swoją książkę adresował do czytelnika zachodniego, głównie amerykańskiego.

FOT. BAYLOR INSTITUTE FOR STUDIES OF RELIGION

Ciąży to na zawartości pracy nie tylko dlatego, że brakuje w niej przykładów z naszej części Europy, lecz także dlatego, że dominuje w niej – jak powiada Paweł Skibiński – „pewien charakterystyczny brak intelektualnych zahamowań". Inna sprawa, że ów – jakże często spotykany w amerykańskiej literaturze naukowej – „brak zahamowań" wielokrotnie przydałby się nam w debatach, w których niekiedy zszokowani hucpiarstwem adwersarzy nie znajdujemy argumentów i w efekcie przegrywamy podobne dyskursy.

Argumenty takie odszukamy w pracy Starka, by np. – za przeproszeniem – zatkać dziób łgarzowi obwiniającemu Kościół katolicki za Holokaust. Ci sami kłamcy nazywają Piusa XII papieżem Hitlera, a całkiem niedawno popisali się przypisywaniem antyżydowskości polskim prymasom: ks. Augustowi Hlondowi i ks. Stefanowi Wyszyńskiemu.

Samo pukanie się w czoło może też być za słabą odpowiedzią na „mądrości" o fałszowaniu przez Kościół doktryny chrześcijańskiej i ukrywaniu przez wieki „prawdziwych" Ewangelii. Lepiej poznać fakty, a tych w niedużej, przejrzystej książce amerykańskiego autora znajdziemy co niemiara.

Wproch i pył będziemy mogli także zetrzeć aż za dobrze znane zarzuty o rzekomą eksterminację przez Kościół świata pogańskiego, o zbrodniczość krucjat i hiszpańskiej inkwizycji. Autor wspomina tu o swoim osobistym zdziwieniu, gdy odkrył, że to „rzeczywiście inkwizycja sprawiła, iż zbrodnicze i wymierzone w czarownice szaleństwo, które kwitło w całej niemal Europie w szesnastym i siedemnastym wieku, nie rozprzestrzeniło się na Hiszpanię i Włochy. Zamiast palić czarownice na stosach, inkwizytorzy posłali paru ludzi na szubienice właśnie za to, co z tymi czarownicami zrobili".

Z uporem godnym lepszej sprawy lansowany jest od lat mit o średniowieczu jako „wiekach ciemnych", w przeciwieństwie do „jasnych" epok odrodzenia i oświecenia. To nie Kościół – jakże słusznie zauważa Rodney Stark – ale świeccy intelektualiści „ukuli pojęcia w rodzaju wieków ciemnych, renesansu, oświecenia i wieku rozumu. Były to wielkie epoki historyczne, które nigdy tak naprawdę się nie wydarzyły".

To tylko część zagadnień, do których odnosi swą książkę Stark. Polecając lekturę tej bardzo użytecznej, jak się zdaje, pracy, zwracam jednak uwagę na znamienny jej mankament, który nie uszedł też uwagi Pawła Skibińskiego. Otóż autor, omawiając po kolei fałszywe świadectwa, skupia się na tym, w jaki sposób ich autorzy mijają się z prawdą, ignorując inne pytanie: Dlaczego właściwie to robią?

Jednak to już temat na zupełnie inną książkę. Równie ciekawą. ©℗

★★★★★★

RODNEY STARK „NIE MÓW FAŁSZYWEGO ŚWIADECTWA. ODKŁAMYWANIE WIEKÓW ANTYKATOLICKIEJ NARRACJI"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 2018

eprasa.pl acf664e4b9

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cud w Ziemi Izraela

Życie Dawida Ben Guriona obfituje w lekcje przydatne nie tylko politykom. To pochwała uporu i pracy nad sobą. Przez pół życia był człowiekiem bez właściwości, jednym z wielu działaczy syjonistycznych. Pisał nudno, przemawiał nie najlepiej, charakter miał fatalny. Na marginesie jego biografii pióra Anity Shapiry co chwila pojawiają się osobnicy lepiej wykształceni, bardziej charyzmatyczni, mocniej kochani przez tłumy. A jednak kiedy nadeszła epokowa chwila, to właśnie on był tym, który wypowiedział słowa: „Niniejszym proklamujemy utworzenie państwa żydowskiego w Ziemi Izraela". I to on trafił do podręczników jako ojciec założyciel nowego kraju wyjętego ze starych marzeń.

Profesor Shapira wyraźnie lubi swego bohatera i tam, gdzie może, stara się go usprawiedliwiać, nie pomija jednak faktów niewygodnych. A jest ich wiele. Jak interpretować milczenie Ben Guriona podczas Holokaustu? W jego wystąpieniach i listach z tamtego okresu wypowiada się o zagładzie z rzadka, a przecież musiał znać straszną prawdę. Troskliwy wobec swoich ziomków, całkowicie obojętny był na cierpienia innych – poczytajcie o jego stosunku do kwestii arabskiej. No tak, polityk powinien przede wszystkim mieć na uwadze dobro własnego narodu. Jednak czy nie kłóci się to z rolą wielkich moralistów, którą przyjęli twórcy nowoczesnego Izraela, żądający od całego świata szczególnej wrażliwości na swoje cierpienie? Małostkowy, zacięty, czasem opowiadający niewiarygodne bzdury, okazał się jednak Ben Gurion politykiem twardym i niesłychanie skutecznym, obdarzonym jakimś nadnaturalnym instynktem pozwalającym na wykonywanie gwałtownych wolt politycznych akurat wtedy, gdy były potrzebne.

Fascynująca to lektura i bardzo pouczająca, choć ze względu na niesłychanie skomplikowane tło historyczne i okrutnie powikłane spory wśród żydowskich aktywistów pewnie nigdy nie da się ustalić, na ile Ben Gurion był tylko wyrazicielem ducha epoki, a na ile sam kreował wielką historię. Polski czytelnik powinien zwrócić uwagę na to, że mimo głębokich podziałów w chwili próby Żydzi zdołali państwo stworzyć i obronić. Smutniejsze będzie dla nas to, że zbyt łatwo autorce przychodzą krzywdzące Polaków skróty myślowe i uogólnienia. Cóż, tak właśnie nas widzą i piszą w Izraelu, nie trzeba było zmieniać ustawy o IPN, by się o tym przekonać. ©℗

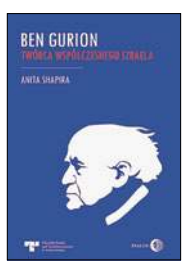

★★★★☆☆

ANITA SHAPIRA „BEN GURION. TWÓRCA WSPÓŁCZESNEGO IZRAELA"
DIALOG 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzeci tom serii bestsellerowych wywiadów o wierze, moralności i historii. Z księdzem profesorem, wybitnym teologiem, rozmawiają Grzegorz Górny i Rafał Tichy, poświęcając szczególnie wiele uwagi relacjom Kościół – Żydzi w ostatnim półwieczu.

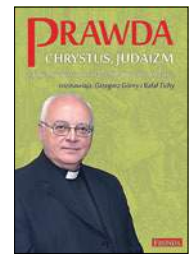

KS. WALDEMAR CHROSTOWSKI „PRAWDA, CHRYSTUS, JUDAIZM"
FRONDA

Piękne wznowienie klasycznej powieści. Oprócz nowego przekładu czytelnik dostaje też niezwykłe ilustracje (autor: Henrique Alvim Corrêa), które oryginalnie były ozdobą bibliofilskiego francuskiego wydania tej książki.

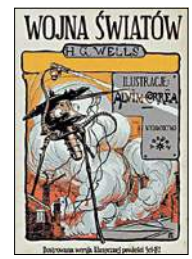

H.G. WELLS „WOJNA ŚWIATÓW"
VESPER

Nie tylko Google czy Facebook, grono łowców danych o naszych gustach jest dużo większe – od partii politycznych do producentów leków. Jak się to robi i w czym przydatna jest analiza prognostyczna, opowiada praktyk, który z tego żyje.

ERIC SIEGEL „PROGNOZUJ"
MT BIZNES

Były żołnierz i instruktor Navy SEALs wprowadza nas w tajniki programu szkoleniowego amerykańskich snajperów. Książkę poświęcił też żarliwej obronie weteranów wracających z misji, poddawanych niezasłużonej krytyce. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

BRANDON WEBB „SZKOŁA ZABÓJCÓW"
AKURAT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. *Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.*
2. *Olga Tokarczuk „Bieguni" (Wydawnictwo Literackie) – wznowienie powieści autorki „Ksiąg Jakubowych" sprzed 11 lat.*
3. *Katarzyna Bonda „Czerwony pająk" (Muza) – ostatni tom kryminalnego cyklu „Cztery żywioły Saszy Załuskiej" rozpoczętego w 2014 r. powieścią „Pochłaniacz".*
4. *Remigiusz Mróz „Zerwa" (Filia) – piąty tom serii kryminalnej o komisarzu Forście.*
5. *Charlotte Link „Decyzja" (Sonia Draga) – spotkanie na plaży jest początkiem intrygi prowadzącej od Francji do Bułgarii. Kryminalny import z Niemiec.*

(Najchętniej kupowane książki tygodnia w sieci Świat Książki)

eprasa.pl acf664e4b9

Kombi podczas koncertu „Przebój na mundial" FOT. MARIUSZ PRZYGODA/FORUM

Euro spoko, a piłka okrągła

Kiedy w 2012 r. sympatyczne panie z Jarzębiny śpiewały „Koko koko Euro spoko…", wywoływały uśmiech. Oczywiście byli i sztywniacy, którzy lamentowali, jakie to straszne, że podczas Euro w Polsce i na Ukrainie taka piosenka jest naszą muzyczną wizytówką, co o nas świat pomyśli, jaki to nasz kraj zacofany, folkowo-discopolowy etc. Jednak na tamten hymn polskiej reprezentacji na Euro patrzyliśmy przecież z przymrużeniem oka.

Tak, piosenka była do bólu prosta. Tak, była z tych – jak „Miłość w Zakopanem" Sławomira – które w towarzystwie wypadało wyśmiać, a jak komuś „nóżka chodziła", gdy piosenka akurat leciała w radiu, no to nóżkę chowało się pod biurko. Jednak wpadała w ucho, a raz zasłyszana nie chciała wyjść z głowy. I bez dwóch zdań wśród innych „hymnów" naszej piłkarskiej reprezentacji będzie zapamiętana na długo.

Czy po kilku latach będziemy pamiętać o „Polskiej drużynie" Kombi, która zdaniem jurorów i widzów opolskiego festiwalu najbardziej z zaprezentowanych podczas koncertu „Przebój na mundial" nadaje się na hymn polskiej reprezentacji na mistrzostwa świata w Rosji? Szczerze wątpię. Zespół stanął gdzieś między „Euro spoko" (refren: „Oooooo!/ Polska drużyna!/ Oooooo!/ Się nie zatrzyma!/ Oooooo!/ Jedność i siła!/ Biało-czerwonych serc") a patetyzmem „Do boju Polsko" tenora Marka Torzewskiego, który to miał zagrzewać kibiców podczas mundialu w Korei Południowej i Japonii w 2002 r.

Trudno po tekstach mundialowych piosenek oczekiwać głębi, ale „Futbol" Maryli Rodowicz, który był zatwierdzonym przez FIFA hymnem mistrzostw świata w RFN w 1974 r. („To był strzał/ to jest szał/ To jest sport, to sport") czy „My, kibice" grupy No To Co („Po zielonej trawie piłka goni, Albo my wygramy/ Albo oni./ Albo będzie dobrze,/ Albo będzie źle,/ Piłka jest okrągła,/ A bramki są dwie") też nie były zbyt ambitne, a kojarzą je nawet millenialsi znający występy Deyny, Laty czy Tomaszewskiego tylko z archiwalnych nagrań. Bo coś w sobie miały. „Polskiej drużynie" tego czegoś brak.

Jednak ostatecznie nieważne jest, jak grają naszej reprezentacji. Ważne, by to ona grała jak z nut. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Żyje i ma się jak najlepiej

Ostatni żyjący ojciec bluesa, 81-letni Buddy Guy, potwierdza, że ma się wyśmienicie. Ten zdobywca siedmiu nagród Grammy i 37 Blues Music Awards zaprosił do studia królewskich gości.

Uznany przez magazyn „Rolling Stone" za 23. najlepszego gitarzystę w historii Guy nagrał utwór o znamiennym tytule „Cognac" wraz z nr. 4 (Keith Richards, 74 lata) i nr. 5 (Jeff Beck, 73 lata). Więcej rekomendacji? Dodam zatem, że w „Blue No More" śpiewa młodociany James Bay, zaledwie 27-letni, pupil krytyków, którego fonograficzny debiut rozszedł się w milionowym nakładzie. Mało? No to jest jeszcze czwarty Brytol. 74-letni Mick Jagger śpiewa swoje w nieprawdopodobnym bluesie „You Did the Crime".

Ten protekcjonalizm nie jest potrzebny, bo Buddy Guy jest marką samą w sobie. Granie na jego płycie to zaszczyt dla każdego. Jemu się nie odmawia, a energia na tym krążku jest niesamowita. Funkowy „Whisky for Sale", „Old Fashioned" z pompującą sekcją dętą, rozdzierający trzewia blues „When My Day Comes" czy hołd dla Muddy'ego Watersa „Nine Below Zero" to prezenty dla tych, którzy Spotify się wystrzegają. Całość przygotował Tom Hambridge, nagrodzony Grammy producent oraz wieloletni współpracownik Buddy'ego Guya.

Stare granie z nutą znoju, finezji i prawdy. ©℗

★★★★★☆
BUDDY GUY „THE BLUES IS ALIVE AND WELL" SILVERTONE

★★★★☆☆
MARTYNA JAKUBOWICZ „ZWYKŁY WŁÓCZĘGA" UNIVERSAL

Sezon na Dylana trwa. Martyna już 13 lat temu wydała album z piosenkami Boba. Ciąg dalszy przynosi nieco mniej znane utwory utrzymane w rockowo-bluesowych aranżacjach. Głos jak dzwon, tłumaczenia eksmęża – zacne. Słuchać i zrozumieć. ©℗

★★★☆☆☆
DAWID LUBOWICZ „INSIDE" Z. SEIFERT FOUNDATION

Autorski debiut skrzypka m.in. Atom String Quartet. Jazz z elementami folkloru i klasyki. Zbyt grzeczne, wygładzone i nawet udział pianisty Krzysztofa Herdzina niewiele wnosi. Idealny podkład do coffee barów. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

TAURON Tour de Pologne® amatorów

10.08.2018

BUKOVINA RESORT

PROGRAM

09.08

08:00 – 20:00 – Biuro Zawodów (BUKOVINA RESORT)

10.08

07:00 – 09:00 – Biuro Zawodów

09:40 – start wyścigu

Zaprasza Czesław Lang

DYSTANS 58km

www.tourdepologneamatorow.pl

ORGANIZATOR LANGTEAM

Sponsor Tytularny

TAURON

Patroni Medialni

radio eska, TVP SPORT, PRZEGLĄD SPORTOWY, onet, wprost, DO RZECZY, pap POLSKA AGENCJA PRASOWA, Fakt GAZETA CODZIENNA, TOUR, BIKEWORLD.PL, bike Board, naszosie.pl, SZOSA

Sponsorzy Wspomagający

quest sportswear, VITARADE, studio55, FRAIKIN

Oficjalna Woda

CISOWIANKA

Oficjalny Pomiar Czasu

TISSOT SWISS WATCHES SINCE 1853

DUCHA
NAM NIE Z

PATRONAT MEDIALNY:

ORGANIZATORZY:

WALKI ZABRAKNIE!

Projekt i wykonanie: Agnieszka Radzik

#RespectUs **#PolishTeam**

FUNDACJA WSPARCIA ROLNIKA
POLSKA ZIEMIA

eprasa.pl acf664e4b9

raport DO RZECZY

Z Jackiem Gmochem, byłym selekcjonerem reprezentacji w piłce nożnej
rozmawia Łukasz Zboralski

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

eprasa.pl acf664e4b9

Nie przegrać pierwszego meczu

ŁUKASZ ZBORALSKI: Ostatni mecz przed mundialem wygrany z Litwą 4:0 dał kadrze optymistyczne wejście na mistrzostwa, ale też pokazał, że możemy zagrać różnymi ustawieniami i mamy wiele taktycznych możliwości...

JACEK GMOCH: Widać, że Adam Nawałka to przygotował. Sprawdził się, zwłaszcza w pierwszej połowie, system z trzema obrońcami – Cionek, Bednarek i Jędrzejczyk. Powtarzają się więc pewne elementy, które są nowe.

Nie tylko trójka obrońców, lecz także trójka napastników?

No właśnie. Widać od razu, jak gra trzema napastnikami uwalnia Lewandowskiego. To ustawienie na Chile też było bardzo dobre – czyli Lewandowski i Zieliński z tyłu.

Chciałbym też powiedzieć, że nie można Roberta Lewandowskiego oskarżać o to, że myśli o przenosinach do innego klubu i transferach. Pamiętajmy, że to przecież też jest świetna motywacja, a mistrzostwa świata to są ogromne promocje. Zawodnicy o tym myślą. Ale nie na meczu. Ja to wiem. Żaden sportowiec podczas zawodów nie myśli o pieniądzach. Zapomnijcie o tym! Po zawodach to już inna sprawa. Lewandowski na mundialu będzie walczył zatem jako patriota, chłopak z Leszna i z mojego Znicza Pruszków. Na pewno da z siebie wszystko dla Polski.

Oczywiście ma taki element kariery, że musi wybrać, co zrobić dalej. I ja uważam, że zasługuje na więcej. Musi zmienić drużynę i dobrze, że to robi. Zobaczymy, gdzie pójdzie. Jeśli do Juventusu, jak ktoś tam podpowiadał, to nie jest gwarancją tego, co chce uzyskać. To musiałby być Manchester City, Real Madryt czy Barcelona, choć oni tam jednak inaczej grają napastnikami.

A inne ustawienia taktyczne?

To próby ustawienia bardziej ofensywnej linii pomocy, również wahadła. I mamy tu już konkurencję na boisku. Bereszyński gra dobrze. Rybus też się stara. Trzeba tylko pamiętać o skrzydłowym Senegalu – Mane, który gra w Liverpoolu. Ale rozeznanie jest. No i jest wreszcie ławka.

No właśnie, pan twierdził zawsze, że ławka jest krótka.

A już teraz mamy trochę luzu na tej ławce.

Czyli mamy wielu dobrych zawodników?

Wielu to bym nie powiedział. Trzeba by było mieć jeszcze więcej. A na turniej trzeba mieć bardzo dużo. Natomiast mamy już taką ławkę, że widać zastępców podstawowego składu. Góralczyk gra bardzo dobrze, także Kownacki, Bednarek. I oni przecież też grają w dobrych klubach. W mojej ocenie ta cała 23 jest na pewno mocniejsza niż ta na ostatnich mistrzostwach Europy.

A przy tym jest gra z pierwszej piłki. Fantastyczna. Wcześniej były już przebłyski, a w ostatnich meczach to już jest taka gra – i to uspokaja przeciwnika z jego pressingiem. Bo przecież wszyscy już grają te „6 sekund" Guardioli, podwójny pressing i twardy pressing Alexa Fergusona.

A pressing to był przecież polski pomysł, prawda?

Myśmy zaczęli! Ja to wziąłem z koszykówki od brata. I do dzisiaj mówimy o „zonie press", bo tak ja to nazywałem. Myśmy grali wysoki pressing, na całym boisku. Byliśmy pierwsi.

I jakoś to nam potem umknęło. Dlaczego?

Pan jest wychowany na przekazie innych dziennikarzy. Przypomnę, że na mój mundial pojechali może ze dwaj dziennikarze w jakiś sposób związani z Gierkiem, reszta to był Kania. Mój przyjaciel był obserwatorem. I widział tych wielkich dziennikarzy, którzy pokazywali „wała", gdy zaczęliśmy przegrywać z Meksykiem, tracąc pierwszą bramkę. Cieszyli się: „Wreszcie tego s... wykończą".

Mnie jednak chodzi o czas po 1978 r. Bo dziś to do pana nikt pretensji nie ma. Ma pan taki status jak tytuł najnowszego książkowego wywiadu z panem: „Najlepszy trener na świecie". A w Grecji ten status ma pan nawet udokumentowany.

Jak to mówił De Niro – który jest teraz niepopularny, bo głupawo się wyraża – gdy go zapytali, kto jest najlepszym aktorem na świecie: Jest nas kilku na świecie (śmiech).

A książka to moja prawda. Bo mnie opluwali, skazali na banicję, zrobili ze mnie złodzieja. A ja oddałem wszystko, co potrafiłem najlepszego w tym czasie. Bo miałem ustawione życie. W firmie u Edwarda Piszka mogłem zostać dyrektorem technicznym. Jego zresztą chcieli nabrać na 2 mln dol., a myśmy z żoną go obronili. Chciał budować magazyny w porcie i dawali mu działkę o takim spadku, że pociąg by nie podjechał.

O, słyszę znów pana wiedzę techniczną. Bo pan przecież jest specjalistą od budowy dróg i mostów.

W tym roku minęło 51 lat od czasu, jak z żoną dostaliśmy dyplomy. I dostaliśmy od Politechniki Warszawskiej tzw. złoty dyplom. Miałem na wydziale budownictwa lądowego nawet okolicznościowy wykład. Jestem wdzięczny wszystkim z politechniki za to, rektorowi, dziekanowi wydziału prof. dr. hab. inż. Andrzejowi Garbaczowi, kolegom i pani prof. Annie Lewandowskiej, a szczególnie pani Mili Głogosz, koleżance, która po mnie biurko zajęła na uczelni. I wie pan, że prof. Lewandowska oddała mi papiery, które tam zostały? Trzymała przez ten czas wydruki z komputera Odra z SGGW, gdzie mój kolega matematyk wszystkie obiektywne informacje piłkarskie zapisywał, i potem to analizowaliśmy. Mam te dziurkowane paseczki.

Dla pana, umysłu ścisłego, było naturalne, że w pracy trenerskiej trzeba się oprzeć na konkretnej wiedzy matematycznej. Gdybym panu dał dziś wszystkie statystyki przed mundialem, policzyłby to pan, czy Polacy mają szansę wygrać mistrzostwa?

eprasa.pl acf664e4b9

Rachunek prawdopodobieństwa można zrobić. A dziś jest taka liczba dostępnych urządzeń... Piłkarze zakładają takie, dzięki którym można mieć dane z GPS i m.in. szacować koszty energetyczne. A do tego jest zewnętrzny obraz z dronów. Są też całe instytucje zajmujące się zbieraniem danych w futbolu. W Panathinaikosie mieliśmy kontrakt z firmą Prozon. Za odpowiednią opłatą to pan dostaje, przepraszam za wyrażenie, nawet wiedzę o tym, w którą stronę zawodnik sika. Tylko jeszcze trzeba umieć wybrać algorytm przydatny do tego zbioru danych i umieć wyciągnąć właściwe wnioski. Stawia pan pytanie i dostaje pan odpowiedź, ale interpretacja zależy od bossa i zespołu. W wielkich klubach działają zespoły analityków. To już są takie niuanse, że np. jak zawodnik jest kryty, to podający musi mu dawać nie na nogę postawną, której blisko jest obrońca, tylko na tę dalszą. Gra już jest rozłożona na takie drobne elementy, że trudno to sobie wyobrazić.

Ale pozostaje jeszcze mentalność...

A na to jest trening mentalny! A na relacje między zawodnikami – analiza sieciowa. Myśmy znaleźli algorytm dla supermarketów w Ameryce czuwający nad dostawami towaru. Używaliśmy go do stosunków między zawodnikami, do liczby podań między nimi.

Wracając do mentalności – czy my nie mamy problemów, gdy gramy z Rosją czy Niemcami, z którymi mamy pozapiłkarskie zaszłości?

To wy, dziennikarze, macie. Trener musi takie rzeczy wyłączać. I nie ma takich historii na boisku! Za to trenerzy bywają czasem przesądni. Adam Nawałka jest. I ja też byłem.

I jakie pan miał przesądy?

Wszystkiego nie chcę opowiadać. Zdradzę tylko, że jak czarny kot mi przebiegnie drogę, to dalej nie jadę.

Chyba nie ma pan jednak przesądów związanych z wpuszczaniem ludzi do szatni. Nawałka wpuszcza prezydenta, a pan np. wpuścił kiedyś Waldemara Łysiaka...

Muszę mieć do takiego kogoś zaufanie. Że nie wyniesie tajemnicy. Gdy graliśmy z Cyprem, to przyszedł do mnie śp. Głowacki, a my się znaliśmy, i mówi: „Wiesz co, Wajda chce wejść do szatni, żeby przenieść tę atmosferę w jakimś filmie". A ja mówię: „Nie, nie, Januszku... Szatnia to jest świętość! Tam nie ma prawa być ktoś obcy".

To może rozwalić całą atmosferę. A wystarczy jedno słowo. Pamięta pan, co powiedział Benítez w przerwie w szatni, gdy jego Liverpool z Dudkiem na bramce przegrywał w meczu z Milanem 0:3? „Mamy 15 minut, żeby strzelić pierwszą bramkę". I zawodnicy w to uwierzyli i zaczęli realizować.

Trzeba znaleźć klucz, otworzyć mózg i zapakować w podświadomość.

Każdy trener musi znaleźć taki własny klucz?

Dlatego musi mieć charyzmę. I drużynę trzeba otaczać w każdym momencie. Tego w książce nie napisałem, ale przed meczem z Argentyną wychodzimy w dwie drużyny na murawę. Nagle Argentyńczycy zaczynają śpiewać jakąś taką prawie wojenną piosenkę. Przejmującą. Ja zareagowałem od razu i zacząłem: „Jeszcze Polska nie zginęła!". Bo każdy moment to jest walka. Także na boisku. Są przecież trenerzy, którzy do meczu są świetni, a potem siedzą w kiblu. Na szczęście mają asystentów. Chociaż śmieszą mnie trochę dziś asystenci, którzy biegają z tymi kartkami, coś tam rysują i do trenerów z tym podchodzą...

W rysowaniu mazakami to pan jest mistrzem świata!

(śmiech) O nie!!! Takim trenerem z niemieckim organizatorskim zacięciem był przecież także Ryszard Koncewicz. Wszystko było u niego w tych strzałkach rozrysowane. Ale sprawa polega na tym, że trzeba mieć jeszcze wspólników – my jesteśmy na ławce, a zawodnicy są tam, na boisku, i muszą dać z siebie wszystko. Koncewicz chciał, żeby grać tylko to, co narysował. I jak przegrywaliśmy, to przegrywał tylko on.

Jak się czyta o pana życiu, to ono nie było takie łatwe. Dzieciństwo podczas II wojny światowej do takich nie należało.

Jak mogło nie być trudne, jak zniszczył nas jeden, a drugi wstawił nóż w plecy? Kromka chleba to było coś. Najtrudniej było nam, gdy ojca zabrali do obozu pracy do Breslau – później uciekł i poszedł do lasu. Gdy go nie było, to przyjaciel ojca, piekarz, dawał mamie chleb w komis. I mama nim handlowała. Dostawałem szklankę mleka, którego do dziś nie lubię, i kawałek bułki paryskiej. A kiedy mama z bratem szła sprzedawać, to zostawałem sam w domu, bo się o mnie bała. Czekałem przy oknie w takiej izbie, którą wynajmowaliśmy, bo Niemcy nas wyrzucili z pięknego, skanalizowanego nawet mieszkania. I pamiętam to czekanie. Zwłaszcza gdy było tak ponuro i szaro zimą. Kiedy mama wracała, wchodziła, to robiło się jasno i pięknie. To był cud. Taka piękna rzecz. Cudowna kobieta...

Po wojnie znów trudny życiowy moment. Reprezentant Polski i w 1968 r. w meczu padł pan na murawę ze złamaną nogą. Co pan wtedy pomyślał?

Pierwsze, co zauważyłem, to to, że cała ziemia się rusza. Druga myśl to była ta, że muszę zacząć rehabilitację. Że to nie koniec.

A gdy wiadomo było, że to już koniec, że pan nie będzie dalej grał?

To trudne. Ale większość takich zawodników spełnia się jako trenerzy, tak jak ja. Wiedzą, że mają coś do powiedzenia w futbolu, a nie mogą tego zrealizować na boisku. To jest wielka motywacja! To jest taki power, że się drewno gryzie.

Pan zawsze podkreśla, że na mistrzostwach świata nie ma drużyn słabych, bo słabe się na mundial nie kwalifikują. To jakie mamy szanse w grupie z Senegalem, Kolumbią i Japonią?

Żeby ustawić sobie turniej, to nie wolno przegrać pierwszego meczu. Od tego się zaczyna. Jak wygramy z Senegalem, to jestem pewien, że wyjdziemy z grupy. Remis zmniejsza te szanse o połowę. Jak przegramy, to wyjście z grupy będzie bardzo trudne, choć może się oczywiście zdarzyć inaczej i chciałbym wtedy, by statystyki się nie sprawdzały. Dwa najtrudniejsze mecze mamy na początku, bo zaraz druga jest Kolumbia.

Ja głęboko wierzę, że się uda. Dajmy reprezentacji tę energię! Bądźmy w tym czasie razem, oni nas potrzebują. I oni tę energię będą czuć bez względu na odległość!

To dlatego zgodził się pan też wystąpić w spocie, który ma dopingować naszych zawodników?

Oczywiście, bo to naprawdę może poruszyć tę potężną energię, którą ma nasza ojczyzna.

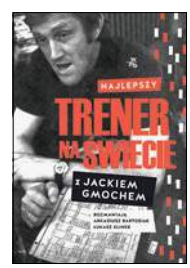

ARKADIUSZ BARTOSIAK, ŁUKASZ KLINKE „NAJLEPSZY TRENER NA ŚWIECIE. WYWIAD RZEKA Z JACKIEM GMOCHEM" WYDAWNICTWO W.A.B. 2018

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

ZDROJOWA HOTELS®

Nasze hotele – Twoje wakacje

A za **dzieci** nie płacisz!*

*Szczegóły promocji na www.zdrojowahotels.pl

Hotele w najpiękniejszych kurortach™

Kołobrzeg · Świnoujście · Ustronie Morskie · Szklarska Poręba

Rezerwuj bezpośrednio:

+48 91 40 40 400
rezerwacja@zdrojowahotels.pl

www.zdrojowahotels.pl

eprasa.pl acf664e4b9

raport DO RZECZY

Piłkarze w portfelu

Łukasz Majchrzyk

Wartość piłkarzy, którzy grają na mundialu, to blisko 9 mld euro. Polacy – wyceniani na 274,8 mln euro– są 13. najdroższą drużyną

Transfery piłkarzy to dzisiaj ogromna gałąź biznesu, a ceny płacone za najlepszych przyprawiają o zawrót głowy. Brazylijczyk Neymar jest obecnie wyceniany na 180 mln euro. Tyle samo jest wart Argentyńczyk Leo Messi. Wysoko ceni się także innego Argentyńczyka Paulo Dybalę, gwiazdy reprezentacji Belgii Kevina De Bruyne'a i Edena Hazarda, Francuzów Kyliana Mbappé i Antoine'a Griezmanna, Anglika Harry'ego Kane'a, Egipcjanina Mohameda Salaha i oczywiście Portugalczyka Cristiano Ronaldo.

Jeśli wziąć pod uwagę całe drużyny, to najdrożsi są Francuzi (1,08 mld euro), zaraz za nimi Hiszpanie (1,03 mld) oraz Brazylijczycy (981 mln). Polacy, wyceniani na 274,8 mln euro, znajdują się poza pierwszą dziesiątką – na 13. pozycji. Z grupowych rywali Polski najdrożsi są Senegalczycy (297,2 mln euro), którzy zajmują 11. miejsce w rankingu najdroższych reprezentacji.

Najdroższym i najlepszym polskim piłkarzem jest bezsprzecznie Robert Lewandowski. Cena, którą podaje branżowy portal Transfermarkt.pl, byłaby jeszcze wyższa niż 90 mln euro, gdyby Lewandowski był trochę młodszy. W tym roku kończy już 30 lat, a wiek nie jest bez znaczenia, bo pozwala kalkulować, przez ile lat można będzie na piłkarzu zarabiać oraz czy uda się go jeszcze gdzieś sprzedać.

W drużynie Adama Nawałki są też kandydaci na kolejne gwiazdy wielkiego formatu. Już teraz trzeba by zapłacić za nich potężne pieniądze, ale jeśli błysną w Rosji, to ceny poszybują w górę. Piotr Zieliński, Arkadiusz Milik czy Karol Linetty są młodzi i już mają wyrobioną dobrą markę

RANKING WARTOŚCI POLSKIEJ KADRY

90 MLN EURO
Robert Lewandowski (Bayern) – kapitan i największa gwiazda reprezentacji, jeden z najlepszych środkowych napastników na świecie. Bardzo możliwe, że po mundialu zmieni klub na jeszcze lepszy niż mistrzowie Niemiec. Od dawna mówi się, że zainteresowane Polakiem są Real Madryt oraz PSG, którego właścicielami są arabscy szejkowie. Niedawno podpisał kontrakt z agencją marketingową Lagardere, co zwiastuje ogólnoświatowe kontrakty reklamowe.

32 MLN EURO
Piotr Zieliński (Napoli) – jeden z największych talentów w polskim futbolu w ostatnich latach. W lidze włoskiej potrafi zachwycać, oby tak samo było na mundialu. Ma dopiero 24 lata i jeśli świetnie zagra w Rosji, to stanie się gwiazdą.

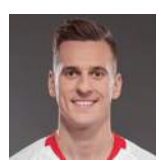

20 MLN EURO
Arkadiusz Milik (Napoli) – wielki talent, którego w ostatnich latach prześladuje wielki pech. Po Euro 2016 dwa razy zrywał więzadła krzyżowe (przednie), w obu kolanach. Strzelił gola reprezentacji Niemiec, podbił ligę holenderską (Ajax) i zdobył serca kibiców we Włoszech, a ma dopiero 24 lata. Oby tylko zdrowie mu dopisało.

18 MLN EURO
Grzegorz Krychowiak (PSG) – dwa lata temu był na szczycie. Zagrał świetnie na Euro we Francji, kilka tygodni wcześniej wystąpił w finale Ligi Europy. Zgłosiło się po niego PSG, gdzie miał pracować z trenerem, którego znał z występów w hiszpańskiej Sevilli. Nad Sekwaną spędził wcześniej kilka lat, biegle mówi po francusku, tymczasem w Paryżu zupełnie mu nie wyszło. Zdecydował się na wypożyczenie do West Bromwich Albion i tam również nie zachwycił. Po turnieju wrócił do PSG. Pasjonuje się modą. Kilka dni przed mundialem otworzył w Warszawie butik.

18 MLN EURO
Kamil Glik (Monaco) – wydawało się już, że na turniej nie pojedzie, ale po raz kolejny jego organizm zaskoczył lekarzy (od kilku lat gra z zerwanym więzadłem krzyżowym tylnym w kolanie). Niesamowicie twardy obrońca, ostoja linii obrony polskiej kadry. Kiedyś znajdował się nawet w głębokich rezerwach Realu Madryt, ale wielką karierę zaczął robić we Włoszech. Jako pierwszy obcokrajowiec w historii został kapitanem klubu Torino FC.

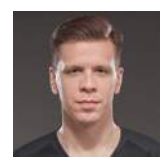

17 MLN EURO
Wojciech Szczęsny (Juventus) – w wieku kilkunastu lat trafił do Arsenalu, gdzie przez kilka sezonów był podstawowym bramkarzem. Rok przed mistrzostwami świata zgodził się przejść do Juventusu, gdzie będzie następcą Gianluigiego Buffona. Czy podoła temu zadaniu? Jednym z jego największych atutów jest niesamowita pewność siebie. Do tej pory nie miał szczęścia do wielkich turniejów. Na Euro 2012 w pierwszym meczu dostał czerwoną kartkę. Cztery lata później we Francji doznał kontuzji i do bramki już nie wrócił.

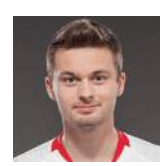

15 MLN EURO
Karol Linetty (Sampdoria) – od dawna wróżono mu wielką karierę. Na co dzień jest skromny, cichy,

eprasa.pl acf664e4b9

skoncentrowany na pracy, ale na boisku walczy do upadłego, a przy tym potrafi wypracować kolegom pozycję i samemu zdobyć bramkę. We Włoszech dojrzał piłkarsko, ale też poprawił muskulaturę, bez której w dzisiejszym futbolu trudno o sukcesy.

12 MLN EURO
Bartosz Bereszyński (Sampdoria) – wychowanek Lecha, którego zamienił na Legię, czym zraził do siebie poznańskich kibiców. Zaczynał jako skrzydłowy, ale karierę robi jako boczny obrońca. Już kilka lat temu miał trafić do Benfiki, ale chyba tego nie żałuje. O lidze włoskiej mówi się, że to „uniwersytet dla obrońców", a on na razie zdaje wszystkie egzaminy.

7,5 MLN EURO
Łukasz Teodorczyk (Anderlecht) – na mistrzostwach świata zapewne będzie zmiennikiem Roberta Lewandowskiego. Ma świetne warunki fizyczne, jest silny, doskonale uderza piłkę głową. Grał w Lechu Poznań i Dynamie Kijów, ale gwiazdą stał się w Anderlechcie, był królem strzelców ligi belgijskiej.

7 MLN EURO
Kamil Grosicki (Hull) – jeden z filarów reprezentacji, który na boisku doskonale rozumie się z Lewandowskim. Potrafi zdobyć bramkę po indywidualnym rajdzie. Kłopoty pozaboiskowe już chyba na dobre za nim. Po awansie na Euro 2016 stał się jedną z twarzy muzyki disco polo, wykonując przebój „Przez twe oczy zielone".

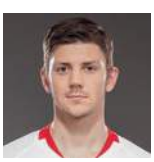

7 MLN EURO
Dawid Kownacki (Sampdoria) – jest jednym z najmłodszych strzelców gola w polskiej ekstraklasie. We włoskiej ekstraklasie kilka razy pokazał ogromny talent. Jeśli będzie rozwijał się w takim tempie, to o następcę Lewandowskiego nie trzeba się martwić.

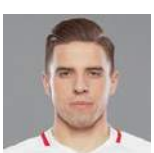

5 MLN EURO
Jan Bednarek (Southampton) – po kontuzji Glika zrobiło się o nim głośno. Rok temu przeszedł do angielskiego klubu i kiedy już wydawało się, że to za wysokie progi, bo przez długi czas nie grał, nagle pod koniec sezonu dostał szansę i zaczął grać świetnie. Przyszłość przed nim.

5 MLN EURO
Łukasz Fabiański (Swansea) – niesamowicie spokojny człowiek, nie szuka rozgłosu. Przed Euro 2016 do ostatniej chwili rywalizował ze Szczęsnym o miejsce w bramce reprezentacji Polski (podobnie było w Arsenalu). Po turnieju zapewne zmieni klub, bo jego drużyna spadła z Premier League, choć sam Polak był oceniany bardzo dobrze.

4 MLN EURO
Łukasz Piszczek (Borussia) – przyjaciel Kuby Błaszczykowskiego, z którym przez wiele lat razem występował w Dortmundzie. Żelazne płuca i doskonałe dośrodkowania to jego znaki rozpoznawcze. Niedawno podpisał kontrakt. I – jak twierdzi – to jego ostatnia umowa.

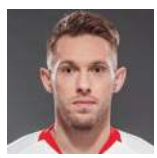

3,2 MLN EURO
Maciej Rybus (Lokomotiw) – cztery lata temu do Francji nie pojechał z powodu kontuzji barku. Rok 2018 jest dla niego niezwykle udany: ożenił się i został mistrzem Rosji. Tamtejsza liga chyba mu odpowiada – jako piłkarz Tereka Grozny za dobry występ w dniu urodzin dostał od prezesa w nagrodę luksusowy samochód.

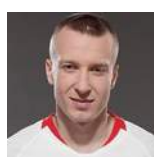

2,5 MLN EURO
Jacek Góralski (Łudogorec) – jedno z odkryć Adama Nawałki. Wykonuje bardzo dużo wślizgów, świetnie odbiera piłkę. Przeciwnicy raczej powinni unikać kontaktu z nim.

2,5 MLN EURO
Michał Pazdan (Legia) – obrońca, który potrafi zablokować wszystko i wszystkich. Już 10 lat temu na Euro 2008 zabrał go Leo Beenhakker, ale w kadrze zaistniał dopiero u trenera Nawałki. Mówią o nim „pirania", bo dopada przeciwnika i nie odpuszcza, aż dopnie swego. Już kilka razy przymierzał się do transferu zagranicznego. Może uda się po mundialu?

2,25 MLN EURO
Artur Jędrzejczyk (Legia) – może grać na kilku pozycjach w obronie. Z ligi rosyjskiej wrócił do Legii.

1 MLN EURO
Kuba Błaszczykowski (Wolfsburg) – czemu jest wyceniany tak nisko? Polak ma już 33 lata, gra na pozycji skrzydłowego, gdzie liczą się szybkość i dynamika, ma za sobą kilka ciężkich kontuzji. Wydawało się, że już nie pojedzie na mundial, ale fizjoterapeuta z Płocka postawił go na nogi. Piłkarz, który wśród kibiców wzbudza jednoznacznie pozytywne odczucia.

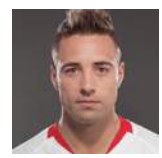

800 TYS. EURO
Thiago Cionek (SPAL) – potomek polskich emigrantów w Brazylii, urodził się w Kurytybie. Od dawna jednak deklarował przywiązanie do polskich korzeni.

800 TYS. EURO
Rafał Kurzawa (Górnik) – błyszczał w ekstraklasie, świetnie uderza piłkę lewą nogę. Na mistrzostwa świata jedzie głównie po naukę, ale już niedługo może być podstawowym zawodnikiem reprezentacji.

750 TYS. EURO
Bartosz Białkowski (Ipswich) – dla kibiców Ipswich jest dziś bohaterem, w Polsce kibice go mniej znają, bo od wielu lat gra na Wyspach Brytyjskich.

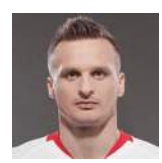

500 TYS. EURO
Sławomir Peszko (Lechia) – jego wyjazd wzbudzał wiele kontrowersji, bo w ostatnim sezonie nie błyszczał. Pojawiały się opinie, że jedzie do Rosji tylko dlatego, że jest przyjacielem Roberta Lewandowskiego. Adama Nawałki nigdy jednak nie zawiódł.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

NIE POZWÓLMY, ABY WYDARZENIA SPRZED LAT ULEGŁY ZATARCIU. DZIELMY SIĘ RELACJAMI Z TEGO TRUDNEGO CZASU. KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981, NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE WSPOMNIENIA. UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY W SWOIM RODZAJU OBRAZ TAMTYCH DNI.

PARTNER LOTOS

PATRONAT MEDIALNY DO RZECZY wprost

eprasa.pl acf664e4b9

WEŹ UDZIAŁ W TWOR

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU MUZEUM WSPOMNIEŃ! PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA: WWW.SUPERHISTORIA.PL

Gdzie jest „naród”?

Elżbieta Morawiec

Nie ma dziś śladu po wspólnocie narodowej. To niepoczuwający się do niej ludzie nadają ton w kraju i za granicą

Nie sądzę, że wiele się pomylę, jeśli stwierdzę, iż w ostatnich wyborach parlamentarnych na obecny rząd głosowało jakieś 10 mln ludzi. Tylu, ilu nas było w Solidarności. Przy wszystkich błędach partii rządzącej jedno nie ulega kwestii – to pierwszy rząd Polski tak uwrażliwiony społecznie, tak otwarty na zwykłego człowieka. Jednak od chwili tego wyboru nie ma dnia, aby nie zakłócano życia w kraju i pracy rządu codziennym warcholstwem, dzikimi atakami, kłamstwem i manipulacją. Przoduje tu oczywista największa przegrana – PO. Jednak zostawmy ją jako strukturę. Znacznie gorszy jest ogólny stan społeczności polskiej, od tzw. elit (dalej będę je zwać „elytami”) poczynając.

Zaczęło się właściwie od wygranej śp. Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich w 2005 r. Liczby kalumnii, wyzwisk, szyderstw, które ten prawdziwy mąż stanu, patriota zebrał od „elyt”, pojąć niepodobna. Prawdziwe pandemonium rozpętało się jednak dopiero po tragedii smoleńskiej – z udziałem najgorszych szumowin na warszawskim Krakowskim Przedmieściu, układających krzyże z pluszaków, sikających na znicze itd. Pamiętamy. Wszelkie tabu – majestatu śmierci, poszanowania modlitwy, elementarnej kultury osobistej – zostało złamane. Z pełnym przyzwoleniem urzędującego prezydenta Polski Bronisława Komorowskiego i rządzącej stolicą Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Po zwycięskich dla PiS wyborach parlamentarnych (i prezydenckich) w 2015 r. pandemonium nabrało nowej energii. W tym ponurym spektaklu przodują – któż by, jak nie zawodowi komedianci? – aktorzy, reżyserzy.

O umarłych aut bene, aut nihil, ale proszę sobie przypomnieć, jak śp. Andrzej Wajda zachęcał w rocznicę Bitwy Warszawskiej do zapalania zniczy… na grobach krasnoarmiejców. No i za nim poooszli!!!

AKTORZY SPEKTAKLU NIENAWIŚCI

1. Kawalerzysta Daniel Olbrychski też świeczki na krasnoarmiejcach palił. A teraz – jak się zamachnie – to zawsze w rząd uderzy. A to „faszyści”, a to „wyjechałby z Polski”. A któż panu broni? Mógł Depardieu, może i pan do Rosji. Zwłaszcza że szlak ma pan już przetarty.

2. Honorowe miejsce przystoi chyba Krystynie Jandzie. Taka parodia „Wol-

eprasa.pl acf664e4b9

Wojciech Pszoniak, Andrzej Seweryn, Daniel Olbrychski – pójdą na każdy marsz, byle był przeciw temu rządowi FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

ności prowadzącej lud na barykady". Na rozruch swojego prywatnego teatru dostała od tego „faszystowskiego" rządu 1 mln zł. Potem dotacje jej obcięto (jak prywatny teatr to prywatny), przeto z krzykiem ruszyła na barykady. Wcześniej zasłużyła się, wykpiwając w tandetnym skeczu w Opolu tragedię smoleńską. Powiewała „białą bluzką", powiewała i dostała odznaczenie za wierność Polsce!

3. W szrankach są bez wątpienia obaj panowie Stuhrowie – ojciec i syn. Starszy nie przepuści okazji, żeby nie skamleć, jaki w Polsce faszyzm, dyktatura etc. Młodszy święci triumfy nieuctwem historycznym (pod Cedynią Polanie rzekomo mieli przywiązywać dzieci do wyrzutni pocisków) i barbarzyństwem (śmichy-chichy z tragedii smoleńskiej). W pełnej gotowości do plucia jadem.

4. Z wieku i urzędu należałaby się jej pierwsza lokata. Pani Agnieszka Holland – gdzie może, tam wyzwala z siebie głos na temat dyktatury, totalitaryzmu narastającego w Polsce. A jak już dzieło puści w świat, to np. „Pokot", w którym Polacy to prymitywna tłuszcza.

5. Ex aequo z seniorką należy się Magdalenie Cieleckiej, która „czuła się jak żydowskie dziecko w tramwaju podczas okupacji". Poziom głupoty i tupetu zapewnia pani Cieleckiej bezwarunkowe pierwsze miejsce.

6. Dyrektor Teatru Polskiego Andrzej Seweryn, obdarowany 1,5 mln zł dotacji na swoją placówkę, na ostatnim żałosnym Marszu Wolności raczył był określić i tych, którzy mu te pieniądze przyznali, i widzów potencjalnych jako „byle kogo". Panie dyrektorze, po co brać pieniądze od byle kogo i dla byle kogo grać? Vous parlez français, jest pan socjetariuszem Comédie-Française, nieprawdaż? Niechże pan jedzie do demokraty Macrona.

Dalszych osobistości nie warto nawet opisywać – persony to „drobniejszego płazu". Jerzy Radziwiłowicz, Jacek Poniedziałek, Andrzej Chyra, Wojciech Pszoniak, Dorota Segda – uczestnicy co najmniej wspólnych marszów z byłymi ubekami, z osławionym Mazgułą, z KOD i z kim popadnie – byle przeciw temu rządowi.

U PROGU

Przed wielu laty wybitny pisarz, skądinąd niewierzący, André Malraux napisał: „Wiek XXI albo będzie wiekiem religijnym, albo nie będzie go wcale". Jesteśmy u progu tego „nie będzie go wcale". Europa porzuciła wszelkie wartości, które legły u jej fundamentów. Ideologicznie to jakiś postkomunistyczny zlepek bredni spod znaku LGBT, nowego rasizmu, absolutnego relatywizmu moralnego i pojęciowego. Każda brednia warta tyle samo co mądrość uczonego. Dlatego właśnie tak swobodnie hasacie po „tym kraju" – wasze brednie wychodzą naprzeciw, ba, legitymizują brednie głoszone przez pospolitych głupców. Czyż nie takie ich dobre prawo w świecie, do którego nas zapraszacie? Gdzie słowo „wolność" oznacza wolność od wszystkiego?

Pytanie, czy z „narodem" jest lepiej. Niestety – nie. Sądzę, że w Polsce jest – skromnie licząc – niewiele więcej niż 10 mln ludzi myślących i czujących sytuację kraju, Europy, świata. Na pewno drugie 10 mln to wprost lub pośrednio niechlubni dziedzice komunizmu. I zostaje 18 mln „masy" milczącej, niewiadomej, indyferentnej. Podatnej na wszelakie najgorsze wpływy. Nazwałabym ją ciemnym tłumem (a nie jest to równoznaczne z wykształceniem, bynajmniej!), by nie użyć słowa paskudnego – motłoch. Gdyby to towarzystwo 18-milionowe doszło do głosu, mielibyśmy klasyczną ochlokrację.

Wszyscy wiemy, jak straszliwie Polacy zostali zmiażdżeni przez matkę historię. A najdotkliwsze w tym nie były wcale lata zaborów, ale ostatnie dziesięciolecia XX w. – komunizm i to, co po nim nastąpiło. Elity wymordowane przez Niemców i Sowietów, to małe myślące serce Rzeczypospolitej, które ocalało, rosło gdzieś po kątach, ukradkiem, z trudem przebijając się na powierzchnię życia społecznego. Najpierw prym wiedli Różańscy i Bieruty, po 1989 r. – tacy z „chłopa króle" jak Wałęsa i „Europejczycy" w rodzaju Geremka, Kuronia, Mazowieckiego, Balcerowicza i e tutti quanti. Społeczeństwo, na krótko ożywione pontyfikatem Jana Pawła II i zdławioną przez czerwonych Solidarnością, zaczęło zachowywać się jak Indianie w Ameryce czy Murzyni w Afryce – dało się kupić za paciorki. A te paciorki to była nie tylko „kasiora", „fura" i „komóra". To były śmieciowe idee spływające z Zachodu. „Pawiem narodów byłaś i papugą" – nie dziś powstała ta sentencja. Polacy są narodem skrzyżowania kultur, ale na ogół złe z tego płyną konsekwencje – naśladownictwo to nasza największa przywara narodowa. W obecnym czasie przyniosło to fatalne skutki. Przeciętny Polak nie wie, czy on katolik czy nie. Nie wie, kto bohater, kto zdrajca. Nie zadaje sobie pytania o prawdę, o wolność i jej granice.

Te niewesołe myśli o tzw. ogóle przyszły mi do głowy, kiedy patrzyłam na wielodniowy spektakl pt. „W obronie praw niepełnosprawnych". Sprawa jest delikatna – niepodobna zaprzeczyć, że zaniedbania są wieloletnie i ten rząd stara się robić wiele, aby to zmienić. Warto dodać, że ten protest mógł się odbyć i odbył się li tylko dlatego, że ten rząd jest uwrażliwiony społecznie jak żaden. I dlatego można mu wejść na głowę.

Z narodem polskim, ze społeczeństwem stało się coś najgorszego – zapomina o swojej tożsamości, o powinnościach i prawach Polaka, spisanych niegdyś w katechizmie Rodła. Przynajmniej ta jego część, którą nazwałam ciemnym tłumem. Która przegląda się jak w krzywym zwierciadle w małej grupce ochlokracji w Sejmie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

POSUBOTNIK

Rafał A. Ziemkiewicz

„Wielokrotne łamanie konstytucji", o którym wrzeszczy opozycja totalna, to propagandowa ściema, działająca tylko na tę część społeczeństwa, która dobrowolnie poddaje się praniu mózgu

Działaczka KOD (czy Obywateli albo którejś z podobnych grupek, kto by je tam rozróżniał) zdołała zbliżyć się do prezydenckiej pary, wykorzystując to, że chodziła kiedyś do szkoły, gdzie była uczyła obecna pierwsza dama. Zbliżyła się i zaatakowała smartfonem, metodą „na Nitrasa", zadając prezydentowi pytanie, które zapewne wydało się jej miażdżące: „Dlaczego pan łamie konstytucję?". Prezydent, choć wyraźnie zdetonowany agresywnym zachowaniem napastniczki (typowa przypadłość warszawskich i krakowskich inteligencików, kompletna bezradność wobec chamstwa, zwłaszcza uskutecznianego przez kobiety – śp. Lech Kaczyński też tak miał), zdołał wyartykułować, że nie łamie. I tu atak nagle się załamał, ponieważ pani Kasia (Katarzyna jej było, na nazwisko Kulerska – ta, która organizowała blokowanie Wawelu, by uniemożliwić Jarosławowi Kaczyńskiemu odwiedzanie grobu brata) nie była w stanie podać żadnego konkretnego przykładu łamania. Wykrzyczała tylko, że nie wpuszcza się dziennikarzy do Sejmu. Tak, jakby wpuszczanie do Sejmu było zagwarantowane w Konstytucji RP i jakby z decyzją o niewpuszczaniu z powodu remontu miał cokolwiek wspólnego prezydent.

Wydawałoby się, że osoby tak zaangażowane jak pani Kulerska odpowiedź na pytanie, w jaki sposób konkretnie złamał był prezydent Duda konstytucję i jaki jej zapis, powinny mieć wbite w głowę na pamięć. Jednak pani Kasia, podobnie jak inni działacze totalnej opozycji, wie tylko, że prezydent „łamał". Jak? „Wielokrotnie". A konkretnie?

Posłanka PO, której nazwiska nie pomnę, po analogicznym pytaniu, zadanym jej w Radiu RMF FM, zastanawiała się niemal równie długo jak Grzegorz Schetyna indagowany o sukcesy ośmiu lat rządów PO i w końcu oznajmiła: kolejki są do lekarzy! Kolejki były także za rządów poprzednich, zauważył prowadzący rozmowę, na co posłanka odparła: „Ale PiS nic nie zrobił, żeby je zmniejszyć!".

@

Pozwolę sobie dzisiaj zatrzymać uwagę czytelnika przy sprawie rzekomego „wielokrotnego łamania konstytucji", bo rzecz jest niezwykle charakterystyczna. Od dawna studiuję tego rodzaju „faktoidy" i rolę, jaką odgrywają one w politycznej propagandzie. Pisałem też o nich w swoich książkach, zwłaszcza o przykładzie klasycznym: wygraniu przez TVP stanu wojennego dla Jaruzelskiego.

Kto czytał, niech mi wybaczy, że krótko przypomnę. Od pierwszej chwili po podpisaniu Porozumień Sierpniowych telewizja dostała prikaz, by pokazywać możliwie wstrząsająco każde dokonane przestępstwo i każdy przejaw chaosu. Wcześniej i później dzienniki telewizyjne były sielanką: Polska Ludowa żyła dostatnio i rosła w siłę, lała się surówka z wielkich pieców, nowe małe fiaty zjeżdżały z taśmy, pracownicy uśmiechali się radośnie, wypoczywając z Funduszem Wczasów Pracowniczych, żadnych niepowodzeń ani nieszczęść, cenzurowano nawet informacje o gradzie czy wichurach. Pomiędzy Sierpniem a 13 grudnia – odwrotnie, każde morderstwo, kradzież, gwałt i pobicie lądowały na czołówce dziennika, a zaraz potem szły informacje o strajkach, awanturach, sporach, przez które zakłady pracy nie dają rady „zabezpieczyć" zapasów na nadchodząca zimę.

W istocie przestępczość w tym okresie spadła do poziomu najniższego w całych dziejach PRL, do strajków dochodziło sporadycznie… Jednak jakie to ma znaczenie? Wielu staruszków do dziś będzie się wam bożyło, że to był czas chaosu oraz zagrożenia i gdyby nie gen. Jaruzelski…

Władcy hałasu

eprasa.pl acf664e4b9

Na tej samej zasadzie krzepcy emeryci z manifestacji KOD upierają się, że w latach 2005–2007, gdy PiS sprawował władzę po raz pierwszy, robił jakieś straszne rzeczy – choć jakie konkretnie, na to pytanie także odpowiedzieć nie potrafią. Mechanizm był ten sam. Media codziennie donosiły o jakichś „naciskach" i „nadużyciach władzy", o składanych przez polityków opozycji „doniesieniach do prokuratury". Kto to bezkrytycznie łykał, ten nasiąkał atmosferą psychozy i lęku, i to właśnie tkwi w jego pamięci – nie fakty, ale nastrój, który, posługując

FOT. MACIEK JARZĘBIŃSKI/FORUM

się zmyślonymi bądź zmanipulowanymi informacjami, w nim wtedy wytworzono. W istocie żadnych nadużyć ani nacisków nie było, nie znalazł się żaden konkretny powód do stawiania kogokolwiek przed Trybunałem Stanu, którym straszyli i nadal straszą ludzie starego, okrągłostołowego układu. Potem, żeby jakoś z tego wybrnąć, propagandyści rzeczonego układu oskarżyli PO o to, że w czasie swych rządów odpuściła PiS wyjaśnienia jego nadużyć, kierując się niepotrzebnym humanitaryzmem, i że to był największy – jedyny właściwie – błąd tych rządów.

Cóż za czarna niewdzięczność! PO stawała na głowie, żeby znaleźć cokolwiek. Działaczy PiS i ludzi pełniących pod jego rządami wysokie funkcje ciągano latami po prokuraturach, rekordzistów po kilkadziesiąt razy, pod lipnym pretekstem (rzekomego przyjęcia łapówki w postaci wiecznego pióra) trzymano przez wiele miesięcy w „areszcie wydobywczym" wiceministra zdrowia Jarosława Pinkasa, próbując wymusić na nim, by kogoś obciążył, stworzono dwie komisje sejmowe, jedną w ogóle bez konkretnie określonych zadań, tylko do złapania PiS na czymkolwiek. Nie jest naprawdę winą PO, że nic się znaleźć nie udało, że cztery, a bodaj już pięć wyroków sądowych dowiodło, iż zatrzymanie Barbary Blidy było zasadne i przeprowadzone prawidłowo, a z raportu sejmowej komisji wynikło, iż zabiła się ona niechcący, podczas nieumiejętnej próby samookaleczenia, podjętej, by zamiast do aresztu trafić do szpitala.

@

„Wielokrotne łamanie konstytucji", o którym opozycja totalna wrzeszczy w swoich mediach, na swoich wiecach i spotkaniach (generalnie tam, gdzie nikt o konkrety nie zapyta) oraz pisze w swoich donosach i apelach o ratowanie złotej wolności, kierowanych do carycy Kata… pardon, do Europy – to właśnie taka sama propagandowa ściema jak „naciski" i „zamordowanie Blidy" czy mit o „postępującym chaosie i rozkwicie bandytyzmu" w czasach pierwszej Solidarności. Mniej skuteczna tylko dlatego, że PiS odebrał staremu układowi kontrolę nad państwowymi mediami i narracja działa tylko na tę część społeczeństwa, która dobrowolnie się poddaje praniu mózgu.

Nie mówię, że nikt w ogóle w ostatnich latach konstytucji nie złamał. Jednak zrobił to nie PiS, tylko prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński. Wbrew konstytucji stanowiącej jasno, że tryb pracy Trybunału określa ustawa, odmówił podporządkowania się ustawie sejmowej, ogłaszając całkowicie na podstawie własnego widzimisię, że została przyjęta „w złej woli", że „ma na celu sparaliżowanie prac Trybunału" (co zresztą akurat było prawdą) i w związku z tym on, „Orzeł" Rzepliński, ogłasza „stan wyższej konieczności" i „orzeka bezpośrednio na podstawie konstytucji".

Było tak? Było. Wszystko inne nie było łamaniem, ale obchodzeniem i naginaniem prawa. Nieładnym, ale zdarzającym się i tolerowanym nawet w demokracjach uważanych za wzorcowe. Ot, wskażmy choćby, bo rzecz nieco przypomina trick z „publikowaniem wyroku", jak republikanie uniemożliwili demokratom przejęcie Sądu Najwyższego. Gdy zmarł nieodżałowanej pamięci sędzia Scalia, Barack Obama mianował na jego miejsce liberała – z tym że zgodnie z prawem zaprzysiąc go mógł dopiero po przesłuchaniu i zaopiniowaniu kandydata przez senat. Republikańska większość w Senacie przez ponad pół roku nie wyznaczała zatem terminu tego przesłuchania, aż zmienił się prezydent i kandydaturę liberała wycofał. Złamali konstytucję USA? Powiedzcie to senatorowi McCainowi, który był jednym z inspiratorów tej obstrukcji, a tak chętnie włączył się w pyskówkę przeciwko Polsce.

Mechanizm myku, obmyślonego przez PO z udziałem profesorów Zolla i Rzeplińskiego, który miał dać PO trwałą przewagę w Trybunale i możliwość zablokowania tam zmian, tłumaczyłem już kiedyś – oparty był na tym samym „domniemaniu konstytucyjności", które potem Rzepliński beztrosko podeptał, ogłaszając „wyższą konieczność". PO prawem kaduka wybrała „sędziów-dublerów", PiS zaskarżył ten wybór, prezes Trybunału zwlekał z rozpatrzeniem skargi, aż prezydent ich zaprzysiężę – i gdyby poszło zgodnie z planem, to znaczy prezydentem pozostałby Bronisław Komorowski, to potem orzekłby, że wybrano sędziów nieprawidłowo, ale zgodnie z domniemaniem konstytucyjności do momentu orzeczenia TK byli ważni, a więc zostali zaprzysiężeni skutecznie i sędziami są, i tylko na przyszłość tak nie róbcie.

PiS potem próbował odpowiedzieć na chamówę identyczną chamówą, zapominając, że nie ma takiej osłony medialnej i zagranicznej jak jego przeciwnicy – a gdy zrobiła się awantura, próbował się cofnąć i zastosować do zalecenia Komisji Weneckiej, by poprawić wadliwe przepisy konstytucyjne. Że tak się stać nie mogło, to strategiczny wybór PO, która odmówiła wszelkich negocjacji, bo nie chciała obiecującego sporu kończyć, tylko jątrzyć i rozgrywać go, licząc, że z pomocą Unii zdoła zdestabilizować rząd, doprowadzić do nowych wyborów i odzyskać Polskę – choćby miała ją w tym celu zniszczyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

Komunia dla każdego?

Krystian Kratiuk

Najświętszy Sakrament od wieków stanowi najcenniejszy skarb Kościoła. Wygląda jednak na to, że Kościół znajduje się na drodze prowadzącej do udzielania komunii świętej każdemu

Dożyliśmy zdumiewających czasów. Gdyby jeszcze pół wieku temu jakiś katolik zaproponował, by komunii świętej udzielać ludziom innej wiary albo osobom żyjącym w grzechu ciężkim, zostałby gremialnie potępiony, a jeśli nie odwołałby swojej propozycji, to ogłoszono by go heretykiem. Dzisiaj natomiast poglądy takie są w Kościele wynoszone na piedestał.

Od kilku lat trwa batalia o udzielanie komunii świętej rozwodnikom żyjącym w nowych związkach – a więc osobom, które obiektywnie trwają w grzechu ciężkim. O debacie tej pisaliśmy już na łamach „Do Rzeczy" wielokrotnie – powszechna jest więc wiedza, że w wielu miejscach na świecie takie rozwiązanie zostało już zaaprobowane przez biskupów. Warto jednak pamiętać, że praktyka przyjmowania komunii świętej przez rozwodników w nowych związkach cywilnych jest znacznie dłuższa. W Niemczech bowiem już od co najmniej 20 lat można było, żyjąc w grzechu ciężkim – po spełnieniu pewnych warunków (wśród których nie było konieczności nawrócenia na właściwą drogę życia) – otrzymać rozgrzeszenie i dostąpić do Stołu Pańskiego. Dzisiaj temat ten jest już jednak, dzięki adhortacji „Amoris laetitia", sprawą całego Kościoła powszechnego, a nie tylko problemem hierarchów w Niemczech.

Jednak w Niemczech od lat udziela się też komunii świętej zupełnie innej grupie osób. Chodzi o… protestantów. A konkretnie o tych, którzy poślubili katolika lub katoliczkę. Takie swoiste chwilowe „przechrzczenie poprzez małżeństwo", nazywane interkomunią, akceptowane jest od lat – wielu niemieckich kapłanów nie ma z tym żadnego problemu.

BEZDECYZYJNOŚĆ PAPIEŻA

Tak jak w przypadku rozwodników, tak i w sprawie protestantów biskupi uznali, że skoro jakaś praktyka trwa, to należy ją sformalizować. Wszak gdzieś w kraju mogą się jeszcze znaleźć kapłani, którzy – kierowani niezrozumiałym dla większości zachodnich hierarchów konserwatyzmem – uznają, że godnymi przyjęcia komunii świętej są wyłącznie katolicy, w dodatku tylko ci pozostający w stanie łaski uświęcającej. Kościół uczył tego od wieków. Kapłanom pamiętającym tę naukę należy więc wyjść z pomocą – właśnie poprzez ogłoszenie nowych ścieżek praktyki duszpasterskiej.

Tym razem jednak promotorzy rozdawania komunii świętej wszystkim natrafili na pewien problem. Okazało się bowiem, że nawet w gronie samego Episkopatu Niemiec nie każdemu podoba się pomysł, według którego to krajowa Konferencja Episkopatu decyduje o tak rewolucyjnej zmianie. Oto w kilka dni po tym, jak kard. Marx przedstawił zarys dokumentu mającego wprowadzać interkomunię, siedmiu biskupów zgłosiło weto. Jednak nie z powodu obawy o świętokradztwo, ale z obawy o to, czy aby nie przekroczono uprawnień pasterzy Kościoła lokalnego. Tak więc wysłali list do Ojca Świętego, podpisany przez wspomnianych siedmiu hierarchów, dotyczący tego, czy biskupi Niemiec mogą sami zdecydować o tej sprawie. Poproszono zatem o rozstrzygnięcie kwestii przez papieża Franciszka.

Papież nie zawiódł swych najwierniejszych niemieckich kompanów. Tak jak to ma w zwyczaju, stwierdził, że… to nie on jest od wydawania tego typu decyzji i że powinna ona zostać podjęta w łonie Episkopatu Niemiec. Franciszek zalecił przy tym, by – o ile to możliwe – decyzja była w miarę jednomyślna. Nie zastrzegł, że droga obrana przez biskupów znad Renu ma być zgodna z nauką Kościoła – ważniejsze, by wybór był jednomyślny. A przynajmniej w miarę.

To bardzo charakterystyczny sposób odpowiadania na pytania przez papieża z Argentyny. Socjologia i politologia zna kategorię „bezdecyzji" – a więc świadomego zaniechania podjęcia decyzji dla osiągnięcia własnego celu. Trudno nie zauważyć, że z takim właśnie przypadkiem swoistej „bezodpowiedzi" na ważki problem mamy do czynienia i tutaj. Po oświadczeniu Ojca Świętego bowiem zarówno promotor zmian – kard. Marx – jak i lider grupy wątpiących w nowe propozycje – kard. Woelki – twierdzą, że papież opowiedział się po… ich stronie. Problem trwa nadal, a Stolica Apostolska umywa ręce, niczym jeden z rzymskich prefektów sprzed 20 stuleci.

NACIĄGANIE KANONÓW

Promotorzy interkomunii powołują się na kanon 844 § 4 Kodeksu prawa kanonicznego, brzmiący: „Jeśli istnieje niebezpieczeństwo śmierci albo przynagla inna poważna konieczność, uznana przez biskupa diecezjalnego lub Konferencję Episkopatu, szafarze katoliccy mogą godziwie udzielać wymienionych sakramentów tak-

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. FOTOLIA

że pozostałym chrześcijanom, niemającym pełnej wspólnoty z Kościołem katolickim".

Oto na naszych oczach sugeruje się zatem, że życie w związku z katolikiem to „inna poważna konieczność", równie przynaglająca jak niebezpieczeństwo śmierci. Że z tego powodu nie można już udać się do zboru na nabożeństwo! Setki tysięcy męczenników oddało swe życie za prawdę o Chrystusie, a dziś chce się zmieniać nauczanie o Najświętszym Sakramencie, bo komuś jest wygodniej iść z żoną przed obiadem do katolickiej świątyni, a nie jechać osobno na drugi koniec miasta! Jakie „inne poważne konieczności" są dziś tak powszechne w Niemczech, że trzeba omijać czy też „rozszerzać" ów kanon? Bo – abyśmy mieli jasność – w całej tej dyskusji nikt nawet nie zająknął się, by zachęcać protestantów do konwersji na katolicyzm. Co to, to nie – wszak, wedle nowego paradygmatu, byłby to poważny grzech prozelityzmu.

Warto zdać sobie przy tym sprawę z jeszcze jednego. Ci sami ludzie, którzy chcą udzielać komunii świętej protestantom, mówią także o pilnej konieczności błogosławienia homozwiązków, „zbliżenia się" z ateistami i odmawiają nawracania muzułmanów. Czy więc i oni wszyscy za chwilę przystąpią z nami do komunii świętej?

CO ZROBIĄ POLACY?

Tego jeszcze nie wiemy, ale wszystko wskazuje na to, że jeszcze przed końcem tego roku za Odrą faktem stanie się formalne zezwolenie na komunię świętą dla protestantów. W kolejnych latach eksperyment ten może zostać przeniesiony do innych krajów protestanckich – Holandii, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, USA czy państw Skandynawii. A także do Ameryki Łacińskiej, w której to wspólnoty protestanckie wciąż rozwijają się bardzo szybko. Główny problem jest jednak taki, że wielu protestantów w realną obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie… nie wierzy. Sytuacja ta nie przeszkadza jednak ani im, ani ich małżonkom, ani – jak widać – duszpasterzom.

Czy powinno nas to dziwić? Wszak protestanci i rozwodnicy żyjący w nowych związkach wcale nie są pierwszymi grupami, które wbrew tradycyjnej nauce Kościoła mogą liczyć na przyjęcie komunii świętej. W większości krajów na świecie kapłani nie traktują już jako grzechu stosowania sztucznej antykoncepcji. Jawny bunt przeciwko zawartej w encyklice „Humanae vitae" nauce Pawła VI potępiającej kontrolę urodzin zaczął się w Kanadzie i – to już żadna niespodzianka – w Niemczech. Oficjalna doktryna Kościoła stosowanie antykoncepcji określa mianem grzechu ciężkiego, a w praktyce w większości miejsc na mapie katolicyzmu w ogóle nie przeszkadza to w przyjmowaniu komunii świętej.

Inną zaś grupą osób, które bez problemu dopuszcza się do Stołu Pańskiego, są politycy przyczyniający się do trwania lub uchwalenia prawa sprzecznego z Prawem Bożym. Nauka Kościoła wskazuje, że osobom głosującym za aborcją czy in vitro nie powinno się udzielać komunii świętej (ani innych sakramentów) dopóty, dopóki publicznie nie odwołają swoich poglądów i nie odbędą pokuty. Na taki gest zdecydowało się w ostatnich 10 latach może kilku biskupów spośród kilku tysięcy na całym globie.

A jak w tym kontekście wygląda polska praktyka? Cóż, komunii świętej politykom popierającym in vitro udzielano i wciąż się u nas udziela. Nic nie wiadomo o tym, by którykolwiek kapłan odmówił udzielenia komunii świętej politykom PiS głosującym nie tak dawno przeciwko ustawie zakazującej aborcji. W polskim Kościele wciąż oficjalnie potępia się antykoncepcję, a biskupi trwają przy nauczaniu Jana Pawła II w tej sprawie. Problem protestantów naszego kraju niemal nie dotyczy, gdyż stanowią ok. 0,4 proc. ludności. A rozwodnicy żyjący w nowych związkach? Tych w Polsce przybywa. Episkopat już wiele miesięcy temu ogłosił rozpoczęcie prac nad dokumentem implementującym w Polsce „Amoris laetitia", ale wciąż nie znamy choćby jego szkicu – decyzja zatem przed nami.

Jedno jest jednak pewne – Pan Jezus Chrystus w ostatniej dekadzie wyróżnił Polskę szczególnie. To właśnie Polakom przypomniał, czym w rzeczywistości jest komunia święta. Na dwóch krańcach naszej ojczyzny w krótkim czasie dokonały się dwa cuda eucharystyczne – w Sokółce i w Legnicy hostie zmieniły się we fragmenty ludzkiego serca w stanie agonii. W dobie powszechnego upadku wiary w Jego realną obecność w Najświętszym Sakramencie Chrystus zdaje się więc chcieć coś Polakom powiedzieć.

Czy będziemy chcieli zastanowić się co?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.

eprasa.pl acf664e4b9

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ballada na 102

Numer 102 przez całe życie kojarzył mi się oczywiście z czołgiem T-34, Jankiem, Gustlikiem, Grigorijem i psem Szarikiem. Ostatnio jednak czterej pancerni zostali zdetronizowani przez warszawską linię autobusową.

Na stołeczną komunikację nie narzekam. Lubię ją, a jako felietonista mam wręcz obowiązek z niej korzystać. Uważam, że działa całkiem sprawnie, jeździ solidnie i punktualnie, ale może pamiętając czasy, kiedy ludzie wyskakiwali z pociągu, żeby przed innymi dobiec na postój taksówkowy przy otwockim dworcu, mam poprzeczkę zawieszoną dość nisko.

Osobną bajkę stanowi autobusowa linia 102. Dosłownie, ponieważ linia ta, podobnie jak alkohol, wprowadza element baśniowy do rzeczywistości. Zacznijmy od tego, że pojazdy komunikacji miejskiej w Warszawie zazwyczaj trzymają się rozkładu jazdy. Ale nie 102. Powiedzieć, że ten autobus się spóźnia, to jakby powiedzieć, że Tomasz Lis nie przepada za PiS. Na trzecim przystanku od pętli autobus ten ma zazwyczaj 8–10 minut spóźnienia. A bywa, że i więcej. Nic więc dziwnego, że kiedy raz jeden przyjechał punktualnie, mnie jeszcze nie było na przystanku. Strasznie mnie wtedy wkurzył.

W 102 dzieją się naprawdę dziwne rzeczy. Kiedyś stałem obok kierowcy, a ten zapytał mnie: „Panie, teraz prosto czy skręcamy?". – Prosto – odpowiedziałem. I miałem poczucie, że wreszcie w życiu zrobiłem coś ważnego i sensownego. Acz trochę żałowałem, że zmarnowałem sytuację na wygłup. Gdybyśmy tak skręcili…

Kiedy indziej na przystanku ludzie wypatrywali jak zwykle spóźnionego 102, a ten przyjechał nie z tej strony, z której powinien. Okazało się, że cwany kierowca uciekł z korka, skręcił w jakąś boczną ulicę, potem w kolejną i wreszcie wypadł z najmniej oczekiwanej strony. Było to tak niedorzeczne, że nawet nikt nie miał pretensji o to spóźnienie. Chociaż warto dodać, że inne autobusy odjeżdżające z tej samej pętli przyjeżdżają na nasz przystanek o czasie. Ale to zwykłe autobusy.

Raz 102 nie zatrzymał się na przystanku, na którym chciałem wysiąść, i pojechał dalej. Facet chyba go przeoczył, bo potem było mu autentycznie przykro. Innym razem pewna pasażerka nakrzyczała na mnie, że za głośno rozmawiam z synem i jej się zaraz mózg zagotuje. Jednak znacznie sympatyczniejsza jest inna pasażerka, która wśród porannych pasażerów ma opinię lekko postrzelonej, a to dlatego, że do wszystkich się uśmiecha i przyjaźnie zagaduje.

102 jeżdżę tylko kilka przystanków. Dowożę nim syna do szkoły. I nie wiem, co się dalej z nim dzieje na trasie. A całkiem niedawno zgadałem się z moim przyjacielem Wiktorem Świetlikiem, że on dowozi swoją córkę tym autobusem. I na drugim biegunie trasy 102, za Wisłą, dzieję się dokładnie to samo. Bardzo mnie to ucieszyło. To naprawdę wyjątkowa linia. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Komuno, wróć!

To, że odrodzi się w Polsce lewica, od pewnego czasu nie ulegało wątpliwości. Prosta przeciwwaga wymagała, by pojawiła się jakaś formuła anty-PiS. Kompromitacja Platformy i anihilacja Nowoczesnej w naturalny sposób działały na korzyść lewicy pozaparlamentarnej, wegetującej dotąd pod progiem wyborczym. Ostatnie kilkanaście lat zatarło wspomnienie rządów Millera i Belki, wyrosły nowe pokolenia, a afera Rywina na tle późniejszych afer wydaje się drobnym nieporozumieniem w rodzinie. Największym problemem była kwestia programu – gdy się okazało, że totalna negacja prowadzi donikąd, a rządzącej prawicy nie sposób przelicytować w działaniach (i obietnicach) prosocjalnych.

Oprócz szermowania proaborcyjnymi hasłami dla kobiet próbuje się sięgnąć do wciąż żywych pokładów antyklerykalizmu

Obrona praw mniejszości seksualnych nie gwarantuje w Polsce sukcesów w elektoracie, toteż oprócz szermowania proaborcyjnymi hasłami dla kobiet próbuje się sięgnąć do wciąż żywych pokładów antyklerykalizmu. To zabawne, że silna lewica szukała w Polsce kompromisu z Kościołem, słabiutka wraca do walki z religią w szkołach i krzyżem w przestrzeni publicznej.

Argumentów przeciw obecności księdza lub katechetki w szkole przytaczanych jest mnóstwo. To, że po prostu życzy sobie tego większość rodziców, nie jest przyjmowane do wiadomości, podobnie jak to, że religia katolicka (a nie islam, judaizm czy buddyzm) są elementem składowym polskiej tożsamości, tradycji i kultury, że są potrzebne nie tylko jako normy etyczne w procesie wychowania, lecz także jako nieodzowny składnik ogólnego wykształcenia. Religia nauczana w kościołach jak za komuny to, w pośpiechu życia, dodatkowe utrudnienie komunikacyjne, a także osłabienie siły oddziaływania. Zlaicyzowane społeczeństwa Zachodu też zaczęły swoją dechrystianizację od wyrzucenia religii ze szkół i stoją dziś bezbronne wobec zagrożeń teraźniejszości.

Poza tym w czasach PRL chodzenie do sal katechetycznych na religię było elementem sprzeciwu, sposobem manifestacji przekonań, elementem walki narodu przeciw zniewoleniu. Toteż aby dziś zmusić młodzież z pokolenia smartfona do ochoczego biegania do kościoła, należałoby najpierw przywrócić sytuację jak za komuny…

Ale może właśnie o to chodzi? ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

SZEWACH WEISS

Brit mila malutkiego Ariego Leiba Stamblera

Niedawno zaprzyjaźniona ze mną rodzina Szaloma Stamblera zaprosiła mnie na uroczystość obrzezania malutkiego Żyda – Ariego Leiba. Rabin Szalom Stambler od wielu lat mieszka w Polsce i stworzył tu środowisko chasydów Chabad. Ruch ten powstał ponad 200 lat temu, zapoczątkowany przez rabina Szneura Zalmana z Ladów. Nazwa pochodzi od trzech hebrajskich słów: Chochma (mądrość), Bina (zrozumienie, naturalna inteligencja) oraz Daat (wiedza). Chasydzi stworzyli ogromny ruch zwyczajnych Żydów, chcąc pokazać, że każdy Żyd ma bezpośredni kontakt z Bogiem, może się do Niego zwracać, modlić się, śpiewać Mu czy prosić Go o wybaczenie.

Od lewej: rabin Levi Stambler, rabin Zalman Stambler, rabin Meir Stambler, minister Jarosław Sellin, rabin Szalom Stambler, prof. Szewach Weiss FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Szalom Stambler jest nie tylko rabinem, lecz także emisariuszem ruchu Chabad w Polsce. Takich emisariuszy chasydzi Chabad mają na całym świecie. Jest ich o wiele więcej niż ambasad Izraela. Nie są oni misjonarzami, bo w religii żydowskiej ich nie ma. Wręcz przeciwnie, religia ta jest mocno izolowana. Również dziecko mające matkę Żydówkę przed obrzezaniem jest jakby w „poczekalni" i dopiero po brit mila, zazwyczaj po ośmiu dniach, chłopiec staje się stuprocentowym Żydem. Malutki Arie Leib jest Żydem już na wieczność. Wiem, że nie brakuje osób krytykujących rytuał obrzezania. Jednak nie mają oni pojęcia, jak fundamentalna jest to procedura. Nie można być Żydem bez brit mila, które jest nie tylko sprawą symboliczną, lecz także fizycznym oraz duchowym znakiem każdego Żyda. To jeden z fundamentów przetrwania narodu żydowskiego. I warto podkreślić, że jest to akt z zachowaniem najwyższej higieny, dokonywany bardzo etycznie, dziecko prawie nie czuje bólu.

Uroczystości z okazji brit mila organizowane są na całym świecie, ale chciałbym się skupić na spotkaniu w przecudnej rodzinie Stamblerów. Senior rodu, rabin Zalman Stambler, jest niesamowitym kantorem [osoba wykonująca partie solowe modlitw w synagodze – przyp. red.] i mężczyzną z wysokim wykształceniem religijnym. Wspólnie ze swoją żoną mają wielu synów (każdy z nich jest rabinem, każdy ukończył prestiżową jesziwę) oraz wiele córek, doczekali się dziesiątków wnucząt i dwojga prawnucząt. Rodzina małżonki Szaloma Stamblera pochodzi z ortodoksyjnej, chasydzkiej rodziny węgierskich Żydów. Na uroczystości w takiej rodzinie pojawiają się setki osób. W tym wielu członków lokalnej wspólnoty Chabad Lubawicz, dla których jest to wydarzenie nie tylko w wymiarze towarzyskim, lecz także duchowym. Typowe żydowskie, międzynarodowe, multijęzyczne towarzystwo. Część mówi po polsku, część po hebrajsku, część po węgiersku czy niemiecku, większość po angielsku, część po ukraińsku czy rosyjsku, a wspólnym językiem jest jidysz. Jest to powrót do języka, który tracimy, ponieważ Niemcy podczas II wojny światowej wymordowali większość Żydów posługujących się jidysz – językiem nierozerwalnie związanym z rozwojem kultury żydowskiej, naszej historii, religii, językiem niezliczonych książek, prac naukowych, wierszy, modlitw i piosenek. Jidysz w połączeniu z piękną chasydzką muzyką stworzył w domu Stamblerów najcudowniejszy żydowski koncert. Cała rodzina pięknie śpiewa, bo są nie tylko rabinami, lecz także kantorami, a do tego śpiewu przyłączył się zaproszony na tę uroczystość minister Jarosław Sellin, który – mam nadzieję, że się nie mylę – czuł się między nami jak między swoimi, a i my tak czuliśmy się w jego towarzystwie.

Jeśli ktoś chce zrozumieć, jak to możliwe, by naród, który opuścił swoją ojczyznę prawie dwa tysiące lat temu, stworzył i odnowił swoje państwo przed 70 laty, częściową odpowiedź mógł znaleźć w uroczystości brit mila u rodziny Stamblerów. Trwanie narodu żydowskiego oparte jest na fundamentach religijnych, na podstawie różnych ruchów religijnych, w tym na ruchu Chabadu. Ta moc, ta energia religijna, której częścią jest modlitwa w jednoczącym nas języku hebrajskim, łączący nas również język jidysz, były gwarantami kontynuacji narodu. A ponieważ Żydzi wciąż żyją na całym świecie, to kontynuacja narodu żydowskiego nadal jest związana i z istnieniem państwa Izrael, i z istnieniem tych wartości religijnych.

Właśnie tam, u Szaloma Stamblera, czułem, co to znaczy marsz żywych. Marsze do Auschwitz i do innych obozów zagłady są pożegnaniami, są marszami żałobnymi, a ta uroczystość brit mila była prawdziwym marszem żywych. Tutaj się rodzi teraźniejszość i przyszłość narodu żydowskiego. ©℗ *oprac. raw*

eprasa.pl acf664e4b9

Karl-Marx-Show

Piotr Semka

W dawnej NRD nie ma już miasta Karl-Marx-Stadt, ale w Trewirze do jesieni potrwa Karl-Marx-Show

FOT. PIOTR SEMKA

Trewir – najstarsze miasto Niemiec, założone jeszcze przez Rzymian. Miejsce pielgrzymek do przechowywanych w tutejszej katedrze relikwii świętej szaty Jezusa. W tym roku miasto żyje jednak pod znakiem jubileuszu 200. urodzin najsłynniejszego swojego syna – Karola Marksa. Gród nad Mozelą wytapetowany jest najprzeróżniejszymi wizerunkami Marksa. Nawet światła na przejściach ulicznych wyobrażają sylwetkę brodatego filozofa. Starożytne miasto wielką wystawą na temat ideologa komunizmu łasi się do generacji 1968 i chińskich turystów. Lista imprez ku czci czerwonego patriarchy jest długa.

PREZENT Z PEKINU

Pomnik „niemieckiego proroka" wraz z cokołem ma 5,40 m wysokości i waży 2 t. Odsłonięto go 5 maja br. w dniu 200. urodzin ideologa komunizmu. To dar rządu Chińskiej Republiki Ludowej, z którą Niemcy, obrażone ostatnio na Donalda Trumpa, bardzo się liczą. Krótko przed osłonięciem pomnika niemiecki PEN Club domagał się, by odsłonięcie pomnika uzależniono od zwolnienia z więzienia pani Liu Xia, wdowy po Liu Xiaobo, chińskim laureacie Pokojowej Nagrody Nobla. Wiceszef PEN Clubu Ralf Nestmeyer napisał w tej sprawie do burmistrza Trewiru Wolframa Leibego z SPD. Ten odpowiedział krótko: „Statua Karola Marksa zostanie odsłonięta w wyznaczonym terminie 5 maja".

Twarde stanowisko burmistrza nikogo specjalnie nie zdziwiło. Turyści z Chin od wielu lat pielgrzymują do domu urodzin Marksa i zostawiają w mieście nad Mozelą sporo gotówki. A akcja PEN Clubu wyglądała od początku jak demonstracja „last minute".

Pomnik jest dziełem hołubionego przez chińskie władze rzeźbiarza Wu Weishana, więc dla statui wybrano prestiżowe miejsce. Tuż przy Porta Nigra – rzymskiej bramie wjazdowej, symbolu miasta, i 50 m od dawnego klasztoru św. Symeona z Trewiru – przed Marksem najbardziej znanego obywatela miasta.

„Jest ironią dziejów, że przyszły autor »Kapitału« urodził się w mieście-rezydencji rzymskich cesarzy, a potem pobożnych biskupów-książąt Świętej Rzeszy niemieckiej – na dodatek jako syn zamożnych rodziców" – zauważa niemiecki pisarz Ludwig Harig.

eprasa.pl acf664e4b9

Dzisiaj sklepy z pamiątkami w Trewirze pękają w szwach od gadżetów z Marksem. W „Süddeutsche Zeitung" publicysta Rudolf Neumaier, który odwiedził miasto w rocznicowym rauszu, kpi ze skali tej marksomanii. „Piekarz z Trewiru oferuje okazyjne ciasteczkowe dewocjonalia, takie jak Marx-Knusper-Pastete (chrupkie ciastka-czekoladki) po 2,90 euro za sztukę, o 70 centów drożej niż Talar Cesarza Konstantyna. [...] Karol Marks polany lukrem? Kto mógł się tego spodziewać jeszcze parę dekad temu, gdy nad światem wisiała zimna wojna? Marks w roli znaku na światłach sygnalizacji i jako chrupkie, polukrowane ciasteczko? To także jest kapitalizm".

Gdy ponad trzy lata temu Chińczycy obdarowali miasto pomnikiem, początkowo ojcowie miasta byli zakłopotani. Jednak z czasem zwyciężył pogląd, że z urodzin Marksa należy zrobić wielki show, który może przynieść miastu zyski. Szybko zapomniano o moralnych skrupułach. Ponieważ Nadrenią-Palatynatem, na której terenie leży Trewir, od 27 lat rządzi SPD, tym łatwiej zapadła decyzja o zorganizowaniu ku czci Marksa wielkiej wystawy na szczeblu krajowym – Landesausstellung. Inny socjaldemokrata – obecny prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier – objął obchody swoim oficjalnym patronatem. SPD to dzieci rewolty 1968 r., która włączyła Marksa na nowo do swej mitologii. Fundacja tej partii prowadzi muzeum w domu, w którym urodził się filozof. A europejską pieczątkę marksowskim obchodom nadał sam szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker, który na urodzinowym capstrzyku powtórzył dogmat, że Marksa nie wolno obwiniać za zbrodnie komunizmu.

Jakby na urągowisko na miejsce uroczystości ku czci autora tezy, że „religia to opium dla ludu", wybrano bazylikę cesarza Konstantyna z IV w., dziś świątynię ewangelicką. Jednak katolicka diecezja Trewiru też włączyła się w obchody urodzin Marksa. Miejscowe muzeum diecezjalne jako „Kooperationspartner" zorganizowało wystawę „Praca godna życia" – cykl fotogramów o trudnych warunkach pracy ludzi na całym świecie. Na tym tle jak przybysze z innej planety jawili się kontrmanifestanci z organizacji ofiar komunizmu i partii AfD, którzy demonstrowali w dniu odsłonięcia pomnika. Dieter Dombrowski, lider związku ofiar komunistycznej tyranii, mówił: „Chcemy być głosem sprzeciwu wobec odsłaniania pomnika Marksa i jego gloryfikacji". Protest prezentowano w mediach jako ciekawostkę.

CZERWONY POKÓJ Z „KAPITAŁEM"

Landesmuseum w Trewirze to solidny duży budynek z epoki kajzerowskiej, rozbudowany jeszcze po wojnie. Dotąd muzeum znane było głównie z rzymskich mozaik odnajdowanych w mieście, którego historia liczy dwa tysiące lat. Teraz wystawie „Karol Marx – życie, dzieła, czasy" poświęcono aż 13 sporych sal. Z tej triady najwięcej jest o dziełach brodatego filozofa i czasach, w których żył. O samym Marksie niewiele. Pominięto jego żydowskie korzenie i wpływ decyzji ojca o konwersji spowodowanej chęcią robienia kariery w pruskiej adwokaturze – na niechęć Marksa do wszystkich religii, z jego nominalnym wyznaniem protestanckim na czele.

> **Nic nie wiadomo, by Marks odwiedził jakąkolwiek fabrykę.** Jego biografowie nie są w stanie wskazać na żadne jego spotkania z robotnikami

Autorzy wystawy skupiają się za to na pokazaniu pierwszej – drapieżnej i bezwzględnej – fazy kapitalizmu. Była ona niewątpliwie odpychająca, więc nietrudno było zebrać sporo materiału.

Wyzyskiwani tkacze śląscy, dzieci pracujące w fabrykach, wdowy po górnikach wpadające w nędzę, brak ubezpieczeń, wyrzucanie na bruk ofiar wypadków przy pracy. To wszystko miało prawo oburzać młodego Marksa. Jednak wystawa unika wyjaśnienia młodemu widzowi, że przynajmniej od lat 80. XIX w. powoli wprowadzano ubezpieczenia, ulepszano warunki pracy i pracodawcy zaczęli jednak dbać o pracowników. Kolejnych parę sal to opowieść o Marksie na tle rewolucji XIX w., losach emigrantów i ich nadziejach na europejskie zrywy.

Szerokim łukiem ominięto też niechęć Marksa do religii ze słynnym jego sloganem o opium dla ludu. I nie zadano pytania, jak ta niechęć miała się do praktyk duchownych w świecie robotników.

Kościoły zazwyczaj pomagały proletariatowi, rzadziej uczestniczyły w jego bezwzględnym wyzysku.

Ani słowa o słynnym eseju „O kwestii żydowskiej", w którym piętnował on kult zysku i pieniądza wśród Żydów. I to piętnował na tyle ostro, by ulotki z cytatami z tego dzieła rozrzucane niedawno na UW uznano za teksty oszalałych antysemitów.

Z pewnym sentymentem obejrzałem sale o Marksie, redaktorze „Neue Rheinische Post" walczącym z pruską cenzurą. Na ścianie umieszczono duży cytat filozofa: „Prawo o cenzurze nie jest prawem, tylko środkiem policyjnym. I jest to zły środek policyjny, bo nie osiąga tego, co zamierzono, a osiąga to, czego nie zamierzono". Obok inne zdanie z jednego z artykułów: „Prasa ma nie tylko prawo, lecz także obowiązek jak najdokładniej śledzić poczynania Panów przedstawicieli Ludu".

Wspomnienia, wspomnienia. Pamiętam, jak w czasie wielkiego strajku NZS na Politechnice Gdańskiej w grudniu 1981 r. takie cytaty z Marksa zdobiły protest. Studenci sprytnie używali myśli brodatego bożka komunistów do ataków na cenzurę PRL. A potem pomyślałem o Chinach, kraju, który czci autora „Kapitału" do dziś, a jednocześnie rozwija najnowocześniejsze techniki cenzurowania Internetu.

Specjalna sala poświęcona jest „Manifestowi komunistycznemu". Składa się z cytatów o potrzebie samoorganizacji

Sklepy z pamiątkami w Trewirze pełne są gadżetów przedstawiających Marksa jako sympatycznego brodatego staruszka FOT. PIOTR SEMKA

eprasa.pl acf664e4b9

robotników, ze słynnym hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" na czele. Wszystko to ilustrują dość dziecinne filmiki ze złym kapitalistą w cylindrze i robotnikach, którzy gromadzą się, aby złego właściciela wykopać z zakładu. Gdyby NRD istniała do dziś, tak pewnie wyglądałyby jej nowe marksistowskie ekspozycje. A potem sale – wizualne wykłady o poglądach Marksa na maksymalizację zysku w epoce wczesnego kapitalizmu i tyrady o obojętności burżuazji.

Kolejny gadżet: Karol Marks-kaczka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Kapitałowi" – najbardziej reprezentatywnemu dziełu Marksa – poświecono osobną część wystawy. Karminowo-czerwona sala mieści jak w średniowiecznym lektorium pięć stolików – każdy z przymocowanym do blatu egzemplarzem „Kapitału". Zazwyczaj przy dziele Marksa siadają na parę chwil turyści z Chin. Może uważają, że tak wypada, aby wyrazić swój szacunek dla brodatego mędrca z Europy?

W kolejnych salach czeka na nas jeszcze streszczenie wszystkich najważniejszych tez Marksa: o wartości dodanej, o alienacji pracy, o zasadzie kumulacji zysków. Nie towarzyszą im żadne komentarze oceniające trafność tych dogmatów – tak jakby to była prawda objawiona. Nikt z twórców wystawy nie ośmielił się zacytować poglądów krytyków marksizmu. Tych, którzy trafnie wskazywali, że idee Marksa powstawały pod wrażeniem pierwszej fazy kapitalizmu, ale ignorują tendencje do troski o robotnika, budowanie osiedli pracowniczych czy wreszcie odkrycie amerykańskiego kapitalizmu, że dobrze zarabiający robotnik to lepszy konsument niż nędzarz. Niczego podobnego z wystawy się nie dowiemy. Dzieła Marksa są komentowane z namaszczeniem, tak jakby wilczy kapitalizm z lat 30. czy 40. XIX w. trwał bez zmian aż do połowy XX w. Jednak dziś rości sobie na nowo status dzieł wyjaśniających świat.

„Mówiłem ci, że mam rację" – mówi Marks uwieczniony na znaczku alterglobalistów z początku naszego wieku.

Na koniec wystawy widza prosi się o odpowiedź na pytanie: „Kim dla ciebie jest Karol Marks?". Każdy może wziąć mazak i napisać odpowiedź.

Czytam kolejne kartki: „Nie był żadnym marksistą", „Marks ma dziś więcej racji niż kiedykolwiek", „Wizjoner", „Bojownik o sprawiedliwość", „Realista" i na koniec „My personal Jesus".

90 proc. pozytywnych ocen – autorzy wystawy mogą być zadowoleni z wpływu, jaki ekspozycja wywarła na gości. Tuż obok rzutnik wyświetla zdjęcia osób, które w opinii muzeum inspirowały się naukami filozofa. Kogóż tu nie ma? Lenin, Sartre, Naser, Willy Brandt, Pol Pot, Pablo Neruda, Bertolt Brecht, Trocki, Mao Tse-tung, Golda Meir, a na koniec zobaczyć można nawet zdjęcie Lecha Wałęsy.

Szef Solidarności marksistą? No chyba jako lider ostatniej robotniczej rewolty w Europie. Jednak czy to nie echo głębokiej wiary autorów ekspozycji, że jedynie marksizm miał i ma monopol na proletariackie wystąpienia?

Wystawę kończy duże popiersie Marksa (na niebieskim tle) i cytat z jednego z jego dzieł: „Przede wszystkim wątpić".

Marks wątpiący? Owszem – wątpił dopóty, dopóki trzeba było kwestionować wszystkie religijne i tradycyjne pewniki. Jednak w stosunku do swoich tez bywał ich dogmatykiem. Stawał się bardzo niemiły, gdy ktoś ośmielił się choćby w szczegółach w nie wątpić. Swoje dzieła traktował jak prawdy objawione. To dlatego karykaturowano go jako Mojżesza z „Kapitałem" wykutym na kamiennych tablicach zamiast Dekalogu. Z tego powodu atakował reformizm SPD i gardził Ferdynandem Lassallem, twórcą niemieckiego ruchu robotniczego. Niektóre cechy mogły się Polakom podobać. Gardził Rosjanami jako dzikusami. Bakunina wyzywał od najgorszych. Jednak tego z wystawy się nie dowiemy.

Miły, choć kłótliwy dziadzio, którego nie sposób łączyć z terrorem? Moglibyśmy tak sądzić, gdyby nie jego teksty, w których z zachwytem pisał o terrorze rewolucji francuskiej. A potem bynajmniej nie oburzały go mordy Komuny Paryskiej. Jego druh Fryderyk Engels usprawiedliwiał dla odmiany rewolucyjne ludobójstwo w Wandei.

W sklepiku muzealnym, już przed wyjściem, oglądam pięknie ilustrowany komiks o życiu twórcy „Kapitału", zapewne przeznaczony dla wycieczek szkolnych odwiedzających Landesmuseum. Na końcu komiksu mały chłopiec rozmawia z „duchem komunizmu" – ze zjawą ubraną w czerwone prześcieradło. Warto zacytować fragment:

Chłopiec: – Czego chciał Marks?

Duch: [...] Wszystko powinno należeć do całego ludu. Nie powinno być przepaści między bogatymi i ubogimi. Każdy pracuje według swoich umiejętności i dostaje w zamian to, czego potrzebuje.

Chłopiec: – To brzmi wspaniale. Dlaczego się nie udało?

Duch: – Jedna grupa zdobywała całość władzy dla siebie i ogłaszała jako cel budowę sprawiedliwego świata. Jednak w zamian powodowało to gigantyczne ofiary. Własność prywatna była odbierana poszczególnym ludziom i przekazywana na własność wspólnoty. Posiadanie czegoś dla siebie było uważane za złe. Każda próba budowy społeczeństwa, przy której powoływano się na Marksa jako postać symboliczną, ponosiła klęskę.

Chłopiec: – W sumie szkoda.

Duch: – Jednak nadzieja i gotowość pracy na rzecz sprawiedliwego świata należą do najwspanialszych celów wszystkich ludzi".

NIC SIĘ NIE STAŁO?

Ten styl myślenia o marksizmie zawarty w przeznaczonym dla uczniów komiksie jest odbiciem naczelnego przesłania wystawy – w XX w. wcielanie idei filozofa w życie się nie udało, ale nauki mistrza nadal są narzędziem do poznawania świata i kapitalizmu.

Jest oczywiste, że Marks to postać, której nie można pominąć w historii XIX w. Jako jeden z pierwszych zajął się relacjami między zjawiskiem zysku, akumulacji kapitału i relacji pracy do kosztów produkcji. Jednak prezentowanie marksizmu bez zdobycia się na refleksję nad zawartymi w tej ideologii złowieszczymi cechami, które ukształtowały czerwone totalitaryzmy, jest nieuczciwością intelektualną.

Problem ten jest wyjątkowo drastyczny w dzisiejszych Niemczech, w których zrozumiałemu wyczuleniu na nacjonalizm nie towarzyszy równie ostra analiza zła, które niesie marksizm. To oczywisty dowód na to, jak silnie wpłynęła na myślenie zbiorowe generacja lewicowej rewolty 1968 r. Problem ze zbrodniami reżimów marksistowskich rozwiązano

eprasa.pl acf664e4b9

równie łatwo, co bezczelnie. „Marks nie ma nic wspólnego ze zbrodniami komunistów. Jeśli coś jest złem, to stalinizm". To, że Stalin realizował idee Marksa, jest już prawdą zamiataną pod dywan.

W 2013 r. Niemcy wraz z Holandią przeforsowały wpisanie „Manifestu komunistycznego" i „Kapitału" na listę UNESCO międzynarodowego dziedzictwa dokumentów ludzkości. Dzisiaj te dzieła Marksa widnieją na liście np. obok 21 postulatów robotników Stoczni Gdańskiej z sierpnia 1980 r.

28 lat po końcu NRD w landach wschodnich nadal istnieje 550 ulic, placów i alei noszących imię filozofa z Trewiru. Politycy CDU, tacy jak Wolfgang Steiner czy Manfred Weber, podejmują co pewien czas kwestię usunięcia śladów po „komunistycznym pseudoświętym", jednak wygląda to jak rytuał ludzi przekonanych, że i tak nic z tego nie będzie.

Lewicy zawsze udaje się wybronić swego pupila, a lewicowa popkultura skutecznie oswaja młode pokolenie (niepamiętające już realnego komunizmu) z Marksem jako sympatycznym, brodatym dziadziusiem-mędrcem. Z okazji 200. rocznicy urodzin liberalny tygodnik „Die Zeit" wydał specjalny magazyn sławiący ideologa komunizmu, a stacja ZDF przygotowała film telewizyjny „Karol Marx – niemiecki prorok". „Frankfurter Allgemeine Zeitung" od początku roku publikowała serię omówień myśli filozofa pod hasłem: „Co mówił Karol Marks?".

Na tym tle nie dziwią już peany liderów partii niemieckiej lewicy.

Przewodnicząca SPD Andrea Nahles stwierdziła, że „Karol Marks jak nikt inny wycisnął piętno na niemieckiej socjaldemokracji". I dalej: „Dzisiaj SPD od dawna nie jest już naturalnie partią reprezentującą światopogląd marksistowski, ale w socjaldemokratycznym modelu pluralizmu jest w dalszym ciągu miejsce dla Marksa i jego poglądów".

Szef partii Zielonych Robert Habeck podkreśla z kolei, że poglądy Marksa jako filozofa w epoce globalizacji są „zaskakująco aktualne". Habeck głosi: „Postęp techniczny wpływa w decydujący sposób na samoświadomość społeczeństwa i jego wartości polityczne". Sahra Wagenknecht z partii Die Linke dodaje: „Kto uważa Marksa za twórcę totalitarnych reżimów i zwolennika niszczenia wszelkich przejawów pluralizmu i wolności słowa, ten najwyraźniej nie przeczytał wystarczająco uważnie jego prac".

Portret Marksa w gabinecie Stalina przypomina, czyimi wskazaniami kierował się największy zbrodniarz świata FOT. ARCHIWUM

Pomnik Marksa odsłonięty przez czołówkę partii bolszewickiej 7 listopada 1918 r. w Piotrogrodzie... FOT. MATERIAŁY PRASOWE

... i ten odsłonięty w Trewirze 5 maja 2018 r. różnią się od siebie jedynie kierunkiem odwrócenia głowy „czerwonego proroka" FOT. WOLFGANG RATTAY/REUTERS/FORUM

Tylko elitarni liberałowie-wolnościowcy, np. z Wilhelm-Röpke-Institut, tłumaczą jeszcze nad Renem istotę zła marksizmu. Po pierwsze – destrukcyjne przekonanie, że za nędzę ubogich muszą odpowiadać bogatsi. Po drugie – marksizm racjonalizuje i legitymizuje ludzką zawiść oraz pokusę zaboru czyjejś własności. Po trzecie – nauki Marksa stymulują aż do poziomu zbrodni nienawiść klasową w taki sam sposób, jak czyniła to nienawiść rasowa. Po czwarte – marksizm legitymizuje założenie, że uświadomiona mniejszość ma prawo do stosowania przemocy i negowania demokracji, jeśli uzna, że reprezentuje duch dziejów. I wreszcie założenie, że religia to opium, zachęca do planów likwidacji wiary za pomocą siły państwa.

Brak też w niemieckiej debacie szerszej krytycznej refleksji nad samą postacią Marksa. Człowieka, który tworzył swe tezy, nigdy w życiu nie będąc w żadnej fabryce. Ideologa nienawiści, który wzywał, by bogaczom odbierać ich majątek, ale sam przywykł do życia na wysokiej stopie, co było możliwe dzięki dotacjom syna fabrykanta Fryderyka Engelsa. Na tyle dobrej, by w drugiej połowie życia wyjeżdżać na wypoczynek np. do Algieru.

Myśliciela, który wzywał do emancypacji niższych klas, ale we własnym londyńskim domu uwiódł służącą, w wyniku czego urodziło się nieślubne dziecko Marksa. Wystawę w Trewirze wyczyszczono też z krytyki rzetelności jego badań ekonomicznych. Argumentów, że dla demonizacji burżuazji korzysta z danych statystycznych z prac komisji rządowych badających nadużycia w pracy robotników, ignorując powolne wcielanie w życie ulepszeń w życiu klasy robotniczej. I wreszcie ignorowanie przez Marksa wpływu ducha chrześcijańskiego miłosierdzia na polepszanie relacji pracodawcy – pracobiorcy i wpływ rozwoju techniki na lepsze warunki pracy.

Ronald Reagan w latach 80. wskazywał: „To nie Karol Marks uwolnił dzieci i kobiety z szybów węglowych Anglii. Uczyniły to silnik parowy i nowoczesna technika".

Takich zdań w Trewirze nikt w jubileuszowym roku nie cytuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Karol Marks – 1818–1883. Życie, dzieło, czasy" w Trewirze potrwa do 21 października. Szczegóły na: www.karl-marx-ausstellung.de.

eprasa.pl acf664e4b9

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koniunktura dla Polski

Dlaczego w roku 1918, po 123 latach niewoli, odrodziła się niepodległa Polska? Odpowiedź, którą na to pytanie dają nasi niepoprawni romantycy, jest dobrze znana. Polska odrodziła się dzięki bohaterstwu Polaków. Dzięki ich niestrudzonej walce o wolność, męstwu i gotowości do poświęceń.

– Panowie, zejdźcie na ziemię – zdaje się mówić Tadeusz A. Kisielewski. W swojej nowej książce „Piłsudski, Dmowski i niepodległość" udowadnia, że główne przyczyny restauracji Rzeczypospolitej miały niewiele wspólnego z działalnością Polaków.

„Polska odzyskała niepodległość – pisze Kisielewski – gdy załamały się wszystkie państwa zaborcze. Pierwotną tego przyczyną była Wielka Wojna i ona też była bezpośrednim powodem klęski Niemiec. Natomiast bezpośrednią i decydującą przyczyną rozpadu Austro-Węgier były ruchy narodowo-wyzwoleńcze, w Rosji zaś ważny czynnik stanowiły rewolucja lutowa i listopadowy przewrót bolszewicki. Dotychczasowy aparat przemocy w tych państwach albo został zniesiony, albo musiał się skupić na represjonowaniu rodzimej ludności i nie miał już czasu ani sił interweniować na ziemiach polskich. Zapobiegła też temu zdecydowana postawa państw zachodnich, zwłaszcza Francji".

Nie oznacza to, że od Polaków nic nie zależało. Tytułowi bohaterowie książki (Dmowski i Piłsudski) oraz inni ówcześni przywódcy wykorzystali znakomitą koniunkturę, która wytworzyła się dla Polski w roku 1918. Oczywiście można się spierać o to, czy wykorzystali ją w pełni. Zdaniem piszącego te słowa – nie. Zdaniem Tadeusza A. Kisielewskiego – tak. Nie miejsce tu jednak na kontynuowanie debaty o traktacie ryskim i koncepcji federacyjnej.

Książka Kisielewskiego to fachowa, a jednocześnie ciekawa analiza. Autor w wyczerpujący sposób przedstawia proces kształtowania granic i budowy II RP. Kreśli sylwetki czołowych figur epoki i ukazuje meandry wielkiej europejskiej polityki, której przedmiotem była Polska. Dużo tu twardych faktów, a mało emocji i frazesów. Tak właśnie powinno się pisać. ©℗

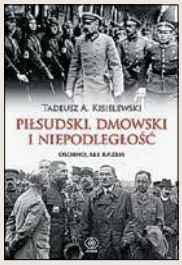

★★★★★★

TADEUSZ A. KISIELEWSKI
„PIŁSUDSKI, DMOWSKI I NIEPODLEGŁOŚĆ"
REBIS 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Rozpacz króla

To jedna z najgorszych dat w życiu ostatniego z Jagiellonów – 24 czerwca 1551 r. Tego dnia w Wilnie odbył się pogrzeb jego żony Barbary – jedynej kobiety, którą naprawdę kochał. Kobiety, dla której stoczył walkę z niemal całym krajem i dla której gotów był zrezygnować z korony. A gdy wreszcie odniósł zwycięstwo i ukoronował ukochaną w katedrze wawelskiej, niebawem los odebrał mu ją na zawsze.

Zygmunt i Barbara znali się od dzieciństwa

Zygmunt i Barbara Radziwiłłówna znali się od dzieciństwa (byli rówieśnikami), ale wielkie uczucie nadeszło dopiero w 1543 r. Barbara była wówczas wdową po wojewodzie trockim Stefanie Gasztołdzie, Zygmunt był żonaty z Elżbietą Austriaczką. Młody król (został ukoronowany w wieku 10 lat, jeszcze za życia ojca) szczerze nie znosił żony, być może wpływ miał na to fakt, że partnerka cierpiała na epilepsję.

Romans z Barbarą zaczął się od fascynacji erotycznej, niebawem jednak przekształcił się w gorącą miłość. W efekcie, gdy Elżbieta zmarła w czerwcu 1545 r., młody Jagiellon zaczął rozważać poślubienie kochanki, co ostatecznie uczynił potajemnie dwa lata później.

Burza, która rozpętała się po ujawnieniu tego związku, nie miała swojego odpowiednika w dziejach Polski. Barbara uchodziła bowiem za osobę dość swobodnych obyczajów, a jej koronacja oznaczałaby ogromne wywyższenie Radziwiłłów. Zdecydowanie przeciwni temu związkowi byli także rodzice młodego władcy, którzy uważali małżeństwo syna za polityczne szaleństwo. Jednak Zygmunt Stary niebawem zmarł, a na opinię Bony młody król przestał zwracać uwagę.

Sejm w Piotrkowie w 1548 r., okazał się polem walki władcy o własne szczęście i honor ukochanej. Pomimo ataków senatorów żądających unieważnienia małżeństwa król postawił na swoim i dwa lata później Barbara została koronowana. Niestety, była już wtedy poważnie chora i pół roku później zmarła.

Król postanowił, że nie pochowa żony na Wawelu, pamiętając, że Barbara nigdy nie lubiła Krakowa. Osobiście poprowadził korowód pogrzebowy do Wilna. Przed każdą miejscowością król schodził z konia i szedł pieszo z odkrytą głową obok szczątków małżonki. Pożegnał ją ostatecznie 24 czerwca 1551 r.

Zygmunt August nigdy nie zdjął żałoby po Barbarze. Wprawdzie ożenił się jeszcze raz (ponownie z Habsburżanką i znów nieszczęśliwie) i otaczał się dziesiątkami nałożnic, jednak Radziwiłłówna pozostała jedyną miłością jego życia. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

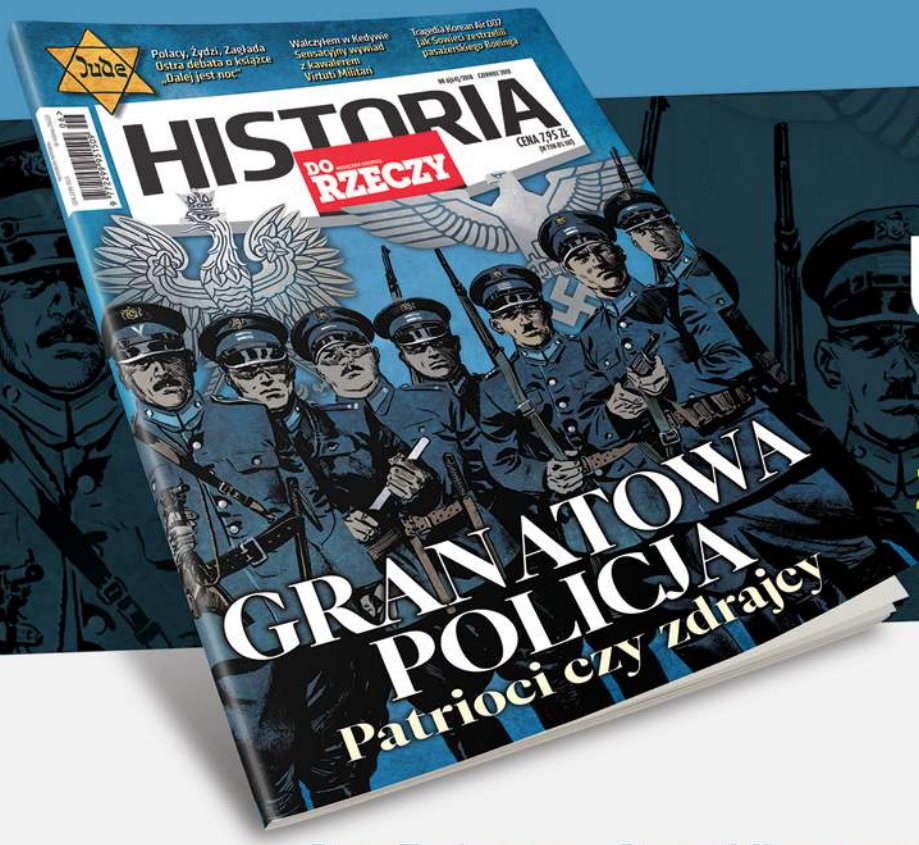

TYLKO U NAS!

SENSACYJNY WYWIAD Z ŻOŁNIERZEM KEDYWU AK

Piotr Zychowicz – **Dwa oblicza granatowych**
Dariusz Libionka kontra Janina Hera – **Spór o książkę „Dalej jest noc"**
Tomasz Stańczyk – **Zabójstwo pułkownika Reszczyńskiego**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Błędy Śmigłego-Rydza**
Mikołaj Iwanow – **Ostatni wyklęty z Czeczenii**
Sławomir Cenckiewicz – **Tajne akta WRON**
Adrian Goldsworthy – **Jak Rzymianie podbili świat**
Sławomir Koper – **Trzy trupy na Pańskiej 11**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl acf664e4b9

Teresa Stylińska

Wybory ostatniej szansy

Podwójne wybory – prezydenckie i parlamentarne – które odbędą się w Turcji 24 czerwca, przesądzą, czy Turcja nie będzie już tylko zmierzać ku dyktaturze, lecz po prostu się nią stanie

Po 24 czerwca będzie również jasne, gdzie znajdzie Turcja swe miejsce w świecie. Czy najważniejsze staną się więzy ze światem islamu, czy też wzorem i punktem odniesienia pozostanie dla Turcji, tak jak dawniej, Europa i świat Zachodu? Okaże się, czy coraz bardziej agresywny „erdoganizm" na dobre wyparł „kemalizm", czy może jednak w tysiącletniej historii państwa tureckiego będzie on tylko efemerydą.

Dlaczego te podwójne wybory są tak ważne? Dopiero po nich mają wejść w życie zmiany konstytucyjne, zaakceptowane przez społeczeństwo rok temu w referendum. Jeżeli wygra obecny prezydent Recep Tayyip Erdoğan, to Turcja przejdzie na system prezydencki, w którym szef państwa ma tak ogromną władzę, że staje się właściwie jedynowładcą. Co innego, jeżeli Erdoğan przegra. Jego główni rywale – Meral Akşener z Dobrej Partii i Muharrem İnce z Republikańskiej Partii Ludowej (CHP) są przeciwnikami i zmiany ustroju, i samego Erdoğana. Oboje zgodnie deklarują, że zablokują wejście w życie nowych zasad, przywrócą rządy prawa i naprawią stosunki Turcji z Europą.

WILCZYCA

61-letnia Meral Akşener, choć obecna w polityce od ćwierć wieku i bardzo na tym polu doświadczona, na wielką scenę wkroczyła rok temu. Zrobiła to w sposób, który sprawił, że dziś powszechnie uchodzi za najgroźniejszą rywalkę Erdoğana. On sam z pewnością doskonale zdaje sobie z tego sprawę. To m.in. dlatego postanowił przyspieszyć wybory, które pierwotnie miały się odbyć dopiero w listopadzie 2019 r. (drugi ważny powód to pogarszanie się stanu gospodarki). Skoro Meral Akşener, jak mówią niektóre sondaże, ma szansę uzyskać tyle głosów co on, to kto wie, jak mocną pozycję zapewniłaby sobie za półtora roku? Mogłaby być wówczas trudna do pokonania.

Nie przypadkiem zwolennicy Meral nazywają ją pochlebnie „Aseną", nawiązując do imienia wilczycy z gór Azji Środkowej, która według starotureckich legend dała początek plemionom tureckim. Meral wykazuje bowiem talent, odwagę i determinację. Dała im wyraz wiosną ubiegłego roku, gdy rzuciła wyzwanie zarówno Erdoğanowi, jak i kierownictwu nacjonalistycznej Partii Ruchu Narodowego (MHP), do której należała. Gdy przed wspomnianym referendum MHP wykonała woltę i niespodziewanie poparła Erdoğana, Meral zaprotestowała. W efekcie musiała pożegnać się z członkostwem w partii. Pół roku później założyła nowe ugrupowanie – İyi Party (Dobrą Partię).

Meral nie oszczędza Erdoğana ani jego ugrupowania – islamskiej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Na wiecach i spotkaniach przedwyborczych przypomina ciążące na prezydencie, jego rodzinie i bliskich współpracownikach zarzuty natury korupcyjnej, wytyka też Erdoğanowi błędy w polityce zagranicznej, choćby w sprawie Syrii – bo niegdyś bardzo mocno popierał on Baszara al-Asada. Meral robi to w sposób barwny i wyrazisty, dobrze przyjmowany przez uczestników spotkań. „Ludzie Erdoğana poranili sobie ręce, licząc miliony euro, którymi się wzbogacili" – przemawiała do tłumu swych zwolenników na wiecu w czarnomorskim mieście Giresun.

Pani Akşener liczy na to, że zdoła odebrać swej dawnej partii większość jej stałych wyborców. Nie są to nadzieje bezpodstawne. Ocenia się, że nawet 80 proc. tych, którzy zawsze popierali MHP, mogło przerzucić sympatie na partię Meral. MHP, przez niezrozumiałe dla ogółu poparcie dla oddania Erdoganowi pełni władzy (wcześniej była za świeckością państwa), straciła po prostu wiarygodność. W tej sytuacji Meral, w charakterze jedynej sprawiedliwej, pozostała na placu boju i nie bez szansy na sukces. Ma bowiem, jak ocenia wysłannik niemieckiego dziennika „Die Welt", wszystko, czego trzeba, by wygrać: jest konserwatystką i nacjonalistką, osobą

eprasa.pl acf664e4b9

religijną i nieskorumpowaną. Dodajmy, że Meral chętnie zwraca się do kobiet, zaznaczając, iż w polityce jest dla nich miejsce. Podczas gdy Erdoğan najchętniej nakazałby kobietom okrycie głów, poddanie się woli mężczyzn i zamknięcie się w domu – to też ma pewną wymowę.

SEKULARYSTA

Ten zespół cech sprawia, że Meral Akşener jest atrakcyjna dla różnych wyborców: od nacjonalistów i konserwatystów do tych muzułmanów, którzy mają dosyć rządów Erdoğana. Tylko na poparcie Kurdów liczyć raczej nie może. Nazwisko Meral kojarzy się z nasileniem represji, bo w połowie lat 90., gdy wojna w prowincjach kurdyjskich przybrała na sile, była ona ministrem spraw wewnętrznych. Chociaż oczywiście decyzje spoczywały nie tylko w jej rękach.

Meral Akşener z Dobrej Partii (na plakacie z lewej) uchodzi za najgroźniejszą rywalkę Erdoğana (na plakacie z prawej)
FOT. ADEM ALTAN/AFP/EAST NEWS

Ostra rywalizacja z przedstawicielką prawicy to dla Erdoğana coś nowego. Nigdy jeszcze poważne wyzwanie nie nadeszło z tej strony. Trzon opozycji to centrolewica – partia CHP, założona przez Mustafę Kemala Atatürka i dominująca na scenie politycznej Turcji do wojskowego zamachu stanu z 1980 r., a i później nie bez znaczenia. Od 2002 r., czyli od chwili, gdy rządy objęli islamiści, CHP jest jednak niezmiennie w defensywie. Ani razu nie wygrała wyborów, a akcje protestacyjne, w których brała udział, to raczej przypomnienie, że istnieje, niż punkt wyjścia do zmian. Na domiar złego wielu prominentnych kemalistów władze postawiły przed sądem i skazały pod sfingowanymi zarzutami spiskowania przeciwko AKP. To bardzo osłabiło partię. Chociaż nadal ma ona rzeszę wiernych zwolenników, którzy na pewno za Erdoğanem nie pójdą.

Problemem CHP jest niewątpliwie brak lidera z krwi i kości. Kemal Kilicdaroğlu jest aktywny, ale nie ma charyzmy i umiejętności pociągnięcia ludzi za sobą. Wśród tureckich obserwatorów panuje opinia, że tym, kto mógłby wyprowadzić partię Atatürka ze ślepego zaułka, może się okazać 54-letni Muharrem İnce, deputowany CHP i jej kandydat na prezydenta. İnce jest sekularystą i wielkim przeciwnikiem Erdoğana, który – jak stwierdził w czasie kampanii – „chciał nas prowadzić do Niemiec, a zawiódł na wahabicką pustynię". İnce zapowiedział, że jeśli wygra, to wystawi na sprzedaż osławiony Biały Pałac – gigantyczną siedzibę prezydenta wybudowaną na polecenie Erdoğana.

İnce liczy na głosy części Kurdów. Obiecuje rozwiązanie problemu kurdyjskiego – nie za kulisami, lecz w drodze jawnych rozmów prowadzonych na oczach szerokiej publiczności. A muzułmanów nie chce przynajmniej do siebie zniechęcać. Dlatego co piątek chadza do meczetu na modlitwę.

DYKTATOR

Recepa Erdoğana przedstawiać nie trzeba. Niewielu jest polityków, którzy budzą równie wielkie emocje – nie tylko w kraju, lecz także na świecie. Nieposkromiona żądza władzy, bezwzględność, lekceważenie demokracji, megalomania i alergia na krytykę... Erdoğan, gorliwy muzułmanin, forsuje przy tym dla islamu miejsce w życiu publicznym, wbrew zasadom, na których oparł Turcję Atatürk.

Rzecz w tym, że Erdoğan chciałby wyrugować Atatürka nie tylko z ustroju państwa, lecz także z duszy Turków. Kiedyś działał w tym kierunku po cichu, teraz już całkiem otwarcie. Atatürk też miał pełnię władzy, ale korzystał z niej dla dobra państwa, któremu nadał nowy, współczesny kształt. Czy tym kieruje się Erdoğan, raczej można wątpić. Pomysł przestawienia Turcji na system, w którym cała władza skupiona jest w rękach szefa państwa, jest skrojony pod jego osobiste ambicje. W systemie prezydenckim, w którym zniknie urząd premiera, a parlament straci znaczenie, Erdoğan będzie mógł rządzić za pomocą dekretów, rozwiązywać parlament, kiedy zechce, mianować i odwoływać ministrów oraz sędziów wedle uznania. Pod warunkiem że on sam i jego partia wygrają.

A czy stanie się to uczciwie i z poszanowaniem zasad? Zarówno przebieg referendum, jak i obecna kampania, prowadzona przy tym w warunkach stale przedłużanego stanu wyjątkowego, budzą ogromne wątpliwości. Ograniczanie opozycji możliwości prowadzenia agitacji, kontrola nad mediami, zgoda na posługiwanie się nieostemplowanymi kartkami wyborczymi, wreszcie zmiana ordynacji w wyborach parlamentarnych, tak by partie mogły łączyć się w koalicje i dzięki temu przekroczyć wysoki, 10-procentowy próg wyborczy – to wszystko pachnie czystą manipulacją.

Chociaż nie wszystko idzie tak, jak pragnąłby prezydent. Ordynację zmieniono, by MHP, wskutek rozłamu bez szans na pokonanie progu, mogła startować wraz z AKP i zwiększyć w ten sposób szanse islamistów na zdobycie większości mandatów. Tymczasem opozycja uderzyła w Erdoğana jego własną bronią, zawiązując blok wyborczy złożony z CHP i trzech mniejszych partii. Dzięki temu małe ugrupowania też znajdą się w parlamencie. W dodatku gospodarka słabnie, a sukcesy na tym polu zawsze były dla Erdoğana powodem do dumy i jednym z koronnych argumentów, że musi nadal rządzić.

Jak skończy się ta walka? Jeden z analityków ze Stambułu ujął to tak: „Partia islamska wolałaby zwyciężyć uczciwie, ale jeżeli się nie da, to no cóż... Erdoğan przecież nie może przegrać".

Chyba że prezydenta, jak to bywa, poratuje opozycja. Tylko Meral Akşener ma szansę pokonać go w drugiej turze. Jednak czy do niej wejdzie? Wobec rozproszenia głosów w pierwszej turze Muharrem İnce może zepchnąć Meral na trzecie miejsce. Sam z Erdoğanem raczej nie ma szans. I to jest prawdziwy problem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

Miecz w serce Merkel

Cezary Gmyz z Berlina

Podjęta w 2015 r. decyzja o otwarciu granic dla uchodźców może Angelę Merkel drogo kosztować. Na przykład utratę kanclerstwa

Kanclerz Niemiec ma dwa problemy. Pierwszy to pozew przeciw niej wniesiony do Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe. Drugi – wniosek o powołanie komisji śledczej Bundestagu, która miałaby zbadać okoliczności podjęcia decyzji o otwarciu niemieckich granic na odcinku z Austrią w 2015 r.

Pierwszy cios w Merkel w związku z prawną oceną jej decyzji został wyprowadzony z jej własnych szeregów w styczniu 2016 r. Wtedy to siostrzana partia CDU, czyli bawarska CSU, poprosiła byłego sędziego Trybunału Konstytucyjnego Udo Di Fabio o sporządzenie analizy. Ten znany niemiecki konstytucjonalista sam pochodzi z rodziny, jak to się w Niemczech określa, z tłem imigracyjnym. Jego przodkowie pochodzą z Włoch. Ocena Di Fabio była druzgocąca: „Federacja z konstytucyjno-prawnych powodów jest zobowiązana do ponownego skutecznego wdrożenia ochrony granic Republiki Federalnej, jeśli wspólne bezpieczeństwo granic europejskich oraz system imigracyjny ulegnie zniszczeniu. Ustawa zasadnicza nie gwarantuje ochrony wszystkich na świecie poprzez faktyczne lub prawne zezwolenie na ich wjazd. Takie niegraniczone prawo nie obowiązuje ani na gruncie prawa europejskiego, ani narodowego" – napisał w swej analizie.

Rękawicę rzuconą Merkel przechwyciła postkomunistyczna partia Die Linke, kierując zapytanie w tej sprawie do Służby Naukowej Bundestagu. To odpowiednik naszego Biura Analiz Sejmowych. Odpowiedź była wyważona, ale wniosek dla Merkel druzgocący: „Nie są znane podstawy prawne, według których podjęto decyzję o otwarciu granic". Prawnicy Bundestagu wskazywali na to, że przy podjęciu decyzji o takich skutkach powinien wyrazić opinię, jeśli nie zgodę, Bundestag.

BEZ DOKUMENTÓW

Wydarzenia z września 2015 r. odtworzono bez dokumentów – jak bowiem przyznał urząd kanclerski, nie sporządzono w tej sprawie żadnych materiałów. Innymi słowy – decyzja o otwarciu granic dla imigrantów została podjęta, kolokwialnie rzecz ujmując, „na gębę". Okoliczności jej podjęcia ustalili reporterzy śledczy. Szczególne zasługi położył tutaj dziennikarz „Die Welt" Robin Alexander, który w książce wydanej również po polsku odtworzył okoliczności otwarcia granic.

Przypomnijmy – w sierpniu 2015 r. światowe media obiegły zdjęcia przedstawiające nową wersję wędrówki ludów tzw. szlakiem bałkańskim. Dziesiątki tysięcy ludzi koczujących na budapeszteńskim dworcu Keleti w nadziei na podróż przez Austrię do Niemiec, rozkładające się trupy poduszonych imigrantów w przemytniczej ciężarówce, wreszcie zdjęcie wyrzuconych zwłok dziecka na brzegu Morza Śródziemnego, setki tysięcy ludzi idących autostradami i polnymi drogami w kierunku Niemiec.

31 sierpnia kanclerz Angela Merkel wygłosiła najsłynniejsze chyba słowa w całej swojej karierze: „Wir schaffen das" („Damy radę"). Pięć dni później w bardzo wąskim gronie zapadła decyzja o wpuszczeniu na teren Niemiec uchodźców koczujących na granicy austriacko-niemieckiej. Tych, których nie chcieli ani Węgrzy, ani Austriacy.

Decyzja, by ich nie zatrzymywać, nie miała żadnych podstaw prawnych. Niemcy zostali zalani falą miliona niekontrolowanych przybyszów. – Musiałem się w tych dniach oduczyć wszystkiego, czego nauczyłem się przez całe zawodowe życie. Mijały mnie dziesiątki przez nikogo niekontrolowanych ludzi, a my patrzyliśmy na to bezsilnie – wspominał te dni w rozmowie ze mną niemiecki policjant (straż graniczną wcielono do policji, kiedy granice Niemiec przestały być granicami Unii).

Tydzień później Merkel i szef MSW Thomas de Maizière już wiedzieli, że skala problemu przerosła wszelkie oczekiwania. Do Bawarii ściągano autobusami, a nawet helikopterami setki policjantów, którzy mieli zatrzymać wędrówkę ludów. Po raz kolejny jednak zabrakło odwagi i nie podjęto decyzji o zamknięciu granicy.

Formalnie wciąż obowiązywały przepisy zakazujące przekraczania granicy osobom, które nie miały do tego prawa. W praktyce jednak każdy, kto krzyknął: „Azyl", był wpuszczany bez sprawdzania dokumentów.

Zwykli Niemcy byli wściekli. A państwo niemieckie, jak to często bywało w historii, postanowiło się podzielić z innymi Europejczykami problemem, który samo stworzyło. I to z całą brutalnością, na jaką było je stać. Niestety, kluczową rolę ode-

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. POOL/GETTY IMAGES

grała tutaj Polska, a konkretnie – ówczesna szefowa MSW Teresa Piotrowska, o której premier Ewa Kopacz mówiła: „Znam ją, potrafi rządzić twardą ręką". Była katechetka z PO w starciu z brutalną polityką Niemiec okazała się kompletnie bezradna.

Czy można zmusić jakieś państwo wbrew jego woli do tego, aby wprowadzało we własne społeczeństwo ludzi z innego regionu świata, innej kultury i religii? Ta kwestia wyjaśnia się 22 września na kolejnym posiedzeniu ministrów spraw wewnętrznych UE. Poprzedniego dnia Merkel rzuca jeszcze świecę dymną: „Decyzje UE podejmowane konsensualnie są dla Niemiec dużą wartością" – mówi w Berlinie z dobroduszną miną. W Brukseli wszakże de Maizière napiera i stara się zmiażdżyć krytyków większością. Tę większość trzeba zdobyć.

Do tego służy procedura „konfesjonału". Oznacza to, że każdy uczestnik posiedzenia musi się stawić sam u przewodniczącego, który poddaje go obróbce. Presja rośnie w ten sposób z godziny na godzinę. W końcu poddaje się polska minister Teresa Piotrowska, która studiowała teologię i jest na urzędzie od kilku tygodni. Akceptuje podział uchodźców. Wyrwanie Polski ze wschodnioeuropejskiego bloku sprzeciwu jest decydujące. Merkel ma bowiem tylko jedną, jedyną szansę na odpalenie bomby. Z powodu pewnej szczegółowej reguły wplecionej w skomplikowane traktaty europejskie do „opcji nuklearnej" trzeba nawet „potrójnej większości": 50 proc. państw, 62 proc. ludności i dodatkowo 74 proc. ważnych głosów w Radzie Ministrów Unii. Ponieważ w decydującym głosowaniu o relokacji uchodźców na „nie" głosują nie tylko Węgry, Czechy, Słowacja i Rumunia, lecz także na dobitkę wstrzymuje się Finlandia, przy polskim sprzeciwie mniejszość blokująca byłaby możliwa albo nawet prawdopodobna.

Innymi słowy, to niestety Polska wówczas zdradziła interesy Grupy Wyszehradzkiej. A przecież Kopacz i Piotrowska były wówczas tylko marionetkami Donalda Tuska, który z niemieckich rąk otrzymał, a następnie utrzymał stanowisko szefa Rady Europejskiej.

WINNA JEST ANGELA

Rzeczywistym sprawcą tego, co się stało z imigrantami, była jednak Angela Merkel. Niemiecka opozycja o tym nie zapomina. I ma instrumenty, które dla kanclerz mogą być zabójcze.

Instytucja komisji śledczej w Bundestagu nie bez przyczyny określana jest jako najostrzejszy miecz opozycji. Aby utworzyć taką komisję, nie jest potrzebne posiadanie większości w Bundestagu. Wystarczy do tego tzw. mniejszość kwalifikowana, czyli zaledwie jedna czwarta głosów. Opozycja w Bundestagu tyle głosów ma.

Dwóm frakcjom, czyli AfD i FDP, które chciały zbadania tej sprawy, brakuje jednak paru głosów. Na Zielonych, którzy w kwestii polityki emigracyjnej są jeszcze „bardziej" niż CDU/CSU i SPD tworzące wielką koalicję, raczej liczyć nie można. Otwartą kwestią pozostaje stanowisko Die Linke. Z jednej strony to właśnie oni zainicjowali badanie tej sprawy. Z drugiej jednak postkomuniści za swojego najgorszego wroga uważają AfD. Paradoksalnie z tego powodu, że walczą na wschodzie Niemiec o ten sam elektorat. A tzw. ossis niezależnie, czy popierający AfD, czy Die Linke, łagodnie rzecz ujmując, nie są zwolennikami polityki imigracyjnej Angeli Merkel. Wschodni Niemcy, jeśli chodzi o imigrantów, używają idiomu „Schnauze voll" (dosłownie: „pełny pysk"), czyli mają ich po dziurki w nosie. Ten czynnik może zadecydować o tym, że AfD dostanie wsparcie ze strony, która uważa ją za najgorszego wroga.

Jakie szanse ma wniosek złożony do Trybunału Konstytucyjnego, trudno ocenić. W Niemczech nie ma konstytucjonalisty, który na gruncie ustawy zasadniczej broniłby decyzji Merkel. To jednak nie oznacza, że kanclerz jest bez szans. Niezależnie od niemieckich zaklęć o niezawisłości wymiaru sprawiedliwości z rzeczywistością ma to niewiele wspólnego. Osiem lat rządów wielkiej koalicji (a przypomnijmy, że Merkel tworzyła jeszcze jednak gabinet bez socjalistów) sprawia, że skład sędziów Trybunału w Karlsruhe to w znakomitej części nominaci CDU/CSU i SPD. Już teraz pojawiają się pytania, czy wniosek AfD jest dopuszczalny. Wszak w ubiegłej kadencji, kiedy poodejmowano decyzje, nie zasiadała w Bundestagu.

Tak czy inaczej – obserwując w najbliższym czasie niemiecką scenę polityczną i prawniczą, nie będzie można się nudzić. Zwłaszcza jeśli Bundestag sięgnie po najostrzejszy miecz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest korespondentem TVP w Berlinie.

eprasa.pl acf664e4b9

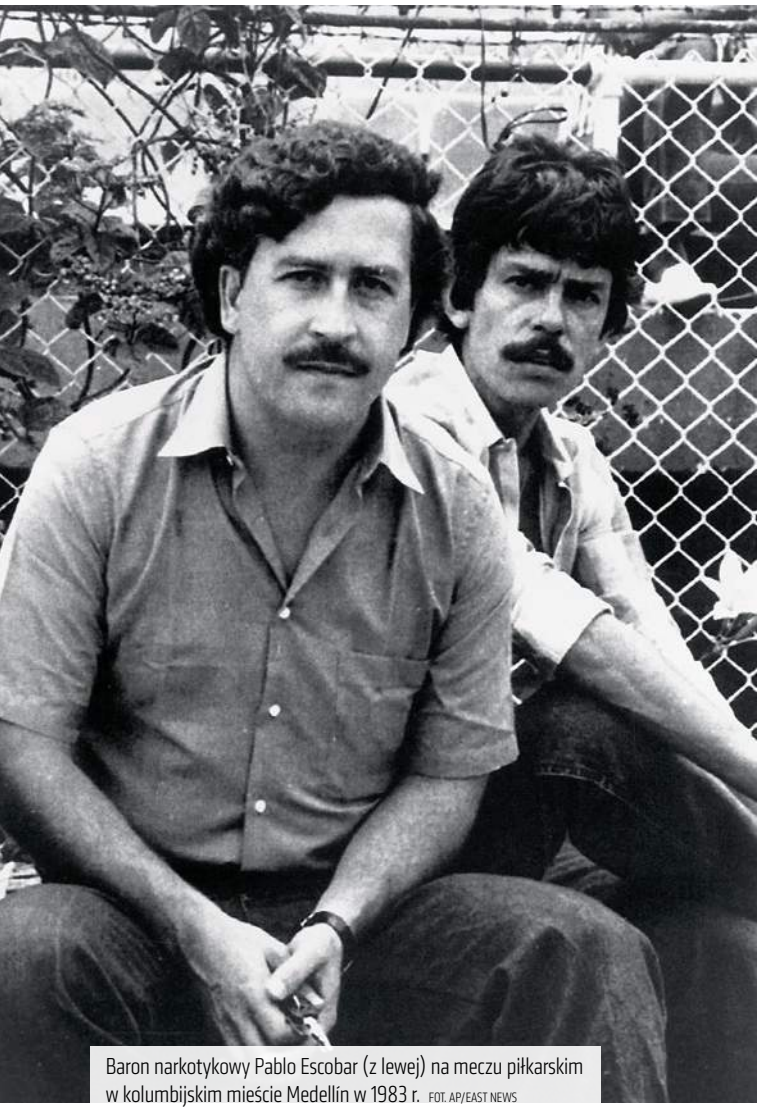

Baron narkotykowy Pablo Escobar (z lewej) na meczu piłkarskim w kolumbijskim mieście Medellín w 1983 r. FOT. AP/EAST NEWS

Narcos to nie współczesna Kolumbia

Z Marthą Soto, dziennikarką i szefową działu śledczego kolumbijskiego dziennika „El Tiempo”

rozmawia Agnieszka Niewińska

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Kolumbia od dekad walczy z handlem narkotykami. Od lat 70. w walkę zaangażowane są Stany Zjednoczone. Tymczasem upraw koki przybywa. Tylko w 2016 r. aż o 52 proc. Liście koki rosną już na 150 tys. ha. Dlaczego Kolumbia w dalszym ciągu jest kokainowym liderem, mimo wydanych na walkę z handlem narkotykami wielu milionów dolarów?

MARTHA SOTO: Kosztowało nas to nie tylko wiele milionów dolarów, lecz także wiele istnień ludzkich. Wielu policjantów, sędziów i dziennikarzy walczących z narkobiznesem zostało zamordowanych – nie można o tym zapominać. Jestem jednak zdania, że wojny z handlarzami narkotyków nie da się wygrać, bo jeśli na narkotyki jest popyt, to jest także podaż. W Europie, w Stanach Zjednoczonych zapotrzebowanie na narkotyki jest bardzo duże. Kolumbia w ostatnich latach bardzo dobrze radziła sobie z handlem narkotykami, udało się w dużym stopniu zredukować liczbę hektarów obsadzonych koką, ale w ostatnich czterech latach tych upraw niestety przybyło – z dwóch powodów. Jednym z nich jest wstrzymanie opryskiwania obsadzonych koką pól glifosatem.

Z powodów ekologicznych?

Pojawiły się badania, zarówno międzynarodowe, jak i przygotowywane w Kolumbii, potwierdzające, że glifosat jest szkodliwy dla zdrowia. Kolumbia – wbrew naleganiom Stanów Zjednoczonych – zdecydowała o wstrzymaniu oprysków, mimo że była to najbardziej efektywna metoda niszczenia upraw koki.

A drugi powód, dla którego upraw przybywa?

To konsekwencja procesu pokojowego z partyzantką FARC – zarazem jednego z wielkich karteli narkotykowych. W traktacie pokojowym FARC zażądał, żeby uprawy koki były niszczone ręcznie, a nie za pomocą oprysków. Te dwa czynniki spowodowały, że według Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych mamy dziś w Kolumbii 150 tys. ha upraw koki.

Część z nich jest legalna, tak jak w Boliwii, gdzie tradycją jest żucie koki?

Nie, koka jest całkowicie zakazana w Kolumbii. U nas nie ma kultury jej żucia.

Mimo że Kolumbia utrzymuje pozycję kokainowego lidera, to coś się jednak zmieniło w porównaniu z latami 80. i 90. Nie ma już potężnych karteli, takich jak kartele z Medellín, z Cali czy Norte del Valle.

Udało sie wyeliminować wielkie kartele. Cali czy Medellín Pabla Escobara całkowicie zniknęły dzięki wysiłkowi kolumbijskiego społeczeństwa i pomocy Stanów Zjednoczonych. W tej chwili wielkimi bossami narkotykowymi są Meksykanie, to w tym kraju rozwinęły się najpotężniejsze obecnie kartele, takie jak Sinaloa Chapo Guzmána, Zetas, kartel El Golfo. Kolumbijczycy zaangażowani w narkobiznes przestali być najważniejszymi w łańcuchu handlu narkotykami, stali się zwykłymi producentami, dostawcami towaru dla meksykańskich karteli. Nie ma wątpliwości, że w moim kraju w dalszym ciągu funkcjonują organizacje przestępcze, stale z nimi walczymy, ale nie są tak potężne jak kartel z Medellín.

eprasa.pl acf664e4b9

Dzisiaj nie doświadczamy narkoterroryzmu, kartele nie podkładają bomb, nie zabijają kandydatów do prezydentury i dziennikarzy, tak jak w czasach Escobara. Zajmują się wyłącznie produkcją i sprzedażą narkotyków meksykańskim kartelom.

Domyślam się, że nie zarabiają tyle, ile z narkotykowego biznesu wyciskał Escobar. Jego brat w książce wspominał, że kartel z Medellín wydawał 2,5 tys. dol. miesięcznie na same gumki recepturki do wiązania pieniędzy w pęczki.

Cena narkotyku zależy od tego, gdzie się go sprzedaje, jak również od jego jakości. Sprzedaż liści koki nie jest tak bardzo dochodowa. Jeśli liście przetworzy się na pastę z koki, to cena rośnie. Pasta z koki sprzedana w Meksyku jest warta więcej, a jeśli sprzeda się ją do Europy, to cena rośnie pięciokrotnie. Pieniądze, które handlarze zarabiają na narkotykach, zależą od tego, jakie miejsce zajmują w łańcuchu handlu. Kolumbijscy przestępcy są w tej chwili w połowie tego łańcucha, choć próbują przez Wenezuelę i Brazylię sami transportować narkotyki aż do Rosji. Natrafiliśmy na pośredników chorwackich i włoskich, którzy przyjeżdżają do Kolumbii po to, by wywozić z niej narkotyki przez Afrykę do Europy. To jest dochodowy biznes, więc zawsze znajdzie się ktoś gotowy do podjęcia ryzyka, z jakim wiąże się handel narkotykami.

Zmienił się sposób transportowania narkotyków przez handlarzy czy w dalszym ciągu szukają oni sprytnych sposobów na ukrycie białego proszku w poszyciu samolotu, częściach zamiennych czy w ładunku mączki rybnej?

Jakiś czas temu nasze służby zatrzymały na Pacyfiku trzech Rosjan. W toku śledztwa udało się ustalić, że rozwijali system transportu narkotyków łodziami podwodnymi z wybrzeża Kolumbii do Meksyku, a potem dalej – do Stanów Zjednoczonych. Przestępcy są bardzo kreatywni. Narkotyki bardzo często są przewożone w ładunkach typowych eksportowych produktów. Kolumbia jest eksporterem np. miąższu owocowego czy bananów i handlarze narkotyków wykorzystują to. Były już przypadki kartonów z bananami, które trafiły do niemieckich sklepów i klienci obok owoców znajdowali tam paczki z kokainą. Wciąż transportuje się narkotyki w walizkach z podwójnym dnem. Kryzys w Wenezueli sprawił, że na nowo odżył proceder połykania kapsułek z narkotykami i przewożenia ich przez granice we własnym ciele. Wiele zdesperowanych wenezuelskich kobiet decyduje się, by w ten sposób przewozić narkotyki do Stanów Zjednoczonych i Europy. Od czasów wielkich karteli metody transportu bardzo się nie zmieniły.

Powiedziała pani, że w Kolumbii wciąż istnieją mafijne struktury. Czy wpływają na polityków, finansują kampanie wyborcze, tak jak zrobił to kartel z Cali w przypadku kampanii byłego prezydenta Kolumbii Ernesta Sampera?

Korupcja istnieje u nas tak samo jak w wielu innych krajach, w tym także w Polsce. Oczywiście mafia opłaca ludzi skorumpowanych, dotyczy to zwłaszcza funkcjonariuszy celnych, od których zależy przepuszczenie transportu. Nie ma jednak wątpliwości, że jest to nieporównywalne ze skalą korupcji za czasów Escobara, który sam zresztą został parlamentarzystą. Dzisiaj nie ma już możliwości, żeby to handlarze narkotyków wybrali Kolumbijczykom prezydenta, bo mamy dużo wyższy poziom kontroli. To, co oglądacie w serialu „Narcos", to nie jest dzisiejsza Kolumbia, tylko ta sprzed 20–30 lat. Dzisiaj kraj jest o wiele bezpieczniejszy – nie tylko ze względu na to, że nie ma już takiego zagrożenia ze strony wielkich karteli, lecz także zwłaszcza ze strony partyzantki. W Kolumbii przybywa inwestycji, dynamicznie rozwija się turystyka. Jesteśmy jedną z najsolidniejszych demokracji w Ameryce Łacińskiej. Mamy solidne siły zbrojne. Kolumbijska policja jest jedną z najlepszych, najskuteczniejszych na naszym kontynencie, szkoli policje innych państw w zwalczaniu handlu narkotykami, porwań czy innych poważnych przestępstw. Dzisiaj to Meksyk jest krajem, w którym handlarze narkotyków kupują najważniejszych polityków w kraju.

Meksyk jest Kolumbią sprzed 20–30 lat?

Kilkakrotnie byłam zapraszana na konferencje w Meksyku i zadawano mi podobne pytanie: Czy Meksyk się skolumbianizował? Gdyby rzeczywiście tak było, to byłaby świetna wiadomość dla Meksyku. Kolumbia dzięki temu, że duża część społeczeństwa powiedziała „dość", potrafiła położyć kres wielkim kartelom narkotykowym, choć wiele osób przypłaciło to życiem. Dzisiaj żaden kraj Ameryki Łacińskiej nie jest w tak trudnym położeniu jak Meksyk. Kraje Ameryki Centralnej są jedynie krajami tranzytowymi, Peru i Boliwia to co najwyżej producenci liści koki czy pasty z koki. Ostatnio wiele narkotykowych laboratoriów odnaleziono w Argentynie – dotarły tam za sprawą Kolumbijczyków, bo wielu handlarzy narkotyków, uciekając z Kolumbii, przeniosło swoje fabryki do Argentyny i do tego kraju musieliśmy zwracać się o ekstradycję narkotykowych przestępców. W czasach rządów

REKLAMA

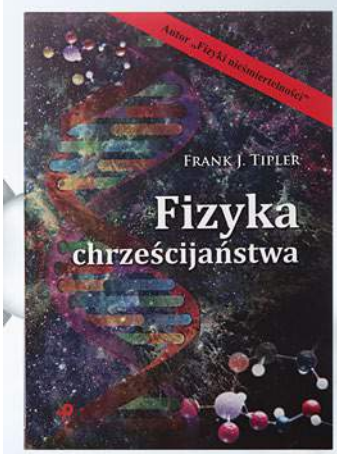

Frank J. Tipler podejmuje w FIZYCE CHRZEŚCIJAŃSTWA ekscytujące podejście do toczącej się od wieków dysputy o relacji między nauką a religią. Przeglądając wieki piśmiennictwa i dyskusji, Tipler zwraca uwagę na to, że w całej debacie odnoszącej się do nauki w kontrze do religii nie było poważnej naukowej analizy głównych twierdzeń i wierzeń chrześcijaństwa.

Dlatego właśnie Tipler takie naukowe badanie przedsięwziął. Prowadząc te badania amerykański naukowiec sięga m. in. do takich dziedzin nauki jak matematyka, informatyka, genetyka, historia, religioznawstwo.

FIZYKA CHRZESCIJAŃSTWA
prezentuje fascynujące rezultaty jego pionierskich badań.

eprasa.pl acf664e4b9

małżeństwa Kirschnerów w Argentynie było bardzo niewiele kontroli, które mogłyby pomóc namierzyć handlarzy narkotyków, więc narkotyki zdążyły w znacznym stopniu spenetrować argentyńskie społeczeństwo, ale teraz, wraz ze zmianą prezydenta, to się zmieniło. Meksyk jest w dużo gorszej sytuacji, niż kiedykolwiek była Kolumbia. Problemów do rozwiązania jest bardzo wiele. To w Meksyku dziś ginie najwięcej dziennikarzy piszących o handlarzach narkotykami, informujących o ich powiązaniach z politykami.

W książce „Los goles de la cocaína" („Gole z kokainy") opisuje pani, jak pieniądze Realu Madryt z transferu kolumbijskiego gracza trafiły do rodziny jednego z najważniejszych wspólników Escobara. Jak mocno sport jest związany z narkobiznesem?

Bardzo mocno. Kolumbia miała swoją złotą epokę futbolu, kiedy do kraju sprowadzani byli najlepsi zawodnicy – zwłaszcza z Argentyny, najlepsi trenerzy, wszyscy oni byli opłacani pieniędzmi mafii. Wielkie kolumbijskie kluby piłkarskie, takie jak Atlético Nacional, América Cali, Millonarios FC, Independiente Santa Fe miały swojego mafijnego kapo, który był udziałowcem albo po prostu kontrolował klub. W książce „Los goles de la cocaína" opowiadam o tym, co się działo na styku sportu i narkobiznesu w latach 80. i 90., a także co się dzieje dzisiaj. James Rodríguez, jeden z najlepszych kolumbijskich piłkarzy grający dla Bayernu, zaczynał swoją karierę w Envigado Fútbol Club – klubie stworzonym przez wspólnika Escobara – Gustavo Upeguiego. W 2014 r. został on umieszczony na „liście Clintona" – to lista przedsiębiorców powiązanych z handlem narkotykami. Envigado stara się, by Amerykanie wycofali klub z tej listy, i do pracy przy tym zatrudnił sztab prawników. Do opłacenia ich wykorzystał pieniądze od Realu Madryt otrzymane za transfer Jamesa Rodrígueza z 2014 r.

Envigado dalej figuruje na „liście Clintona".

Niedawno Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych zażądał od klubu, żeby m.in. kompletnie odciął się od kontaktów z mafią, jeśli chce zniknąć z „listy Clintona". Co zrobili właściciele klubu, czyli spadkobiercy wspólnika Escobara? Sprzedali udziały adwokatom rodziny. Stanów Zjednoczonych nie przekonała ta transakcja.

Narkobiznes dotyka nie tylko sportu, lecz także wielu innych dziedzin życia społecznego. Kolumbii w wielu dziedzinach udało się przeciąć te połączenia. Futbol nie jest już tak związany z handlarzami narkotyków jak w latach 80. czy 90., kiedy każdy boss narkotykowy miał własny klub, ale nawet dziś można zauważyć pewne powiązania. Handlarze narkotyków w dalszym ciągu mają swoich piłkarzy. Zachowali także wpływy na konkursy piękności – już nie takie jak dekady temu, kiedy miss musiała zawsze zostać obecna narzeczona narkobossa. Kolumbia słynie także z hodowli koni rasy paso fino. Najlepsze hodowle i stadniny mają powiązania z handlarzami narkotykami.

Handlarze narkotykami inwestują w sport czy konkursy miss dla wyprania pieniędzy?

Jednym z powodów jest pranie pieniędzy, ale jest też inny. Dla narkobossów ważna jest swego rodzaju ostentacja. Lubią się pokazywać w towarzystwie królowych piękności, w najlepszych samochodach, w otoczeniu najlepszych piłkarzy czy przy okazji pokazów najdroższych koni. Tyle że bossów tego kalibru w Kolumbii już nie ma.

Kilka razy podkreślała pani, jak niebezpieczne jest bycie dziennikarzem podejmującym tematy handlu narkotykami…

Każdy rodzaj dziennikarstwa jest niebezpieczny, bo zawsze znajdzie się ktoś, komu nie podoba się to, co piszesz. Ja mam szczęście pracować w dużym wydawnictwie i wiem, że zawsze mogę na nie liczyć. Przez 23 lata pracy w tym zawodzie wypracowałam kontakty z wieloma solidnymi źródłami w agencjach antymafijnych USA, w ambasadach, wśród ludzi zaangażowanych w walkę z handlem narkotykami. Dzięki temu udaje mi się uprawiać mój zawód w Kolumbii. Zaczęłam prowadzić dziennikarskie śledztwa o handlu narkotykami, bo taka była rzeczywistość w moim kraju. Gdybym była polską dziennikarką, to dzisiaj pewnie badałabym aferę reprywatyzacyjną. Jednak realia mojego kraju są inne. Musimy informować o partyzantkach, handlu narkotykami, korupcji. A ponieważ jestem zakochana w dziennikarstwie, więc to jest moje pole działania.

W czasach, kiedy Kolumbia walczyła z Escobarem, jeszcze pani nie pracowała.

Zdążyłam jedynie relacjonować jego pogrzeb, ale jako studentka doświadczyłam strachu przed wybuchającymi na ulicach bombami i tak jak wielu Kolumbijczyków opłakiwałam ofiary narkoterroryzmu. Jako początkująca dziennikarka pracowałam przy tematach związanych z walką Kolumbii z innym wielkim kartelem – Cali.

Pomagała pani Netflixowi w przygotowaniu dokumentacji do sezonu serialu „Narcos" dotyczącego właśnie kartelu z Cali. Jak ocenia pani ten popularny serial?

Netflixowi pomogłam w zebraniu informacji, w dotarciu do tych, którzy dobrze pamiętają tamte czasy, do członków rodziny Rodríguez Orejuela. Producenci Netflixa wykonali ogromną pracę dokumentacyjną i dzięki temu serial zbliżył się do prawdy, choć oczywiście jest on zrobiony w bardzo sensacyjnej konwencji. Tego wymaga jednak każde telewizyjne widowisko.

Na mnie szczególne wrażenie zrobiły materiały archiwalne pojawiające się w „Narcos" – narkotykowi bossowie byli zapraszani do mediów, udzielali wywiadów, a matka Escobara jeszcze na pogrzebie syna przekonywała dziennikarzy, jak szlachetnym człowiekiem był jej syn.

W tamtej epoce handlarze narkotyków chcieli rządzić Kolumbią, zajmować stanowiska publiczne, więc nie rezygnowali z pokazywania się w mediach. Ja również rozmawiałam z matką Escobara na jego pogrzebie. Opowiadała mi, że Pablo, kiedy był mały, mięso z obiadu nosił pod figurę Chrystusa, którą mieli w domu, i mówił: „Biedny Chrystusie, co oni Ci zrobili?". Zdradziła mi także, że jako dziecko uwielbiał podśpiewywać sobie: „Gdybym był bogaty…".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Martha Soto
– kolumbijska dziennikarka, szefowa działu śledczego dziennika „El Tiempo". Specjalizuje się w tematach związanych z handlem narkotykami i kolumbijską partyzantką. Wydała kilka książek na temat handlu narkotykami. Jest laureatką wielu nagród dziennikarskich, w 2017 r. została uhonorowana nagrodą Latynoamerykańskiej Organizacji Dziennikarskiej (OPI) dla najlepszego dziennikarza.

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. YOUTUBE

GENDERYZM W SPRINCIE

W amerykańskim stanie Connecticut mieszka sobie 15-letni Andraya Yearwood. Fizycznie jest chłopakiem, ale woli być dziewczyną. Andraya jest dobry w bieganiu. A ponieważ lokalne przepisy zabraniają dyskryminacji ze względu na płeć, to startuje w zawodach sprinterskich z dziewczętami. No i – ponieważ ma fizyczną przewagę – wygrywa wszystkie lokalne zawody na 100 i 200 m. Doprowadziło to już do protestów rodziców dziewcząt. Ciekawe, co będzie następne. Facet w kobiecym boksie?

BO URZĘDNIK ZAPOMNIAŁ HASŁA

Dziesiątki tysięcy osób w stanie Floryda (USA) otrzymały pozwolenie na broń bez sprawdzenia w bazie FBI, czy można je im wydawać i czy nie były notowane w innych stanach. Okazało się bowiem, że jeden z urzędników zapomniał danych do logowania do tej bazy. Po ponad miesiącu wysłał e-mail w tej sprawie. I choć wysłano mu nowe dane, to nigdy się już nie odezwał. Po prostu nie sprawdzał. Sprawa wyszła na jaw, bo ktoś inny w urzędzie nagle zdał sobie sprawę z tego, że przez rok nie przyszła żadna oficjalna odmowa wydania pozwolenia na broń, i to go zdziwiło.

TRANSGRANICZNA PODRÓŻ KROWY

Penka – tak nazywa się krowa bułgarskiego rolnika, która zabłądziła i poszła sobie na chwilę poskubać trawę w Serbii. Tamtejsi rolnicy byli na tyle uprzejmi, że odwieźli ją sąsiadowi zza granicy. I rzecz zakończyłaby się miło, gdyby do gry nie wkroczyli unijni urzędnicy. A ci orzekli, że skoro Penka opuściła UE i przeszła z powrotem granicę bez kontroli sanitarnej, to musi zostać uśpiona. Doszło do tego, że w obronie krowy napisano nawet petycję do Parlamentu Europejskiego. Penki bronił publicznie też sam Paul McCartney. I udało się. Agencja ds. Bezpieczeństwa Żywności dała się przekonać, że skoro próbki pobrane od zwierzęcia nie wskazują na żadną chorobę, to nie trzeba krowy usypiać.

ZAKAZANA ULICA RYBACKA

W Sztokholmie są ulice – oczywistość. I jedna z tych ulic nosi nazwę „Rybacka" – także oczywistość, biorąc pod uwagę, że miasto położone jest w sumie na 14 wyspach połączonych kilkudziesięcioma mostami. No, ale nie dla wszystkich. To znaczy nie dla PETA – takiej organizacji, która chce, by było lepiej, głównie zwierzętom. Jej członkowie zaapelowali do burmistrz Sztokholmu, by zmieniła nazwę ulicy Rybackiej na jakąś inną, bo ta odwołuje się do „masowego mordowania wrażliwych stworzeń morskich". Poprzez wyrugowanie nazwy ulicy ludzie z PETA chcą zmieniać świadomość innych ludzi i nakłonić ich do zmniejszenia spożywania ryb. Głupcy. Zamiast likwidować nazwę ulicy, można przecież zlikwidować ryby. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

France-élégance

Świat postępu dał na chwilę odetchnąć Viktorowi Orbánowi. W roli arcyfaszysty, rasisty i wysłannika mocy piekielnych obsadza teraz wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych Włoch Mattea Salviniego.

Salvini 10 czerwca powiedział pięknoduchom na statku „Aquarius" z ponad 600 migrantami na pokładzie, żeby płynęli z nimi na Maltę, bo to pierwszy bezpieczny port na drodze. Maltańczycy jak zwykle umyli ręce i w końcu w bezprecedensowym geście solidarności zgodziła się ich przyjąć Hiszpania. Rozpętało się piekło. Najpierw włoscy postępowcy, sromotnie pobici w marcowych wyborach, ruszyli na Salviniego z desperacją rannego zwierza. Włoski profesorek ryczał przez ocean z Harvardu we włoskiej TV, że Salvini gotuje śmierć 600 osobom. „Co za wstyd dla Italii…" – pojękiwał inny. Potem ruszyła się zagranica, a konkretnie zbawca Europy Emmanuel Macron. Najpierw jego rzecznik oświadczył, że „od tego, co robią Włosi, zbiera się na wymioty". Potem prezydent Francuzów stwierdził, że Italia nie przyjmując statku „Aquarius", postąpiła cynicznie i nieodpowiedzialnie.

Chamstwo, bezczelność i hipokryzję obu kogutów można chyba jedynie porównać do tego, co wyprawiała sowiecka dyplomacja za czasów Andrieja Gromyki. Niecały rok temu Macron bowiem oświadczył, że jego kraj nie przyjmie żadnego statku organizacji pozarządowych z migrantami na pokładzie. Dlaczego? Wówczas te statki zalewały migrantami Italię i Włosi zaczęli flirtować z ideą zamknięcia swoich portów. Bąkali tu i ówdzie, żeby może te statki zawijały też na Korsykę.

Nikt wtedy na widok Macrona nie rzygał i się za niego nie wstydził. Przeciwnie. Postępowcy okadzali go wtedy jak dziś. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. FOTOLIA

Śmieciowe prawo

Tomasz Cukiernik

Nie tylko plaga ostatnich pożarów wysypisk dowodzi, że obowiązujące w Polsce prawo śmieciowe nie zdaje egzaminu

Ministerstwo Środowiska pozytywnie ocenia tzw. rewolucję śmieciową, z jaką mamy do czynienia od 2013 r. Poziom przygotowania do ponownego użycia i recyklingu czterech frakcji odpadów komunalnych, tj. papieru, metali, tworzyw sztucznych i szkła, wzrósł z 23,52 proc. w 2013 r. do 28,12 proc. w 2016 r. (średnia UE w 2015 r. wyniosła 44 proc.). Ponadto według GUS w 2011 r. 70 proc. zebranych odpadów komunalnych zostało przekazanych do składowania, a w 2016 r. było to 36,5 proc.

Warto przypomnieć, że podczas uchwalania ustawy politycy zapewniali, iż dzięki nowemu systemowi odbioru odpadów komunalnych nie tylko będzie się segregowało więcej śmieci, lecz także nie wzrosną opłaty, nie dojdzie do monopolizacji rynku, znikną dzikie wysypiska śmieci. Z tych pobożnych życzeń niemal nic się nie spełniło.

CORAZ DROŻEJ

– Lobbing polegał na tym, że politycy „zaprzyjaźnieni" wnosili poprawki do ustawy czy też całe fragmenty ustawy pod dyktando kilku dużych zagranicznych firm śmieciowych. Miało to na celu przejęcie rynku zagospodarowania odpadów komunalnych – mówi prawnik ze Śląska, który pracuje w branży i prosi o anonimowość. – W ustawie jest multum chaotycznych zapisów, dodawanych „z potrzeby chwili". Na firmy świadczące tego rodzaju usługi zostały narzucone różnego rodzaju obowiązki: posiadanie bazy w odległości nie większej niż 50 km od miejsca, w którym zamierzały odbierać odpady; wpisy na listy podmiotów, które prowadzą tego typu zbiórki; kary, które są związane z brakiem wpisów czy sprawozdań – dodaje. Jego zdaniem ustawa zniszczyła możliwość wyboru i doprowadziła do tego, że po pierwszych latach konkurencja małych firm została wyeliminowana. – W gminach, gdzie jest problem z dostępem do miejsc składowania i przetwarzania odpadów, de facto rządzą duże firmy, najczęściej z ka-

eprasa.pl acf664e4b9

pitałem niemieckim lub francuskim, które mają odpowiednio duże zaplecze finansowe i techniczne – mówi prawnik.

W gminach powstały całe wydziały, względnie nowe podmioty, które zajmują się wyłącznie rozpisywaniem przetargów i ściąganiem od ludzi dodatkowej opłaty śmieciowej. To powoduje, że ceny muszą iść w górę. W Gliwicach w przypadku odpadów zbieranych selektywnie opłata dla lokali mieszkalnych o powierzchni do 60 mkw. w latach 2013–2018 wzrosła o 50 proc. Jednak już dla lokali mieszkalnych z przedziału 90,01–120 mkw. wzrost wyniósł 140 proc. W przypadku śmieci niesegregowanych jest jeszcze gorzej. Opłata od mieszkania o powierzchni do 60 mkw. wzrosła o 344 proc., a od mieszkania z przedziału 90,01–120 mkw. została podniesiona aż o 567 proc.!

W Łęczycy w 2013 r. radni ustalili opłaty na 8 zł za śmieci segregowane i 10 zł za niesegregowane. W 2018 r. wynoszą one już odpowiednio 16 zł i 18 zł, czyli 100 proc. i 80 proc. więcej. W tych samych latach w Międzyrzeczu (woj. lubuskie) wzrost wyniósł 71 proc. za odpady segregowane i 65 proc. za odpady zmieszane. Władze gminy Krzywcza (woj. podkarpackie) opłatę za odbiór śmieci posortowanych zwiększyły o 176 proc., a za śmieci zmieszane – o 162,5 proc.

Gminy podnoszą mieszkańcom opłaty także dlatego, że wzrastają wydatki za składowanie śmieci w regionalnych instalacjach przetwarzania odpadów komunalnych. Na przykład w Czeladzi (woj. śląskie) wydatki miasta związane z odbiorem i zagospodarowaniem odpadów w 2014 r. wynosiły 2,5 mln zł, a w 2018 r. zaplanowano je na poziomie 5,4 mln zł. W Gdańsku w tym samym czasie wydatki te podskoczyły o 49 proc., a w Krakowie w latach 2014–2017 wzrost wyniósł niemal 50 mln zł, czyli 36,5 proc. Władze stolicy Małopolski uzasadniają to zwiększoną ilością odbieranych odpadów, a także wyższymi stawkami w przetargach, wyższymi stawkami za zagospodarowanie odpadów oraz większymi wydatkami na obsługę administracyjną systemu. – Coraz większe wymogi w zakresie gospodarki odpadami mają wpływ na wzrost kosztu jej realizacji – mówi Grzegorz Mazurkiewicz, kierownik referatu ds. systemu gospodarowania odpadami komunalnymi UM w Katowicach.

W Poznaniu sytuacja jest nieco inna. Corocznie wpływy z opłaty śmieciowej są wyższe niż wydatki systemu gospodarowania odpadami. Różnica wynosi kilka milionów złotych, ale miasto zamiast obniżyć opłaty, wydaje nadwyżkę na inne cele ustawowe: prowadzenie punktów selektywnego zbierania śmieci, koszty urzędnicze czy działania edukacyjne.

Nowa ustawa – wbrew zapowiedziom polityków – nie uporządkowała problemu dzikich wysypisk śmieci

W Warszawie czy Zamościu wpływy z opłaty śmieciowej są niższe niż wydatki. W rezultacie w latach 2015–2017 konieczne było dofinansowanie systemu z budżetu Warszawy. – Dochody osiągnięte z tytułu opłat za gospodarowanie odpadami komunalnymi nie pokrywają wszystkich kosztów funkcjonowania systemu i są one bilansowane z budżetu miasta Zamość – informuje Marek Gajewski, rzecznik prasowy prezydenta Zamościa. Tymczasem choć Ministerstwo Środowiska nie widzi przeciwwskazań, to niektórzy prawnicy i opinie RIO stoją na stanowisku, że dotowanie systemu z budżetu miasta jest niezgodne z prawem.

ROSNĄ DZIKIE WYSYPISKA

Ustawa nie uporządkowała problemu dzikich wysypisk śmieci. Według raportu NIK na koniec 2013 r. w kontrolowanych gminach były 894 dzikie wysypiska, a we wrześniu 2014 r. – 1452. Według danych Ministerstwa Środowiska w pierwszej połowie 2013 r. (przed wejściem w życie ustawy) w lasach porzucono prawie 45 tys. m sześc. odpadów, a w drugiej połowie roku (po wejściu w życie ustawy) – 76 tys.

Według GUS w 2016 r. nielegalnych miejsc składowania odpadów komunalnych było o 7,8 proc. więcej niż rok wcześniej. Problem ten potwierdzają Lasy Państwowe, które z roku na rok coraz więcej wydają na sprzątanie lasów. W 2012 r. było to 15,5 mln zł, a w 2017 r. – 18,2 mln zł. Od wejścia w życie ustawy w żadnym roku z terenów zarządzanych przez LP nie wywieziono mniej niż 114 tys. m sześc. śmieci, podczas gdy w 2009 r. było to 80 tys. – Dzikie wysypiska nadal się pojawiają, ale zmieniła się struktura odpadów tam trafiających. Obecnie są to najczęściej odpady z „dzikiej" działalności gospodarczej, np. odpady poremontowe, z warsztatów samochodowych itp. – wyjaśnia Mazurkiewicz. Inne przyczyny wskazuje dr Katarzyna Michniewska, ekonomista środowiskowy, prezes zarządu Eko Cykl Organizacja Odzysku Opakowań SA. – Po zmianie to już nie Kowalski miał motywację, by wywozić odpady do lasu, a firma, która wygrała przetarg po najniższych cenach. W efekcie w obliczu bankructwa masowo kierowała je do lasów – skala patologii zwiększyła się, zamiast zmniejszyć – tłumaczy dr Michniewska.

Tak zwana ustawa śmieciowa została uchwalona w ramach implementacji do polskiego prawa unijnych dyrektyw, które miały ujednolicać i moderować rynek odpadów komunalnych tak, by monitorować żądany poziom odzysku i recyklingu. Jednak może zamiast słuchać się unijnych regulacji, lepiej wyszłoby nam na dobre branie przykładu z rozwiązań japońskich? Tam system opiera się na podziale odpadów na palne, niepalne, wielkogabarytowe oraz nadające się do recyklingu (puszki i butelki). – Recykling stanowi 20 proc., spalanie – ok. 60 proc. (starając się maksymalizować redukcję powstawania odpadów i recykling, a minimalizować spalanie do odpadów nienadających się do zagospodarowania w inny sposób), pozostałe neutralne dla środowiska odpady składuje się w postaci usypywanej wyspy, przedzielając warstwy odpadów, popiołów ze spalarni odpadów i ziemi – wyjaśnia dr Michniewska. – W Japonii obowiązkowe są lekcje z gospodarki odpadami – każde dziecko choć raz odwiedziło zakład, do którego jedzie śmieciarka, zna zasadę 3R (Reduce, Reuse, Recycle – czyli ogranicz, użyj ponownie, poddaj recyklingowi). Niestety, w Polsce politycy bardziej dbają o to, by prawo było zgodne z unijnymi dyrektywami i potrzebami grup interesu niż ze zdrowym rozsądkiem.

Unijne regulacje zobowiązują Polskę do tego, by do 2025 r. 55 proc. składowanych śmieci było przygotowanych do ponownego użycia i recyklingu. Do 2030 r. ma to być 60 proc., a do 2035 r. – 65 proc. Ponadto do 2035 r. składowanych ma być maksymalnie 10 proc. wszystkich odpadów. Niespełnienie unijnych celów grozi nałożeniem wysokich kar finansowych.

Ale gorsze jest to, że – jak twierdzą naukowcy – zatrucie środowiska w efekcie niekontrolowanych pożarów wysypisk przez lata będzie miało katastrofalny wpływ na zdrowie Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polacy dla Polski

Trudno przewidzieć, czy to początek trwałej tendencji. Oby! W każdym razie z najnowszego sondażu przeprowadzonego na zlecenie Work Service przez Kantar Millward Brown wynika, że nieco ponad 75 proc. przebadanych Polaków „zdecydowanie nie rozważa podjęcia pracy za granicą". To „najwyższe wskazanie w historii tego badania i zarazem wynik o ponad 10 punktów procentowych wyższy niż przed rokiem".

Wypadałoby przyklasnąć i napisać: nareszcie aż ponad 75 proc. Polaków wiąże swoją przyszłość z Polską. Wszelako to przecież wciąż tylko 75 proc., a niemal jedna czwarta przebadanych Polaków emigrację zarobkową, czyli opuszczenie Polski, wciąż rozważa. Na domiar złego, aż prawie 25 proc. z tych, którzy planują wyjazd, chciałoby wynieść się ze swej ojczyzny na stałe – a to o 5 punktów procentowych więcej niż rok wcześniej. Na szczęście, wskutek zmniejszenia się odsetka tych, którzy myślą o wyjeździe, w liczbach bezwzględnych grupa ta pozostała mniej więcej tak samo duża. Z wniosków optymistycznych, płynących z tego badania, warto zwrócić uwagę także na ten, że niemal 40 proc. spośród tych, którzy rozważają wyjazd za pracą, nie było w stanie wskazać kraju, do którego chce wyjechać. A to by oznaczało, że ich plany wyjazdowe mają niezbyt sprecyzowany i zaawansowany charakter.

W dodatku, jeśli przyjrzeć się najczęściej wskazywanym powodom emigracji – a wymieniano głównie, co nie zaskakuje, wyższe zarobki (82 proc.) i standard życia (36 proc.) oraz lepsze warunki socjalne (29 proc.) i perspektywy rozwoju zawodowego (24 proc.) – to akurat zarobki i poziom warunków socjalnych rosną u nas ostatnio w tempie wręcz ekspresowym. Tak szybkim, za szybkim, że aż budzi to niepokój o konsekwencje tego wyścigu płac i wszelkich świadczeń dla zrównoważonego rozwoju państwa i stanu jego kasy, która w czasach spowolnienia może nie udźwignąć zbyt rozdętych wydatków socjalnych. Jednakże na krótką metę te rosnące szybko zarobki i dodatki socjalne z pewnością czynią z Polski miejsce dużo bardziej pożądane do życia – zakładania rodziny i robienia kariery zawodowej – niż jeszcze kilka lat temu.

Jak widać po wynikach tegorocznego badania, i tak przecież brzmiących dla nas dużo lepiej od tych z minionych lat, wciąż bardzo daleko nam do ideału. Czyli do tego, by nie tylko prawie wszyscy, jeśli już nie wszyscy, Polacy mieszkający w Polsce chcieli tu nadal żyć – zakładać rodziny i robić kariery, lecz by też wreszcie tłumnie zaczęli do Polski wracać ci wszyscy Polacy – często bardzo dobrze wykształceni (w tym lekarze, naukowcy, informatycy itd.), którzy ją opuścili, pociągając za sobą swych małżonków i swe dzieci. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Jak wzmocnić demokrację

W starożytnych Atenach, które traktujemy jak historyczny wzorzec demokracji europejskiej, było jednak inaczej, niż wielu z nas się dzisiaj wydaje. Każdy wolny obywatel miał prawo do jednego głosu, ale niewolnik już nie. Zatem głosować mogło, upraszczając, jakieś 5 proc. ludzi żyjących w Atenach. Jeszcze kilka dekad temu czarnoskórzy mieszkańcy USA nie mieli prawa głosu, a we Francji nie miały go kobiety. Zatem demokracja, którą znamy dzisiaj w Europie, jest młoda i jako taka ma swoje wady i zalety. Została zbudowana według jednej zasady – zasady rozszerzania. Coraz więcej osób zyskiwało prawo głosu, tak jak osoby w wieku 16–17. O ile ruch w tę stronę jest zrozumiały, o tyle ewentualne modyfikacje demokracji zawężające prawo głosu prawdopodobnie byłyby trudne do przeprowadzenia.

Ludzie sukcesu, osoby przedsiębiorcze miałyby większy wpływ na życie polityczne

Zastanówmy się, czy są możliwe inne mechanizmy demokratyczne, które można by zastosować, i jakie byłyby ich wady oraz zalety. Na przykład każdy ma jeden głos, ale bogata osoba ma jeden głos plus jeszcze jeden za każdy milion ulokowany w obligacjach Skarbu Państwa, więc ludzie sukcesu, osoby przedsiębiorcze miałyby większy wpływ na życie polityczne. Skarb Państwa mógłby łatwiej finansować potrzeby pożyczkowe, a finanse stałyby się bardziej transparentne.

A może większa liczba głosów związana z poziomem wykształcenia? Każdy ma jeden głos, osoby po licencjacie – dwa głosy, po magisterce – trzy, a po doktoracie i wyżej – cztery głosy. Taki system promowałby wzrost poziomu wykształcenia Polaków.

Inny mechanizm „nowej demokracji" rodzi się na naszych oczach w Chinach. To system społecznego scoringu, w którym zbiera się wszystkie informacje o aktywności obywatela i na tej podstawie tworzy sumaryczną ocenę – scoring. Osoby o niskiej ocenie są pozbawiane praw, a osoby z wysoką mają dodatkowe możliwości. Taki system mógłby również zostać rozszerzony na prawo wyborcze. Oczywiście ten wariant niesie ze sobą olbrzymie ryzyko, bo zwolennicy opozycji mogliby zostać pozbawieni prawa głosu przez sztuczne zaniżenie scoringu.

Obecna demokracja w Europie wymaga zmian, to widać gołym okiem. Dlatego zasadę rozszerzenia proponuję uzupełnić zasadą wzmacniania (dodatkowych głosów), żeby dobrze wykształceni i przedsiębiorczy ludzie mieli większy wpływ na politykę. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl acf664e4b9

Finansowanie jak bumerang

Pożyczki unijne to odnawialne instrumenty finansowe, z których po spłacie będą mogły skorzystać kolejne firmy. Mają szansę się o nie ubiegać nie tylko doświadczone firmy, lecz także start-upy

FOT. FOTOLIA

Gdy dr Tomasz Oczkowski, genetyk i biolog, specjalizujący się w diagnostyce molekularnej, postanowił założyć firmę Bioinvents, miał za sobą nie tylko doświadczenia naukowe zebrane m.in. na amerykańskiej uczelni, lecz także cenne obserwacje biznesowe.

– Badania na amerykańskim uniwersytecie odbywały się pod nadzorem firmy, która była zainteresowana ich wynikami. Zajmowałem się więc praktycznymi rozwiązaniami. W Polsce pracowaliśmy zupełnie inaczej, nad kompletnie abstrakcyjnymi problemami, bez znaczenia dla gospodarki – wspomina dr Oczkowski.

Po powrocie do kraju naukowiec postanowił założyć firmę i przy okazji sprawdzić amerykański model na polskim gruncie. Potrzebował do tego środków finansowych, bo jego własne oszczędności i przyznane dotacje okazały się za małe. Zaczął od banków, ale nie były one skłonne kredytować Bioinvents, mimo przyznanych dotacji i zabezpieczeń. Do inwestycji w biotechnologię zachowawczo podchodziły też fundusze inwestycyjne, które wprost przyznawały, że brakuje im ekspertów do oceny projektu. Pomogła dopiero Wielkopolska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, która udzieliła Oczkowskiemu kredytu w ramach inicjatywy JEREMIE (ang. Joint European Resources for Micro-to-Medium Enterprises) dla mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw, w tym podmiotów rozpoczynających działalność gospodarczą – tzw. start-upów. Otrzymane pieniądze dr Oczkowski zainwestował w sprzęt – automat do izolowania DNA w dużej skali, termocyklery (urządzenia służące do molekularnych analiz kwasów nukleinowych) czy spektrometry do badania białek metodami immunologicznymi. Każde z tych niezbędnych w codziennej pracy biotechnologa urządzeń kosztuje kilkadziesiąt tysięcy złotych.

ODNAWIALNE WSPARCIE

Obecnie Bioinvents zajmuje się opracowywaniem nowych metod wykrywania chorób nowotworowych za pomocą genetyki molekularnej, m.in. poprzez analizy biomarkerów onkologicznych. A w najbliższej przyszłości zamierza zająć się tematem biosyntezy ludzkich przeciwciał. Ta nowa technologia rozwijana będzie wraz z tworzonym obecnie konsorcjum badawczym z poznańskimi uczelniami, które zamierza pozyskać finansowanie z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Wszystkie te plany – a dzięki nim także rozwój medycyny – nie byłyby możliwe, gdyby Bioinvents nie skorzystał z unijnego wsparcia.

Inicjatywa JEREMIE, z której skorzystał z dr Oczkowski, już się zakończyła. Obecnie przedsiębiorcy z 15 województw mają szansę skorzystać z pożyczek unijnych z regionalnych programów operacyjnych na lata 2014–2020. Chodzi o odnawialne instrumenty finansowe w postaci pożyczek, poręczeń kredytów oraz wejść kapitałowych, z których po spłacie środki wracają do puli, tak by mogły z nich skorzystać kolejne firmy.

Przeszkodami w rozwoju firm są często krótka historia kredytowa lub brak odpowiednich zabezpieczeń. Odpowiedzią na te problemy są pożyczki unijne – nisko oprocentowane produkty, których otrzymanie jest bardzo proste i przyjazne. Wystarczy zgłosić się do wybranej przez Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK) instytucji finansującej, której przedstawiciele chętnie doradzą oraz pomogą w całym procesie ubiegania się o pożyczkę.

Pożyczki na rozwój mikro-, małych i średnich firm finansują projekty, które zwiększają ich konkurencyjność, także dostarczają środki na inwestycje w sprzęt produkcyjny, nowoczesne maszyny i urządzenia poszerzające skalę działalności firmy lub wzbogacające ofertę firm o nowe produkty i usługi.

Co ważne, pożyczki unijne zasilają nie tylko biznes, lecz także finansują inwestycje związane z rewitalizacją, termomodernizacją i zastosowaniem odnawialnych źródeł energii w przedsiębiorstwach, wielorodzinnych budynkach mieszkalnych i sektorze publicznym. Pozyskane środki można także wykorzystać na założenie własnej firmy.

Marta Szuma

Gdzie zgłosić się po pożyczkę?

Profesjonalne instytucje finansujące współpracujące z BGK (tj. fundusze pożyczkowe, fundusze poręczeniowe, banki spółdzielcze i komercyjne) udzielają pożyczek unijnych na jasnych i prostych zasadach. Ich zadaniem jest również kompetentna pomoc w przeprowadzeniu firm przez całą procedurę uzyskania pożyczki. Listę tych instytucji znajdziesz tutaj: **rpo.bgk.pl/instytucje-finansujace.**

Fundusze Europejskie Program Regionalny
Rzeczpospolita Polska
BGK BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl acf664e4b9

W debacie wzięli udział (od prawej): Katarzyna Przewalska, dr Marcin Wojewódka, Dorota Dula, Jan Grzegorz Prądzyński, Paweł Borys i Jacek Przybylski FOT. MAGDALENA WÓJCIK

Pomóc Polakom oszczędzać

Jacek Przybylski

Polska Izba Ubezpieczeń chce zwolnienia firm ubezpieczeniowych z podatku od aktywów zgromadzonych w ramach pracowniczych planów kapitałowych. – W przeciwnym razie towarzystwa ubezpieczeniowe będą de facto wyeliminowane z programu długoterminowego oszczędzania – mówi prezes PIU

Polacy wciąż mają wyjątkowo mało oszczędności, a dobrowolne programy oszczędzania na emeryturę nie zdobyły popularności – obecnie aktywnych jest tylko nieco ponad 1000 pracowniczych programów emerytalnych. Rząd pracuje więc nad uruchomieniem programu, który ma ułatwić Polakom długoterminowe oszczędzanie. – Celem pracowniczych planów kapitałowych jest przede wszystkim zbudowanie krajowych oszczędności – wyjaśniała podczas debaty w redakcji „Do Rzeczy" Katarzyna Przewalska, zastępca dyrektora departamentu rozwoju rynku finansowego w Ministerstwie Finansów. I dodała, że choć zmiany w OFE zmniejszyły zaufanie Polaków do długoterminowego oszczędzania, to „PPK ma na celu zmianę postrzegania rynku kapitałowego". – System OFE zasadniczo różnił się od PPK. Składka do OFE pochodziła z części składki na ubezpieczenie społeczne. Tutaj mamy do czynienia z całkowicie prywatnymi środkami po opodatkowaniu – tłumaczyła Katarzyna Przewalska.
W ramach PPK pieniądze na indywidualne konta będą wpłacać zarówno pracownicy (1 proc. miesięcznego wynagrodzenia), jak i ich pracodawcy (1,5 proc.). Dołoży się też rząd (0,5 proc.). Docelowo do PPK zostanie zapisany każdy pracownik w wieku 19–55 lat. Dodatkowe oszczędzanie będzie jednak dobrowolne. Pracownik będzie mógł bowiem zadeklarować, że nie chce przekazywania środków na PPK.

– Chęć udziału w tym programie będzie zależała od tego, na ile będziemy mieli zaufanie do tego projektu – podkreślił dr Marcin Wojewódka, prezes Instytutu Emerytalnego. – Biorąc pod uwagę warunki demograficzne, uwarunkowania historyczne, stan finansów publicznych i ubezpieczeń społecznych dodatkowe oszczędzanie jest niezbędne. Bez dodatkowego oszczędzania nie tylko nie będziemy mieli godnych emerytur, lecz także będziemy bardzo biednym narodem bardzo biednych emerytów. Musimy kosztem dzisiejszej konsumpcji odkładać pieniądze. PPK jest sensownym pomysłem, żeby to w końcu zrobić, bo niestety dotychczasowe projekty się nie upowszechniły – dodał dr Wojewódka.

– Państwo tworzy pracownicze plany kapitałowe, aby ludzie mieli niezbędny dodatek do emerytury. Demografia jest bowiem zatrważająca. W 2013 r. na jednego emeryta pracowało pięć osób. W 2020 r. to będą cztery osoby, a w roku 2060 już tylko dwie – zauważył Jan Grzegorz Prądzyński, prezes Polskiej Izby Ubezpieczeń. – Aby przekonać młodych ludzi do długoterminowego oszczędzania, ubezpieczyciele chcą w ramach opłaty za zarządzanie oferować uczestnikom programu dodatkową ochronę ubezpieczeniową – dodaje Prądzyński.

ZASADY GRY

Nowa wersja projektu ustawy dopuszcza udział w tym programie ubezpieczy-

eprasa.pl acf664e4b9

cieli. – Dopuszcza, ale tylko teoretycznie. W praktyce przez podatek od aktywów ubezpieczyciele nie będą mogli zaoferować PPK, chociaż bardzo by chcieli, mają odpowiednią infrastrukturę i mogą zapewnić bezpieczeństwo kapitałowe. Efektywna wysokość podatku od aktywów wynosi bowiem ok. 0,52 proc., a proponowany limit kosztów za zarządzanie w umowach PPK wynosi 0,5 proc. – Ubezpieczyciele musieliby więc w praktyce dopłacać do każdej umowy – zauważył Jan Grzegorz Prądzyński. Podobny problem pojawia się przy nowych umowach w pracowniczych programach emerytalnych, których ponad 60 proc. prowadzą ubezpieczyciele. – Projekt ustawy w aktualnej wersji w praktyce również wyklucza zakłady ubezpieczeń z prowadzenia nowych PPE. Ustawa wprowadza bowiem limit kosztów przy nowych umowach na poziomie 0,6 proc. wartości zarządzanych środków w skali roku, co przy utrzymaniu podatku w wysokości 0,52 proc. od aktywów spowoduje, że prowadzenie PPE będzie dla ubezpieczycieli ekonomicznie nieopłacalne – zaznaczył prezes PIU. – Prawdopodobnie wszystkie umowy PPE przejdą więc do podmiotów, które nie są obciążone podatkiem. W tym obszarze nie ma więc żadnej równości w działaniu różnych podmiotów na rynku. Obciążeni podatkiem ubezpieczyciele są bowiem w dużo gorszej pozycji startowej – dodał, podkreślając, że zwolnienie z podatku od aktywów gromadzonych w PPK będzie neutralne z punktu widzenia budżetu państwa. Brak zwolnienia z tego podatku ubezpieczycieli w obszarze PPK sprawi bowiem, że plany oferowane i zarządzane będą wyłącznie przez towarzystwa funduszy inwestycyjnych oraz powszechne towarzystwa emerytalne, a te nie są objęte podatkiem od aktywów.

– Rozumiemy rolę zakładów ubezpieczeń, zwłaszcza w sferze promocji, informacji, edukacji. I liczymy na tę rolę. Pozostaje nam kwestia kosztowa. PIU zwraca uwagę, że w tych warunkach to rozwiązanie może powodować trudności w prowadzeniu PPK i my jesteśmy w trakcie analizy – tłumaczyła Katarzyna Przewalska z Ministerstwa Finansów, podkreślając, że jest to problem systemowy. Ustawa o podatku od aktywów od instytucji finansowych została bowiem uchwalona nieco ponad dwa lata temu i zawsze pojawia się problem z wyłączeniami.

Prezes PIU przekonywał również, że ubezpieczyciele mają największe zaufanie wśród pracowników oraz pracodawców, ponieważ od lat ubezpieczają majątek przedsiębiorców czy też oferują grupowe ubezpieczenia emerytalne i zdrowotne. – Dzięki tym relacjom ubezpieczyciele mogą zapewnić powszechność nowego systemu, a przecież to, zwłaszcza na początku, będzie miarą sukcesu nowego systemu – argumentował prezes Prądzyński. – Ubezpieczyciele mogą również odgrywać niezwykle ważną rolę edukacyjną, wyjaśniając pracownikom oraz pracodawcom, zwłaszcza małym i średnim, na czym polegają PPK i do czego są potrzebne. – Niezwolnienie ubezpieczycieli z podatku od aktywów gromadzonych w ramach PPK i nowych umów PPE oznacza de facto eliminację ubezpieczycieli z programu długoterminowego oszczędzania Polaków – podkreślił pod koniec debaty prezes PIU Jan Grzegorz Prądzyński.

– Nie chciałabym, żeby z naszej dyskusji pozostał wniosek, że jedynie zakłady ubezpieczeń będą w stanie zapewnić powszechność. Rola zakładów ubezpieczeń jest absolutnie nieoceniona i poprzez system dystrybucji produktów ubezpieczeniowych mamy szansę upowszechnić również PPK, ale inne instytucje finansowe, mamy przykład przy PPE, też radzą sobie z dotarciem do pracodawców – zaznaczała Katarzyna Przewalska z Ministerstwa Finansów.

0,5 proc.

TYLE WYNOSI LIMIT KOSZTÓW ZA ZARZĄDZANIE W UMOWACH PPK

PODWYŻKI BEZ KLINA

– Trwa proces legislacyjny. Zakłady ubezpieczeń są w projekcie włączone w dystrybucję. Jeżeli chodzi o produkt, to jest problem podatku, który jest trudniejszym zagadnieniem. Ministerstwo Finansów, rząd i komisja finansów muszą tę kwestię rozstrzygnąć. Zgadzam się, że żeby to miało sens, czyli żeby podmioty mogły konkurować na tych samych warunkach, to warto pójść za ciosem, wyrównać zasady gry i sprawić, by zasady opodatkowania były takie same, ale to jest trochę bardziej skomplikowane zagadnienie. Chociaż na pewno większa konkurencja i większe zasoby sprzyjają zapewnieniu większej partycypacji – wyjaśniał prezes Paweł Borys. – Wierzę w dużą partycypację, na poziomie powyżej 50 proc., ponieważ ten program jest po prostu korzystny dla pracowników – mówił prezes PFR.

Problemem jest też brak informacji o konkretnej dacie wejścia w życie ustawy o pracowniczych programach kapitałowych. – Brak takiej informacji powoduje ogromny dyskomfort po stronie pracodawców. Wielu pracodawców pyta, czy ta ustawa w ogóle wejdzie. Pracodawcy potrzebują jednej, konkretnej, ostatecznej daty. Jej brak zniechęca do udziału w PPK zarówno pracodawców, jak i pracowników – argumentowała Dorota Dula, ekspertka BCC ds. ubezpieczeń i planów emerytalnych.

– Obecnie pytanie pracodawców brzmi: Czy robić na przyszły rok rezerwę na dopłaty do PPK czy też jej nie robić? Bo to jest właśnie czas budżetowania wynagrodzeń na 2019 r. – podkreślał dr Marcin Wojewódka.

– Nie da się jeszcze podać konkretnej daty, bo na razie postawiliśmy na porządne konsultacje społeczne. Właśnie dlatego przesunęliśmy termin ze stycznia 2019 r. na połowę przyszłego roku – wyjaśniał prezes zarządu PFR Paweł Borys, dodając, że jeżeli podczas wakacji projekt zostanie przyjęty przez rząd, to jesienią zajmie się nim parlament, i gdy zostanie przyjęty, to jest szansa uruchomienia programu w połowie 2019 r.

– Staramy się jak najszybciej zakończyć proces legislacyjny. Chcemy w porozumieniu z partnerami społecznymi wypracować najlepsze terminy wejścia w życie poszczególnych rozwiązań – tłumaczyła Katarzyna Przewalska z Ministerstwa Finansów, zapowiedziała zaś, że w projekcie ustawy, który zostanie przekazany Radzie Ministrów, znajdą się już konkretne propozycje dotyczące dat związanych z wejściem w życie ustawy o PPK.

– To jest optymalny moment z perspektywy budżetu i z perspektywy pracodawców na wprowadzenie tego typu rozwiązań, zwłaszcza biorąc pod dynamikę wzrostu wynagrodzeń w Polsce na poziomie 7 proc. – przekonywał również prezes PFR Paweł Borys. I podkreślił, że wpłaty od pracodawców na PPK de facto są podwyżką wynagrodzenia i to podwyżką, która nie zwiększa klina podatkowego dla pracodawców, ponieważ ta część wpłaty jest zwolniona ze składek na ubezpieczenia społeczne. – PPK mogą stać się więc ciekawym instrumentem do zwiększania lojalności pracowników na rynku, na którym coraz bardziej brakuje rąk do pracy – dodał Paweł Borys.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKA Z MIKROFONEM PLANTRONICS VOYAGER

Zarówno w redakcji, jak i w klasycznych biurach nie da się już żyć bez długich rozmów prowadzonych za pomocą smartfonów. W pomieszczeniach, w których jednocześnie mówi wiele osób lub gdy ważny telefon trzeba odebrać akurat w gwarnej, zatłoczonej restauracji, przydaje się słuchawka Bluetooth, która dobrze radzi sobie z wyciszaniem niepotrzebnych dźwięków.

Testowana słuchawka nie należy do najmniejszych dostępnych na rynku. Jej klasyczny wygląd sprawia jednak, że z powodzeniem mogą ją założyć nawet menedżerowie w garniturach. Jednocześnie słuchawka douszna z mikrofonem jest na tyle lekka, że nawet po kilku godzinach noszenia nie staje się uciążliwa. Cała konstrukcja została zaś tak dopracowana, że słuchawka nie wypada z uszu i jest wygodna nawet dla osób noszących okulary (chociaż wygodne dopasowanie zestawu do ucha zajmuje nieco za dużo czasu, niż powinno).

Jej największą zaletą jest jednak rewelacyjna jakość rozmów. Ten model firmy Plantronics został wyposażony w cztery mikrofony, a także w specjalny czujnik wiatru (WindSmart), który wykrywa, z której strony i jak mocno wieje wiatr oraz skutecznie go wycisza. Słuchawka jest też wodoodporna – bez problemu można więc prowadzić rozmowę w deszczu.

Gadżet można też łatwo sparować zarówno ze smartfonem, jak i z tabletem czy z komputerem. Zasięg Bluetooth jest na tyle dobry, że rozmowy można swobodnie prowadzić nawet kilkanaście metrów od telefonu czy komputera, a jakość dźwięku i tak pozostaje bardzo dobra.

Słuchawka informuje, kto dzwoni, a także umożliwia odebranie lub odrzucenie połączenia za pomocą polecenia głosowego.

Na jednym ładowaniu słuchawka z mikrofonem działa ok. 7 godz. W zestawie poza słuchawką znajduje się również plastikowy futerał, który może też pełnić funkcję banku energii i doładowywać gadżet podczas przenoszenia (w sumie może zwiększyć czas pracy z dala od gniazdka elektrycznego o 14 godzin).

Największa wada modelu Voyager to jego cena, która wynosi obecnie ok. 570 zł. ©℗

Jacek Przybylski

EPOKOWY CZASOMIERZ

Nie, to nie jest laska dynamitu z elektronicznym zapalnikiem, ale mimo wszystko unikałbym pokazywania się z tym gadżetem w miejscach publicznych, typu lotniska czy dworce, aby uniknąć tłumaczeń, które mogą zająć nawet 48 godzin. Time Since Launch wygląda bardzo wybuchowo i jest – jak twierdzą konstruktorzy – „jednorazowym zegarem startowym nowej epoki".

Rzeczywistość jest znacznie prostsza, choć całkiem efektowna – Time Since Launch to bardzo trwały zegar, mogący działać bardzo długo, bo nawet – tu znów oddaję głos producentom – 2738 lat. I nie, nie pokazuje aktualnej godziny. Odlicza czas, który minął od ważnego wydarzenia w naszym życiu, np. pierwszej komunii św., egzaminu maturalnego, ślubu, urodzin dziecka, rozwodu, zostania posłem, aresztowania przez CBA itd. Wystarczy uruchomić urządzenie, a ono będzie sobie ten czas liczyć aż do końca... Naszego końca, gdyż urządzenie już po uruchomieniu chowa się w ponoć niezniszczalnej tubie z borokrzemianu i uszczelnionej aluminium. Umieszczony w niej ekran LCD pokazuje dni, godziny, minuty i sekundy od uruchomienia. I tak przez wspomniane setki czy tysiące lat, ponieważ urządzenie wyposażone jest w dwie bardzo silne baterie o sporej pojemności, a pobierać ma mniej niż 6 mikroamperów prądu o napięciu 3,3 V.

Fajny gadżet, tyle że chyba nikomu do niczego w praktyce nieprzydatny. Z punktu widzenia producenta tym fajniejszy, że małe są szanse, by po 2000 lat któryś z klientów przyszedł z reklamacją: „Panie, popsuło się". Gdyby ktoś jednak chciał nabyć ów czasomierz, to może to zrobić na Kickstarterze w cenie ok. 500 zł za sztukę. Dostawa w styczniu, więc trzeba trochę poczekać, ale cóż znaczy kilka miesięcy w takiej perspektywie czasowej...

SKONSTRUUJ ROWEREK

Lubicie bawić się klockami ze swoją pociechą? Stop. Inaczej: lubicie, gdy wasza pociecha patrzy, jak bawicie się jej klockami? Teraz można połączyć przyjemne z pożytecznym. Konstruktorzy Infento proponują zestaw „małego inżyniera", który pozwoli na zmajstrowanie z kilkudziesięciu części funkcjonalnego rowerka, hulajnogi lub innego pojazdu typu jednoślad, którym dziecko będzie mogło śmiało zasuwać po ogrodzie czy osiedlowych uliczkach. Zasuwać naprawdę szybko i bezpiecznie, bowiem w zestawie „klocków" jest także – do zamontowania – system stabilizujący. Plusem zestawu jest liczba części pozwalająca na zmontowanie rowerka dostosowanego do potrzeb kilkulatka, a następnie rozbudowanie go na jednoślad dla nastolatka. Nie będzie to oczywiście „wypasiona wyścigówa", ale coś przypominającego jeżdżące już po ulicach naszych miast proste, składające się z kilku elementów hulajnogi. Cena też nie jest zła. Najprostszy zestaw można zamówić na Kickstarterze już za ok. 600 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. FOTOLIA

Czas na zmiany

Katarzyna Pinkosz

Rak coraz częściej staje się chorobą przewlekłą. Jednak wyniki leczenia w dużej mierze zależą od tego, ile pieniędzy przeznacza się w danym kraju na ochronę zdrowia, w tym na onkologię

Już dziś w Polsce żyje ok. 1 mln osób ze zdiagnozowaną chorobą nowotworową, a w najbliższych latach epidemiolodzy spodziewają się dalszego wzrostu zachorowań. – Przyczyną jest starzenie się społeczeństwa, bo wraz z wiekiem rośnie ryzyko pojawienia się nowotworu. Jednak za dużą część zachorowań odpowiadamy sami: nasze zachowania, styl życia. Należałoby coś z tym zrobić, np. skutecznie pomóc palącym w rzuceniu palenia – mówi dr Joanna Didkowska z Centrum Onkologii w Warszawie.

Co roku w Polsce diagnozę „nowotwór" słyszy 160 tys. osób. Nawet połowy z tych zachorowań można by uniknąć pod warunkiem zmiany stylu życia. Cieszy fakt, że coraz więcej osób stara się żyć aktywniej i zwraca uwagę na dietę. Jednak rzadko komu udaje się codziennie zjeść zalecanych 400 g warzyw i owoców, zrezygnować z produktów wysoko przetworzonych, a czerwone mięso zastępować białym i rybami. Dzięki temu, że spadła liczba palaczy, nieco zmniejszyły się współczynniki zachorowań na raka płuca (zwłaszcza wśród mężczyzn). Nadal jednak na ten typ nowotworu zapada co roku ok. 20 tys. osób. Zbyt późno też z podejrzeniem nowotworu zgłaszamy się do lekarza: w krajach zachodnich trzy czwarte nowotworów wykrywa się w początkowych stadiach. W Polsce – w stanach zaawansowanych. Za mało chętnie badamy się profilaktycznie.

Z opublikowanego na początku roku raportu CONCORDE-3, opracowanego na podstawie danych z 71 krajów, wynika, że choroby nowotworowe są leczone coraz skuteczniej, a najlepsze wyniki osiąga się w krajach, które przeznaczają na ochronę zdrowia – w tym na onkologię – więcej pieniędzy, w takich jak USA, Kanada, Finlandia, Norwegia, Islandia, Szwecja. Jak na tym tle wygląda Polska? – Jest postęp, mamy jednak permanentnie niższe wskaźniki przeżyć niż inne kraje europejskie – zwraca uwagę dr Didkowska.

LEPSZA ORGANIZACJA

Diagnoza „rak" to nie tylko dramat choroby, lecz także zmagania się z systemem ochrony zdrowia, w którym często trzeba samemu znaleźć ośrodek leczenia. I zrobić to po omacku, bo wyniki leczenia nie są oficjalnie publikowane. Wyniki najlepszych szpitali często nie odbiegają od europejskich. Niestety, kontrakty z NFZ mają też ośrodki o bardzo małym doświadczeniu, gdzie chory ma znacznie mniejsze szanse na skuteczne leczenie.

Onkolodzy chcą to zmienić: do końca czerwca ma powstać projekt zmian w organizacji leczenia, który wyeliminuje sytuacje, gdy rzadki, skomplikowany nowotwór jest leczony w ośrodku, który nie ma pod tym względem doświadczenia. Chory będzie mógł być leczony blisko domu, ale „pod nadzorem" bardziej specjalistycznego ośrodka. Mają powstawać ośrodki typu „breast cancer unit", w których pacjenci będą mieli kompleksową opiekę – od momentu potwierdzenia nowotworu, przez leczenie, rehabilitację, aż do kontrolowania stanu zdrowia.

NOWE TERAPIE

Dzisiaj już wiadomo, że nie da się stworzyć „leku na raka". – Nie wystarczy powiedzieć: „rak jelita grubego", „rak nerki", „rak płuca", „rak piersi". Każdy z tych nowotworów oznacza wiele różnych sytuacji klinicznych wymagających innego podejścia – mówi prof. Maciej Krzakowski, konsultant krajowy ds. onkologii. Dlatego przed rozpoczęciem leczenia konieczne są badania molekularne i patomorfologiczne, by określić typ nowotworu i dobrać dla każdego chorego spersonalizowaną terapię.

Pojawia się coraz więcej leków, które zmieniają rokowanie pacjentów. Dzięki temu coraz częściej rak nie oznacza wyroku, staje się jedną z wielu chorób przewlekłych. Nowe leki są jednak drogie. Polska ochrona zdrowia przez lata była finansowana bardzo źle, dlatego trzeba było czekać latami, zanim innowacyjny lek mogli zastosować pacjenci. Od pewnego czasu to się zmienia, niemal każda lista refundacyjna przynosi jakąś nowość chorym na raka, a obietnica poprawy finansowania ochrony zdrowia daje nadzieję, że nie będziemy musieli czekać latami na nowe terapie. Wciąż jednak bardzo wielu nowoczesnych leków brakuje.

Wiele nowych terapii ratuje życie lub przynajmniej je przedłuża. Coraz częściej pojawiają się analizy farmakoekonomiczne, które udowadniają, że zainwestowanie pieniędzy w skuteczne leczenie opłaca się, gdyż pacjent ma szansę prowadzić normalne życie, pracować i nie być obciążeniem ani dla bliskich, ani dla ZUS. W konsekwencji ich stosowanie jest też bardziej opłacalne dla każdego z nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. FOTOLIA

Z prof. Dariuszem M. Kowalskim, onkologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Jeden z największych przełomów w medycynie

KATARZYNA PINKOSZ: Na raka płuca chorują tylko palacze?

PROF. DARIUSZ M. KOWALSKI: Nie tylko. Jednak w ok. 90 proc. przypadków rzeczywiście chorymi są palacze lub byli palacze.

Co roku ponad 21 tys. osób w Polsce dowiaduje się, że ma raka płuca, a aż 19 tys. umiera. Dlaczego wyniki leczenia są tak słabe?

Zaledwie ok. 15 proc. chorych jest diagnozowanych w tak wczesnym stadium, w którym możliwe jest wyleczenie dzięki usunięciu guza. Przez wiele lat ten nowotwór nie daje żadnych objawów. Gdy pojawia się przewlekły kaszel, duszność, ucisk w klatce piersiowej, krwioplucie, zwykle choroba jest już zaawansowana, z przerzutami. Jeśli chodzi o nowotwory, to rak płuca jest obecnie największym zabójcą zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Mówimy: rak płuca, ale to właściwie wcale nie jest jeden nowotwór.

To grupa nowotworów, które wywodzą się z tkanki nabłonkowej. W zależności od podtypów, a szczególnie charakterystyki molekularnej (genetycznej), trzeba zastosować inne metody leczenia.

W ostatnich latach pojawiło się wiele nowych leków. Czyli dzięki nim jest szansa na wyleczenie?

Jeszcze kilka lat temu nie dysponowaliśmy żadnym lekiem w przypadku zaawansowanego raka płuca, poza klasyczną chemioterapią, która nie dawała jakichś spektakularnych efektów. Obecnie dzięki nowym lekom nowotwór płuca powoli staje się chorobą przewlekłą. Na razie dotyczy to tylko pewnej części chorych, dla których mamy ściśle określone leczenie.

Przełomem w leczeniu niedrobnokomórkowego raka płuca było odkrycie receptora programowanej śmierci typu 1 (PD-1). Dlaczego jest on tak ważny?

To receptor, którego pobudzenie wyhamowuje układ immunologiczny. Gdy człowiek jest zdrowy, receptor ten zapobiega nadmiernej aktywacji układu odpornościowego. Mówiąc prosto, dzięki niemu komórki układu odpornościowego nie uznają naszych własnych komórek za obce i ich nie niszczą. Dzięki temu nie pojawiają się choroby autoimmunologiczne [np. cukrzyca typu 1, SM – przyp. red].

W przypadku nowotworów złośliwych, np. raka niedrobnokomórkowego płuca, receptor PD-1 jest nadmiernie pobudzany przez komórki nowotworowe. W efekcie układ odpornościowy zostaje całkowicie zablokowany.

Czyli nie walczy z rakiem?

Nie walczy. Aktywność układu odpornościowego jest wyhamowana, dlatego nowotwór się rozwija.

eprasa.pl acf664e4b9

Jak w takim razie działają leki immunologiczne czy też immunokompetentne?

Reaktywują układ immunologiczny. To nie są leki stricte przeciwnowotworowe. One nie działają bezpośrednio na komórkę nowotworową. To nie są cytostatyki, które ją niszczą. To nie jest radioterapia, która rozbija układ genetyczny komórki nowotworowej. To nie jest chirurgia, która usuwa guz.

To są leki, które działają na układ odpornościowy. Powodują taką jego przebudowę, że on sam zaczyna niszczyć komórki nowotworowe. Immunoterapia stała się przełomem w leczeniu nowotworów źle rokujących, takich jak czerniaki, a teraz – rak płuca.

Obecnie w USA i Europie są zarejestrowane do leczenia niedrobnokomórkowego raka płuca dwa przeciwciała monoklonalne anty PD-1 (niwolumab i pembrolizumab) oraz przeciwciało anty PD-L1 (atezolizumab).

Od maja są w Polsce refundowane dwa z tych trzech długo oczekiwanych leków. Wszyscy chorzy mają szansę dostać leczenie?

Wejście dwóch leków na listę to ogromna zmiana dla polskich pacjentów i szansa dla wielu z nich. Bardzo się z tego cieszymy, aczkolwiek spodziewaliśmy się, że więcej terapii wejdzie do statusu refundacyjnego. Na razie mamy lek do pierwszej linii leczenia – pembrolizumab, który można stosować u tych chorych, którzy mają wysoką ekspresję receptora PD-L1 (to ok. 30 proc. chorych, którym do tej pory mogliśmy podać jedynie chemioterapię). Drugi z dostępnych leków (niwolumab) możemy zastosować wyłącznie u chorych z rakiem płaskonabłonkowym, w drugiej linii leczenia (po pierwszej wznowie). I to wszystko.

Czego zabrakło, by można mówić o kompleksowości czy możliwości efektywnego leczenia większości chorych?

Nie mamy leków dla chorych z rakiem niepłaskonabłonkowym w drugiej linii leczenia, czyli po pierwszej wznowie choroby. Chodzi zarówno o raka gruczołowego, jak i wielkokomórkowego. W tej grupie pacjentów moglibyśmy zastosować atezolizumab i niwolumab. Ta grupa chorych jest nadal bez optymalnego dla nich leczenia. Bardzo byśmy chcieli, jako lekarze, żeby te leki też pojawiły się w programie lekowym.

W Ministerstwie Zdrowia został złożony projekt, opracowany przez konsultanta krajowego ds. onkologii klinicznej. Obejmuje on obecnie wszystkie dostępne możliwości leczenia. Jest skonstruowany bardzo rozsądnie. Znamy warunki finansowe w naszym kraju, dlatego sądzimy, że ten program powinien być akceptowalny dla MZ i NFZ. Na razie do drugiej linii leczenia dostaliśmy tylko jeden lek i to tylko dla chorych na raka płaskonabłonkowego. Nie widzę żadnych przesłanek merytorycznych, by leczenie drugiej linii ograniczać tylko do jednego leku i tylko do raka płaskonabłonkowego.

Chcielibyśmy, by w drugiej linii leczenia i kolejnych były dostępne wszystkie leki, które są zarejestrowane w UE, czyli atezolizumab, pembrolizumab i niwolumab. To na dziś wyczerpuje nasze oczekiwania, jeśli chodzi o leki immunokompetentne. Oprócz tego brakuje też leku antyangiogennego, dla chorych, u których występuje szybki rozwój choroby, oraz niektórych leków ukierunkowanych molekularnie.

Często słyszy się zarzut, że te leki są mało skuteczne, bo przedłużają życie tylko o kilka miesięcy, w dodatku nie wszystkim chorym. Zgodzi się pan z taką opinią?

Cóż mogę powiedzieć… Mimo olbrzymiego postępu, który dokonuje się w kardiologii, chorzy nadal umierają na zawał. To w takim razie nie będziemy leczyć zawałów, bo chory może umrzeć? Mamy w ogóle przestać leczyć chorych na nowotwory złośliwe, bo generalnie to nie jest dobrze rokująca populacja?

Przełom, który w tej chwili się dokonuje, jest uznany na całym świecie. Amerykanie uznali wprowadzenie leków immunokompetentnych za jedno z największych osiągnięć i największych przełomów w medycynie, jakie kiedykolwiek miało miejsce na świecie!

A jeśli chodzi o rokowanie, to kilka czy kilkanaście miesięcy to tylko średnia. Czasem zdarza się, że chory żyje jeszcze kilka lat, choć miały być to tylko miesiące. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich. Mam pod swoją opieką chorych, którzy kilka lat temu przyjechali do Centrum Onkologii, płacząc, że zostało im tylko kilka miesięcy życia. Tymczasem żyją już trzy, cztery, pięć lat, a nawet dłużej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Krzysztof Ostrowski, poseł, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Praw Pacjentów

Zaniedbania w polskiej służbie zdrowia są wieloletnie. Dotyczy to także onkologii. Wystarczy popatrzeć na wskaźniki: w Polsce zachorowalność na choroby nowotworowe jest niższa niż w innych krajach Europy, za to śmiertelność jest wyższa. Widać, jak wiele trzeba zmienić. Staramy się nadrobić te wieloletnie zaniedbania, ale to nie jest kwestia kilku miesięcy czy roku.

Już udało się nam poprawić sytuację w radioterapii (osiągnęliśmy średnią europejską). Jeśli zaś chodzi o raka płuca, to jest to kwestia większych środków. Rząd uchwalił ustawę, która zwiększa finansowanie służby zdrowia w Polsce do 6 proc. PKB do 2024 r. Nie uda się wszystkiego zmienić w jednej chwili. Na pewno będziemy się starać dążyć do kompleksowości leczenia, by wszyscy pacjenci mieli szansę na optymalną terapię, niezależnie od typu raka płuca i linii leczenia.

prof. dr hab. n. med. Dariusz M. Kowalski – jest kierownikiem Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytutu w Warszawie, prezesem Polskiej Grupy Raka Płuca.

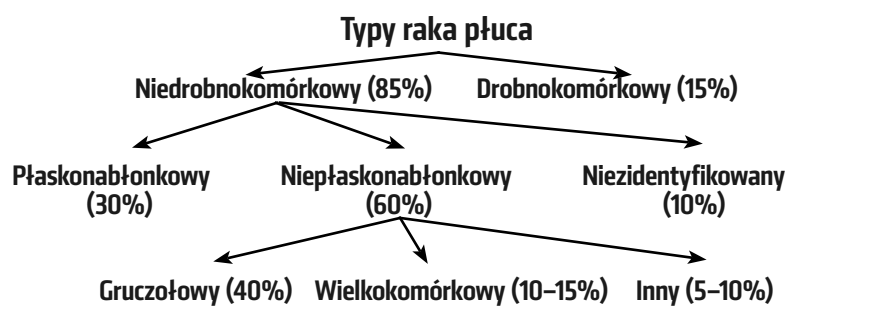

(Źródło: „Obraz raka płuca w Polsce – leczenie farmakologiczne dziś i jutro", 2016, HealthQuest)

eprasa.pl acf664e4b9

Katarzyna Pinkosz

W stronę gwiazd

Gdy komórki raka krążą we krwi, rozsiane w całym organizmie, trudno je zwalczyć. A jednak w leczeniu nowotworów krwi w ostatnich latach widać spektakularne sukcesy

Profesor Torben Plesner, hematoonkolog z Vejle Hospital i wykładowca na University of Southern Denmark, mówi wprost: – Doświadczamy rewolucji w leczeniu nowotworów tkanki krwiotwórczej. Odchodzimy od stosowania klasycznej chemioterapii, która powodowała wiele działań niepożądanych, w stronę leków inteligentnych, które są bardziej skuteczne i mniej toksyczne.

Inhibitory kinaz tyrozynowych, leki immunomodulujące, inhibitory proteasomu, przeciwciała monoklonalne – to nazwy kolejnych grup leków inteligentnych, które albo celują wprost w komórki nowotworowe, albo tak zmieniają układ odpornościowy, że to on jest w stanie je zwalczać. Dzięki temu nowotwory krwi coraz częściej stają się chorobami przewlekłymi, z którymi można wiele lat żyć, stosując kolejne opcje leczenia. Korzyścią leków inteligentnych jest też to, że zwykle ich stosowanie przynosi znacznie mniej poważnych skutków ubocznych niż tradycyjna chemioterapia. – W wielu przypadkach są stosowane jako leki pomostowe do przeszczepienia komórek krwiotwórczych, które nadal jest główną metodą prowadzącą do wyleczenia – mówi prof. Wiesław Jędrzejczak, krajowy konsultant w dziedzinie hematologii, kierujący Kliniką Hematologii, Onkologii i Chorób Wewnętrznych WUM.

U części pacjentów zastosowanie nowych leków powoduje, że choroba nie powraca. Profesor Anna Dmoszyńska, przez wiele lat kierująca Katedrą i Kliniką Hematoonkologii i Transplantacji Szpiku UM w Lublinie, podaje przykład przewlekłej białaczki szpikowej. U części pacjentów, którzy co najmniej przez dwa lata mają całkowitą remisję molekularną (nieobecność nawrotu choroby), można zaprzestać leczenia, a więc mówić o wyleczeniu. – Jeszcze bardziej spektakularne są wyniki leczenia pierwszorzutowego ostrej białaczki promielocytowej. Uzyskuje się nawet 90 proc. wieloletnich przeżyć bez konieczności kontynuowania leczenia – przyznaje prof. Wiesław Jędrzejczak. Dodaje jednak, że oba te nowotwory są unikalne, gdyż wywołuje je jedna główna zmiana genetyczna. Inne nowotwory krwi, takie jak ostra białaczka szpikowa czy szpiczak plazmocytowy, spowodowane są co najmniej przez kilka nakładających się zmian genetycznych.

Jednak w leczeniu tego ostatniego nowotworu w ostatnich latach pojawiło się wiele nowych leków, które zupełnie zmieniły rokowania pacjentów. Jeszcze niedawno chory z diagnozą szpiczaka miał przed sobą maksymalnie trzy–cztery lata życia. Dzisiaj jest to już siedem–osiem lat, a jeśli jest możliwość zastosowania najnowocześniejszych terapii – nawet kilkanaście lat i więcej, co powoduje, że u części chorych można już uznać tę chorobę za przewlekłą.

NISZCZENIE I MODELOWANIE

– Pierwsze zmiany zaczęły się już w 1999 r., kiedy to w „New England Journal of Medicine" ukazał się artykuł dotyczący talidomidu w leczeniu szpiczaka – opowiada prof. Dmoszyńska. Za tym lekiem ciągnęła się zła sława (w latach 60. był stosowany jako lek przeciwwymiotny, okazało się jednak, że kobiety które przyjmowały go w ciąży, rodziły dzieci z poważnymi deformacjami kończyn). Zastosowany w leczeniu szpiczaka otworzył erę leków zaliczanych do tzw. immunomodulujących, czyli zmieniających działanie układu odpornościowego. Dzisiaj jest już stosowana druga i trzecia generacja tego typu leków. – W tym samym czasie weszły do leczenia inhibitory proteasomu, a w 2015 r. zostały zarejestrowane przez FDA (Food and Drug Administration) dwa pierwsze przeciwciała monoklonalne: leki o zupełnie odmiennym mechanizmie

eprasa.pl acf664e4b9

FOT. FOTOLIA

działania. – Kiedy prof. Plesner prezentował przed laty pierwsze wyniki leczenia daratumumabem, byłam sceptyczna. Wydawało mi się, że skoro ten lek działa na antygen CD38, który znajduje się na wielu komórkach w organizmie, to chorzy będą mieli tak wiele poważnych efektów niepożądanych, że w ogóle nie będzie można go stosować! – przyznaje prof. Dmoszyńska.

Tymczasem okazało się, że zastosowanie przeciwciała anty-CD38 powoduje o wiele mniej skutków ubocznych niż klasyczna chemioterapia. Chorzy go stosujący cieszą się dobrą jakością życia (część pacjentów prof. Plesnera mówi nawet, że czuje się tak świetnie jak nigdy od czasu zdiagnozowania choroby). Lek okazał się też bardzo skuteczny, szczególnie w kombinacji z innymi, już wcześniej stosowanymi terapiami. Badanie CASTOR (nazwa pochodzi od drugiej najjaśniejszej gwiazdy w gwiazdozbiorze Bliźniąt) wykazało, że zastosowanie tej terapii, w skojarzeniu z dwoma innymi lekami, zmniejsza ryzyko progresji szpiczaka lub zgonu o 68 proc. – Wielu chorych, którym zacząłem podawać lek 10 lat temu, żyje i czuje się bardzo dobrze – mówi prof. Plesner.

Lek działa na dwa sposoby. Po pierwsze, łączy się z białkiem CD38 występującym na powierzchni komórek szpiczaka, co prowadzi do ich zniszczenia. Po drugie, „moduluje" układ odpornościowy. I najprawdopodobniej właśnie to jego podwójne działanie jest kluczem sukcesu.

Lek można stosować w nawrocie choroby, ale niedawno został też zarejestrowany do leczenia w pierwszej linii. To świadczy o bezpieczeństwie i skuteczności, gdyż zwykle nowe terapie najpierw podaje się pacjentom, dla których nie ma już innych szans. W miarę, jak pojawiają się dowody świadczące o bezpieczeństwie i skuteczności, lek jest przesuwany do wcześniejszych linii leczenia.

Im wcześniej stosuje się skuteczną terapię, tym więcej można wygrać. – Okazało się, że część osób, u których stosowaliśmy przeciwciało anty-CD38, ma w szpiku mniej niż jedną komórkę nowotworową na milion! A to oznacza, że w stosunku do części pacjentów możemy nawet mówić o całkowitym wręcz wyleczeniu – mówi z dumą prof. Plesner.

TRUDNA DROGA

Chociaż efekty działania nowego leku są rzeczywiście spektakularne, to nie można go traktować jako panaceum dla każdego chorego. Nie u każdego efekty będą tak wyjątkowe. – Szpiczak to nie jest jedna choroba. To raczej wiele podobnie przebiegających chorób, powodowanych przez różne kombinacje zmian genetycznych. Dlatego na razie walczymy przede wszystkim o wydłużenie życia z chorobą. Duże nadzieje w tej mierze pokładane są w przeciwciele anty-CD38, jednak nadal mowa jest jedynie o zwiększeniu częstości i długotrwałości uzyskiwanych remisji – mówi ostrożnie prof. Jędrzejczak.

Szpiczak to choroba oporna. Zwykle po pewnym czasie (dłuższym lub krótszym: to zależy od pacjenta i zastosowanej terapii) komórki nowotworowe uodparniają się na stosowane leki i choroba wraca. Wtedy trzeba zastosować inne kombinacje leków. Hematologom zależy więc na tym, by mieć możliwość zastosowania u chorego jak największej liczby leków.

Niestety, na razie system ochrony zdrowia w Polsce nie nadąża za przełomem, który dokonuje się w hematoonkologii. Od 2013 r. na świecie i w Europie zostało zarejestrowanych już sześć nowych leków dla chorych na szpiczaka. Żaden z nich nie jest w Polsce refundowany. Daratumumab pod koniec czerwca będzie oceniany przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. W procesie refundacyjnym jest też inny lek immunomodulujący, który czeka na decyzję ministra zdrowia (pomalidomid) oraz jeden z inhibitorów proteasomu (carfilzomib).

Profesor Krzysztof Giannopoulos, kierownik Oddziału Hematologicznego Centrum Onkologii Ziemi Lubelskiej, jest pewien, że nowe leki powinny być częścią instrumentarium lekarza. – Są nie tylko skuteczniejsze, lecz także powodują, że chory ma mniej powikłań, złamań kostnych. Dzięki temu mniej pacjentów wymaga długotrwałych i uciążliwych pobytów w szpitalu. Skuteczne leczenie nie tylko przedłuża chorym życie, ale też jest tańsze dla systemu ochrony zdrowia – mówi prof. Giannopoulos.

Hematolodzy nie mają wątpliwości, że sukces w leczeniu zależy nie tylko od leków. Co prawda szpiczakowi nie można zapobiec (nie jest znany żaden czynnik ryzyka, jak np. palenie papierosów w raku płuca), ważne jest jednak wczesne rozpoznanie. Nie można lekceważyć takich objawów jak przewlekłe zmęczenie, bóle pleców i kości, częste infekcje, bardzo wysoki wynik OB. Jeśli to konieczne, to trzeba szybko podjąć leczenie. Im będzie ono skuteczniejsze na początku, tym większe szanse pacjenta.

Profesor Dmoszyńska jest przekonana, że w najbliższych latach będą pojawiać się coraz bardziej skuteczne leki. – W badaniach klinicznych znajduje się prawie 100 leków, ze wszystkich grup. Myślę, że następnych 10 lat będzie obfitować w nowe terapie, o których nawet jeszcze nawet nie słyszeliśmy, i że wyleczenie szpiczaka stanie się faktem, podobnie jak innych nowotworów krwi – dodaje prof. Dmoszyńska.

Odkrycie leku, który wyleczy szpiczaka, jest trudniejsze niż odkrycie nowej gwiazdy. Wygląda jednak na to, że jesteśmy na dobrej drodze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl acf664e4b9

POZNAŃSKIE SMAKI SZYMONA ZIÓŁKOWSKIEGO

Kuchnia poznańska to moje wspomnienia z dzieciństwa. Ważne miejsce zajmują w niej pyry, czyli ziemniaki. Jedną z najbardziej znanych poznańskich potraw jest gzik, który robimy z dobrej jakości tłustego twarogu z dodatkiem śmietany i posiekanej cebuli. Lubię mocno przyprawiony solą, a zwłaszcza ze sporą ilością pieprzu. Do tego podajemy młode polskie ziemniaki, koniecznie w wersji w mundurkach, czyli ze skórką. Moja żona, która pochodzi z Dolnego Śląska, dziwiła się, jak można gorące ziemniaki wrzucać do zimnego twarogu wyjętego z lodówki i to jeść. Można. I smakuje wyśmienicie. Podobnie jak czerwony, zabielany barszcz z ziemniakami i ze skwarkami. Te dwie potrawy jadłem bardzo często po powrocie do domu ze zgrupowań czy z zawodów, aby urozmaicić nieco monotonną dietę sportowca.

Składniki:

- ziemniaki
- ok. 400 g boczku lub wędzonki
- 2 czerwone buraki
- 1 marchewka
- 1 pietruszka
- pół selera
- pół cebuli
- dwa ząbki czosnku
- ok. pół szklanki zakwasu z buraków
- ziele angielskie, liść laurowy, sól, pieprz

Przygotowanie:

Boczek lub wędzonkę zalewamy ok. 2 l wody, dorzucamy marchew, cebulę (wcześniej ją opalamy), czosnek, ziele angielskie, liść laurowy i gotujemy aż do zmiękniecia mięsa. Wyciągamy mięso, dodajemy pokrojone w kostkę buraki i gotujemy jeszcze ok. 20 min. Przyprawiamy solą i pieprzem oraz dolewamy do smaku zakwasu z czerwonych buraków. Z łyżki mąki robimy „zaklepkę" i dodajemy do zupy, po czym zabielamy ok. 1,5 łyżki śmietany 18-procentowej (pamiętajmy o „zahartowaniu" śmietany, by się nie zważyła).

Boczek/wędzonkę kroimy w drobną kostkę i podsmażamy na skwarki, które dodajemy do ugotowanych wcześniej ziemniaków, a następnie rozdrabniamy ziemniaki i dokładnie mieszamy ze skwarkami. Układamy w miseczce lub na talerzu cienką warstwę ziemniaków pomieszanych ze skwarkami i wlewamy barszcz. Nabierając łyżką, zabieramy trochę ziemniaków i trochę barszczu. W takiej formie smakuje rewelacyjnie! ©℗ ***oprac. raw***

Szymon Ziółkowski – lekkoatleta (młociarz), mistrz świata i mistrz olimpijski, poseł na Sejm RP.

FOT. ADAM WARŻAWA/PAP

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Człowiek, który jadł świat

Dzisiaj szefowie kuchni są równie sławni jak gwiazdy rocka, zatem nie należy się dziwić, że informacja o śmierci Anthony'ego Bourdaina, amerykańskiego kucharza, dziennikarza i eksperta kulinarnego, trafiła na pierwsze strony światowych gazet. Jego ciało znaleziono w pokoju hotelu w Alzacji; orzeczono samobójstwo. Siwowłosy, o charakterystycznym zachrypniętym głosie Bourdain zasłynął z programu „Parts Unknown" („Nieznane miejsca"), który od lat prowadził w kanale CNN. Odbywał w nim kulinarne podróże po mniej znanych, przynajmniej w aspekcie kulinarnym, zakątkach świata. Jadł kluski w Hanoi z prezydentem Barackiem Obamą, zachwycał się springrolkami w Kambodży, ugotowanymi na miękko jajkami żółwia na targu w Kolumbii. Twierdził, że nie ma potrawy, której nie odważyłby się spróbować i opowiedzieć o tym w telewizji.

Ostatnio mówiono o nim głównie w związku z aferą Harveya Weinsteina i akcją „#MeToo", w którą zaangażował się, wspierając swoją partnerkę, włoską aktorkę Asię Argento, która również twierdziła, że była molestowana seksualnie przez hollywoodzkiego producenta. Przyjaciele dziennikarza twierdzą, że nic nie wróżyło jego tragicznej śmierci, choć wiedzieli, że cierpiał on na depresję. Dla matki, Gladys Bourdain, wieloletniej dziennikarki „New York Timesa", również był to szok. „Był ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o coś takiego" – powiedziała gazecie.

FOT. FAIRFAX MEDIA/GETTY IMAGES

Bourdain spędził 20 lat, pracując jako kucharz. Zaczynał od obierania owoców morza i zmywania naczyń, potem pracował w eleganckich restauracjach na Manhattanie. Następnie mieszkał i pracował w Meksyku. Któregoś dnia do tygodnika „New Yorker" wysłał artykuł, w którym opisał kulisy działania restauracji. Tekst Bourdaina „Zwierzenia z kuchni: przygody z kulinarnego podbrzusza" zainicjował drugi etap jego kariery, w którym awansował na celebrytę i otrzymał propozycję z telewizji. W tekstach do „New Yorkera" opisywał ciemną stronę kuchennej rzeczywistości: alkoholizm, narkotyki, pracę ponad siły, nie unikając także wyznania własnych problemów z uzależnieniami od heroiny i kokainy.

„Czy naprawdę podróżując po Francji, Meksyku czy Dalekim Wschodzie, chcemy jadać w Hard Rock Cafe i McDonalds? – pytał retorycznie. – Czy też chcemy bez obaw jeść pieczeń w lokalnej knajpce, nawet jeśli mięso jest z nieznanego źródła, albo w prezencie od restauracji przyjąć rybi łeb? Ja wiem na pewno, że chcę".

„Plastikowe sztućce, tanie, ale pyszne kluski i zimne piwo" – tak Barack Obama na Twitterze wspomniał obiad w Hanoi z Bourdainem. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Wojewodzina Golska

Zofia z Zamiechowa, żona trzech możnych panów, stała się przyczyną ogromnej awantury, po której pozostały legendy o skarbach schowanych na zamku w Podhajcach. Zaczęło się w roku 1612, kiedy Stefan Potocki, mąż Marii Mohylanki, córki hospodara Jeremiego Mohyły, próbował osadzić na tronie w Mołdawii jej brata Konstantego. Maria zdeponowała wówczas w Podhajcach kosztowności, znane do dziś jako „skarb Mohylanki". Zamek zaś był wówczas w posiadaniu wojewody ruskiego Stanisława Golskiego.

Wkrótce sytuacja poplątała się jak gordyjski węzeł. Najpierw Stefan Potocki poniósł klęskę pod Sasowym Rogiem i dostał się do niewoli. Potem umarł wojewoda Golski, a zamek odziedziczył po nim brat – Jan, mąż Zofii. Kiedy zaś Maria Mohylanka zażądała od niego wydania kosztowności, odmówił, co rozpoczęło jeden z największych procesów w dziejach Rusi Czerwonej.

W czerwcu 1613 r. Mohylanka wytoczyła Golskim sprawę i wniosła protestację, podając, że na zamku podhajeckim pozostawiła skarb szacowany na setki tysięcy złotych. Były tam czerwone złote i drogie kamienie, a także „główki św. Jana", zapewne wykopane gdzieś monety rzymskie, klejnoty, łańcuchy, pierścienie, stołowe srebra, cenne rzędy końskie i wiele innych kosztowności. Niebawem zmarł Jan Golski, a pani Zofia pozostała z procesem i zamkiem, w którym rzekomo znajdowały się skrzynie ze skarbami. Sprawa była tak głośna, że oparła się o sejm, który nakazał wojewodzinie oddanie skarbu. W odpowiedzi na to bohaterka, która wyszła już za Stanisława Lanckorońskiego, pozwała… sąd grodzki, odwołała się także do trybunału w Lublinie.

Tak rozpętała się burza, w której dziś trudno się rozeznać, kto trzymał z kim i z jakiej racji dochodził swoich praw. Najpierw przeciwko

Stefan Potocki FOT. WIKIPEDIA

Zofii wystąpili Wolscy – poprzedni właściciele dóbr podhajeckich, którzy procesowali się z jej pierwszym mężem. Potem spadły na nią jak grad pozwy sądowe Jana Jerzego Radziwiłła – o spustoszenie przez chorągwie Golskiego jego dóbr. Książę wyrobił sobie nawet prawo przejęcia Buczacza i pobliskich wsi, jednak woźni, którzy przyszli usuwać wdowę z tych dóbr, wrócili z kwitkiem i paroma guzami na łbach. Golska umocniła zamek buczacki i obsadziła go załogą. Niestety, w styczniu 1614 r. Radziwiłł zdobył go bardzo łatwo, zdradził bowiem przekupiony komendant.

Teraz więc z kolei pani Zofia wytoczyła proces księciu, oskarżając go o zajazd Buczacza, zabicie kilku osób ze służby i zrabowanie kosztowności z zamku. Trybunał skazał zaocznie Radziwiłła na infamię i banicję, ale potężny magnat natychmiast wyrobił sobie ochronny glejt królewski.

Kolejne lata były dla wojewodziny pasmem wojen, procesów, zwad i bijatyk. Najpierw zmarł Lanckoroński, po którym odziedziczyła następne pozwy i sprawy sądowe – tak poplątane, że nawet po kuśtyku zacnego lipca nie sposób ich rozwikłać. Tym razem z pretensjami do jej dóbr wystąpiła rodzina Czuryłów, a w roku 1617 zdobyła zbrojnie zamek w Podhajcach. Jednak pani wojewodzina zaciągnęła kupę swawolnych żołnierzy, po czym odbiła twierdzę, odpierając też inne zajazdy przeciwników. Przy okazji stoczyła także prywatną wojenkę ze znanym hultajem Stanisławem Kilianem Boratyńskim.

W 1615 r. wyszedł z tureckiej niewoli Stefan Potocki i natychmiast upomniał się o skarb zdeponowany przez żonę. W odpowiedzi Lanckorońska przeszukała lochy, znalazła tajemnicze skrzynie, po czym zażądała przed trybunałem, aby Potoccy przyjęli owe kufry „na ślepo", nie zaglądając do wnętrza, na co oczywiście nie zgodził się ani Stefan, ani jego żona. Zofia zabrała zatem skarb z powrotem do zamku podhajeckiego. Nie mogąc nic osiągnąć prawem, Stefan Potocki pojechał „lewem". Zwerbował gromadę zbrojnego hultajstwa, w roku 1618 ruszył na Podhajce, zajął okoliczne wsie i rozpoczął oblężenie. Przyciśnięta do muru wdowa musiała pójść na ugodę. Rzekome skarby podhajeckie opłaciła ogromną połacią ziemi, odstąpiła bowiem trzy miasteczka z zamkami: Czortków, Buczacz i Wierzbów, a także 23 włości należące do klucza buczackiego, miała też wypłacić 20 tys. zł odszkodowania. Nie wykonała jednak wszystkich warunków, bo nie miała pieniędzy. Wkrótce znowu groziła jej infamia, przed którą ratował tylko glejt królewski.

Dopiero po 1629 r. pani Zofia, wówczas już żona wojewody trockiego Janusza Tyszkiewicza, uzyskała pomoc od Mikołaja Sieniawskiego, który pożyczył jej 200 tys. zł pod zastaw dóbr podhajeckich. Jednak po jej śmierci Potoccy odkupili zamek w Podhajcach od Sieniawskiego – być może licząc na to, że będzie w nim jeszcze przeklęty „skarb Mohylanki". Nic nie znaleźli, a pamięć o jego bogactwach przetrwała tylko w legendach. ©℗

eprasa.pl acf664e4b9

NASZ TEST: SKODA SUPERB SPORTLINE

Zaawansowane systemy wspomagania kierowcy, ciekawa stylistyka i duży bagażnik – to największe zalety Skody Superb. To dobry wybór dla tych osób, które szukają samochodu rodzinnego ze szczyptą klasy premium za w miarę rozsądne pieniądze.

W KABINIE

Jedną z głównych zalet Skody Superb jest przestronne wnętrze. Miejsca jest bardzo dużo – zarówno z przodu, jak i dla osób podróżujących na tylnej kanapie. Sportowy charakter auta podkreśla trójramienna kierownica z łopatkami zmiany biegów. Na pochwałę zasługują również wygodne, wyprofilowane fotele sportowe z elementami alcantary, które świetnie trzymają ciało przy dynamicznym pokonywaniu zakrętów.

Jakość wykończenia przypomina sporo droższe auta klasy premium, a schowane w drzwiach dwa parasole przywodzą na myśl rozwiązanie znane z limuzyn marki Rolls-Royce. Przydatna jest również bezprzewodowa ładowarka do nowoczesnych smartfonów.

Wrażenie robi również przepastny kufer o pojemności 625 l. Jest on tak zaplanowany, że w zasadzie nie trzeba kupować kombi, aby móc się cieszyć z praktycznego samochodu rodzinnego. W razie potrzeby można złożyć tylne fotele, co pozwala uzyskać w sumie aż 1760 l pojemności.

JAZDA

Czeska limuzyna z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 190 KM na rozpędzenie się od zera do pierwszej setki potrzebuje 5,8 s. Maksymalnie można nią jechać z prędkością ograniczoną elektronicznie do 250 km/godz.

Auto dobrze trzyma się drogi. Jest dobrze wyciszone i wygodne. Superb Sportline dobrze sprawdza się w sytuacjach, gdy chcemy pokonać dany odcinek w dużo bardziej dynamiczny sposób. Plusem jest też automatyczna skrzynia biegów DSG, która bardzo sprawnie zmienia biegi, a także usportowione zawieszenie, które nieźle radzi sobie z tłumieniem dziur (choć tradycyjna wersja Skody Superb ma nieco bardziej miękkie zawieszenie, przez co jest jeszcze bardziej komfortowe).

Podczas testu Skoda Superb spalała średnio w cyklu mieszanym ok. 8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP flagowy model Skody zdobył komplet pięciu gwiazdek. Na pokładzie jest też wielu elektronicznych asystentów, którzy monitorują, czy nie jedziemy zbyt blisko poprzedzającego pojazdu, ostrzegają przed samochodami w martwym polu lusterek i ułatwiają utrzymanie auta na wybranym pasie ruchu. Skoda jest też wyposażona w funkcję wykrywania zmęczenia kierowcy i w odpowiednim momencie zaleci przerwę na kawę. Samochód potrafi też wykryć, że kierowca stał się niezdolny do jazdy, i w takiej sytuacji autonomicznie się zatrzyma oraz włączy światła awaryjne. Komputer pokładowy rozpoznaje również znaki drogowe, dzięki czemu łatwiej jest pamiętać o obowiązujących ograniczeniach prędkości.

CENA

Najtańsza Skoda Superb wersji z silnikiem benzynowym o pojemności 1,4 l i mocy 150 KM, z ręczną skrzynią biegów, kosztuje 123,5 tys. zł. Na najtańszego diesla pod maską (150 KM) trzeba wydać 137 tys. zł, a za wersję z dwulitrowym silnikiem wysokoprężnym (190 KM) z automatyczną skrzynią biegów i napędem na cztery koła trzeba zapłacić już 158 tys. zł.

KONKURENCI

Ford Mondeo, Kia Optima, Mazda 6, Opel Insignia, VW Passat ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl acf664e4b9

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Marchewka lepsza od kija

MARCIN MAKOWSKI: Spotkanie Trump – Kim w Singapurze – dosłownie i w przenośni – przechodzi do historii. Jak wrażenia?

MATTHEW TYRMAND: W większości pozytywne. Donald Trump udowodnił, że umie dotrzymywać obietnic i walczyć o pokój na świecie, wprawiając w osłupienie mainstreamowe media. One chętniej zobaczyłyby rakiety latające nad Półwyspem Koreańskim niż znienawidzonego prezydenta, któremu udaje się to, czego nie dokonał m.in. Barack Obama. Przecież jeszcze pół roku temu praktycznie nikt nie obstawiał podobnego scenariusza. Tymczasem, choć oczywiście musimy poczekać na realne efekty, jesteśmy bliżej pokoju w tym regionie świata niż kiedykolwiek od lat 50. Trump pokazał w praktyce, że jego nieortodoksyjne metody i agresywne biznesowe nastawienie potrafią przerywać wieloletnie impasy w polityce zagranicznej. Ciekawym wątkiem pobocznym jest to, że gdy rozmawiałem w zeszłym roku z Jarosławem Kaczyńskim, zapytał mnie o sytuację dyplomatyczną w Korei. Odpowiedziałem wtedy, że USA zamierzają rozpocząć rozmowy dyplomatyczne, na co Kaczyński odparł, że jeżeli ktokolwiek będzie w stanie rozwiązać ten kryzys, to może to być Trump.

Ale słodzisz.

Słowo daję, tak było (śmiech).

Powiedz mi w takim razie, co po rozmowach zyskujemy jako społeczność globalna i kto jest ich prawdziwym zwycięzcą? Niektórzy mówią, że Kim albo Chiny, które zaczną handlować ze swoim sąsiadem na jeszcze większą skalę.

Myślę, że realnie zyskujemy nieistniejący do tej pory most, przerzucony między Pjongjangiem a resztą świata, przez który będzie można wyciągnąć Koreę Północną ku ekonomicznemu odrodzeniu, a przez to pośrednio zażegnać groźbę wojny jądrowej. Coś trzeba było przecież zrobić, ponieważ cena utrzymania bezpieczeństwa w regionie stawała się zdecydowanie za wysoka. Wiadomo, że to na razie dokumenty, ale symbole w dyplomacji też się liczą. Jednym z nich jest umowa o denuklearyzacji Półwyspu Koreańskiego, poza tym uwolniono więźniów politycznych. Niektórzy dodają jednak: „OK, ale Trump nie obiecał żadnego wsparcia finansowego tu i teraz, sankcje pozostają w mocy". Dobrze, ale właśnie na tym polega robienie interesów. Najpierw roztacza się wizję przyszłości, a dopiero po osiągnięciu pożądanych efektów daje coś w zamian. Dokładnie odwrotnie działała administracja Obamy, spotykając się z przywódcami Iranu i Kuby, wykładając wszystkie karty na stół, bez wzajemności i żadnych gwarancji sukcesu. Jak dzisiaj widzimy po sytuacji w tych państwach, to droga w ślepą uliczkę.

To wszystko bardzo piękne, ale nie obawiasz się, że w perspektywie polityki krajowej Trump nie zyska tak wiele na spotkaniu z Kimem, ile może stracić na wojnie celnej m.in. z Kanadą i Unią Europejską?

Jeśli ktoś chce być konkurencyjny na świecie, to musi grać ryzykownie. Kanada i Unia od lat więcej zyskują na handlu z Ameryką niż Stany na wymianie gospodarczej z nimi. Tutaj nie chodzi o żadne cła z kosmosu, ale próbę wymuszenia na konkretnych państwach, aby działały na tych samych zasadach w obie strony. Jeśli ktokolwiek sądzi, że Trump traci na tym starciu wewnętrznie, to jest w błędzie. Wystarczy spojrzeć na odbywające się właśnie prawybory stanowe do wszystkich szczebli administracyjnych, a dla dobrego zobrazowania rosnącego poparcia prezydenta – na Karolinę Południową. Mark Stanford to były gubernator, członek Partii Republikańskiej, który od lat wygrywał każde wybory, w których startował. Tyle że ostatnio bardzo głośno krytykował Trumpa, a ten postanowił poprzeć w prawyborach jego kontrkandydata. I wystarczyło, aby Stanford po raz pierwszy przegrał. Poza tym coraz więcej Latynosów i Afroamerykanów głosuje na Trumpa, ponieważ po prostu żyje im się lepiej. Demokraci sądzili, że mają ten elektorat pozyskany za darmo i na zawsze, ale przypadki takie jak poparcie Kanye'a Westa udowadniają, że prezydent ma jeszcze spory elektorat rezerwowy. I to razem z wizytą w Singapurze pozwala ocenić jego potencjał. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

eprasa.pl acf664e4b9

OKIEM BLOGERKI

Co wolno przedsiębiorcy

KATARYNA

MARCIN WARCHOŁ: ***Sędziowie nie powinni narzucać ludziom swoich poglądów, a wyrok sędziego powinien być niezależny od przekonań i poglądów prywatnych. Sąd Najwyższy promuje totalitarny system, w którym sędziowie jako nadzwyczajna kasta w pełni kontrolują społeczeństwo i starają się nadzorować wszystkie aspekty życia publicznego i prywatnego na tyle, na ile jest to możliwe. SN tym wyrokiem mówi: „Macie zachowywać się tak, jak my tego chcemy, i wierzyć w to, w co chcemy, żebyście wierzyli. A jeśli nie, to zostaniecie ukarani".***

W sprawie drukarza problem tkwi w przepisach, a nie w sędziach, którzy te przepisy zastosowali

Tak wiceminister sprawiedliwości skomentował wyrok Sądu Najwyższego w sprawie drukarza, który odmówił wydrukowania materiałów organizacji LGBT. Skonkludował, że wyrok ów jest „zdecydowanie najlepszym argumentem za jego reformą". Tylko czy Sąd Najwyższy, a wcześniej sądy niższych instancji, mógł wydać inny wyrok, jeśli w Kodeksie wykroczeń znajduje się taki zapis. „Kto, zajmując się zawodowo świadczeniem usług, żąda i pobiera za świadczenie zapłatę wyższą od obowiązującej albo umyślnie bez uzasadnionej przyczyny odmawia świadczenia, do którego jest obowiązany, podlega karze grzywny"? Powątpiewam.

Drukarz odmówił? Odmówił. Polskie prawo przewiduje karanie za taką odmowę? Przewiduje. Problem więc w przepisach, a nie w sędziach, którzy te przepisy zastosowali. Sprawa drukarza z Łodzi ciągnie się już tak długo, że kwestionowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości zapisy Kodeksu wykroczeń powinny być już dawno zmienione. No, chyba że wcale nie chodzi o to, iż przepis jako taki się nie podoba, tylko o to, że został zastosowany w sprawie dotyczącej nielubianej przez ministrów grupy społecznej. Proponuję oderwać się na chwilę od tej konkretnej sprawy i spojrzeć na nią w szerszym wymiarze.

Sam temat wolności przedsiębiorcy uważam za wart dyskusji, pasowałby do prezydenckiego referendum konstytucyjnego dużo bardziej niż większość z 15 zaproponowanych pytań, bo dotyczy zakresu wolności każdego przedsiębiorcy i granicy między tą wolnością a dyskryminacją. Sama jestem przedsiębiorcą i nie chciałabym, aby prawo zmuszało mnie do świadczenia usług Obozowi Narodowo-Radykalnemu z jednej strony czy Komitetowi Obrony Demokracji z drugiej. Dzisiaj z takim kodeksem i z takim orzecznictwem zostałabym ukarana za odmowę.

Wszyscy cieszący się z wyroku w sprawie drukarza powinni się zastanowić, czy tak samo cieszyliby się, gdyby podobny wyrok zapadł w sprawie drukarza, który odmówiłby druku ulotek PiS. A krytykujący wyrok wiceminister – czy naprawdę jest za tym, żeby każdy drukarz mógł odmówić druku ulotek PiS? Łatwo jest komentować pojedynczy wyrok w sprawie grupy społecznej, którą lubimy lub której nie lubimy, ale trzeba umieć swoją opinię na jego temat uogólnić, odrywając od tego jednostkowego przypadku. W normalnym kraju ten wyrok powinien być przyczynkiem do wielkiej ustrojowej dyskusji o granicach wolności gospodarczej. W Polsce będzie tylko pretekstem do kolejnego aktu rozprawy z sędziami. Sorry, taki mamy klimat.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PODSŁUCHANE

Lista pytań

No, panie prezydencie, nie tak się umawialiśmy, nie tak!
O co chodzi, panie przewodniczący? Przecież daliśmy te trzy pytania, które chcieliście. Przepraszam bardzo, ale to mój fotel, ten za biurkiem.

Ja tu jestem gościem, tak? A jako gość mogę se usiąść, gdzie chcę, tak? No.
No dobrze, trudno, przepraszam. Ale o co chodzi z tymi pytaniami?

No jak to? Przecież dawałem listę temu tam... jak on się nazywa... taki mały, śmieszny, ten od referendum.
Paweł?

Jak zwał, tak zwał, kręci się tu tyle tego... Więc dałem mu listę i tam jak byk stało: „Czy jesteś za podnoszeniem pensji minimalnej co rok o 50 proc.?", „Czy jesteś za całkowitym zakazem handlu od piątku do poniedziałku?" i „Czy jesteś za tym, żeby przewodniczący Solidarności z urzędu sprawował urząd wicepremiera?". Było czy nie?
No, Paweł coś tam...

Pozwoliłem usiąść?
Przepraszam. Paweł coś mówił, ale to już się nie zmieściło, więc daliśmy te mniej kontrowersyjne...

Kontrowersyjne?! Kontrowersyjnie to będzie, jak ogłoszę, że prezydent ma gdzieś ludzi pracy! Nie wiem, jak pan to zrobi, ale ma być. I koniec.
Panie przewodniczący, pana pies sika na...

Chodź, Kacperek, chyba nas tu nie lubią. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Komu kibicować, gdy w Polsce łamana jest konstytucja?".

Tytuł artykułu na antypisowskim portalu OKO.press

eprasa.pl acf664e4b9

fot. Jerzy Gumowski

Elitarni

Elitaryzm, elitarność, elitowość, czyli uprzywilejowanie, wynoszenie nad resztę społeczeństwa (nad klasy średnie i niskie) pewnych grup społecznych bądź kulturowych, towarzyszy ludzkości od czasów Jaskini tudzież Antyku, i nawet sławiona *„demokracja grecka”* nie zmieniła tu niczego. W erze po śmierci Chrystusa przez prawie dwa tysiące lat dominowali nobile: arystokracja (sfera najwyższa) i szlachta (trochę niższa), potem zaś (od XIX wieku) coraz silniej elity finansowe i polityczne bezherbowe (lub raczej: niekoniecznie herbowe), mające swój środowiskowy kod nazewniczy łączący ich wszystkich jako jedną klasę uprzywilejowaną, czy to na kontynencie (masońskie: *„brat”*, hierarchiczne: *„ekscelencja”*, itp.), czy też poza nim (brytyjskie: *„dżentelmen”*). Dzisiaj dla nuworyszów rządzących państwami (exemplum Putin, Erdoğan, Maduro, itp.), oraz dla salonowych sfer majętnych kręcących światem (Soros, Zuckerberg, Springer, itp.), ów kodowy, mydlący oczy termin brzmi: *„demokrata”*. Przy czym chodzi tu wyłącznie o demokrację fasadową lub politpoprawną, a nie rzeczywistą — o demokraturę spełniającą normy oligarchiczne lub lewicowe, gwoli zmyłki vel *„ściemy”* zwane *„liberalnymi”* lub *„postępowymi”* lub *„nowoczesnymi”* lub *„humanitarnymi”* lub *„tolerancyjnymi”*. Rodzimy KOD (Komitet Obrony Demokracji) czy Obywatele RP — są właśnie taką pseudodemokratyczną elitą. W przedwojennym **„Słowniku Języka Polskiego”** M. Arcta hasło ***„elita”*** zostało objaśnione dwuwyrazowo: *„towarzystwo wyborowe”*. Dla większości Polaków jest ono dzisiaj *„wyborcze”*, gdyż myśli ulicą Czerską.

Nad Wisłą trwa od końca roku 2015 jawna wrogość samozwańczych elit (zdetronizowanych wtedy przez elektorat) wobec proPiSowskiej *„czerni”*, która twardo winduje sondażowe słupki *„faszystów”* Kaczyńskiego. Komentatorzy analizujący zjawisko (exemplum Jan Maciejewski, który poświęcił cały esej *„pogardzie i odrzuceniu”* polskiego plebsu/elektoratu przez elity proPlatformerskie, bądź wtórujący mu Artur Bartkiewicz) przywołują chętnie celebrytki plujące ze swego piedestału na wczasujący za 500+ proletariat: Agatę Młynarską, Annę Szulc (*„najazd Hunów”*), i inne. Ale okazjonalnie przypominane są też dużo starsze warknięcia, notowane od samych początków III RP. Choćby narzekania prof. Bronisława Geremka (*„ — Polacy nie dorośli do demokracji!”*), czy bluzgania pseudoprofesora Władysława Bartoszewskiego (przezwał pozaelitowe społeczeństwo *„bydłem”*), czy utyskiwania prof. Jana Hartmana (*„Miliony was, chamy, miliony. I co my mamy z wami zrobić?”*), czy sarkania prof. Wojciecha Sadurskiego (*„Sondażowy triumf PiS–u to triumf aroganckiego i ignoranckiego plebsu”*). Aktor Jacek Poniedziałek pragnie, żeby ten *„otumaniony 500+ naród rozpłynął się i przepadł”*, albowiem *„jest zakałą świata”*. Reżyser Antoni Saramonowicz krzyczy: *„Odp…… cie się od Warszawy, barany!”*. Dziennikarka TVN Jolanta Pieńkowska wtóruje: *„Nie życzę sobie, by moje miasto było najeżdżane!”*. Dziennikarz Jacek Żakowski (dawniej **„Gazeta Wyborcza”**, teraz **„Polityka”**) uznał, że dla mrowia Polaków demokracja okazała się *„zanadto skomplikowana i niezrozumiała”*. Słowem: wszyscy oni (tudzież ich akolici, sojusznicy, współwyznawcy) chętnie wymieniliby sobie głupie społeczeństwo na jakieś inne, bardziej kumate, znaczy: bardziej im posłuszne. Lecz to tak nie działa: możecie sobie wymienić sztuczną szczękę, panie i panowie salonowcy, ale nie naród, który was wymienił, odbierając wam koryto.

Nieufność wobec salonowych elit ogarnia dziś cały świat. Michał Szułdrzyński: *„Jeśli elity, także wielu ekonomistów, nie potrafiły przewidzieć kryzysu finansowego, któ-*

∞

*Cyprian Kamil Norwid (**„Amen”**): „A z tłumu naród wstanie!”*

∞

ry uderzył w setki milionów ludzi na całym świecie, to jak dalej można wierzyć, że elity mają jakąś szczególną wiedzę? Jeśli ekonomiczni celebryci przekonywali Polaków do kredytów we frankach szwajcarskich (...), jak można mieć dalej zaufanie do elit? Jeśli najwybitniejsi politolodzy przekonywali, że brexit jest niemożliwy, a Trump nigdy nie wygra wyborów, jak dalej można ufać ich kompetencjom?” (2017). Józef Maria Ruszar: *„Płytkie życie wewnętrzne polskich elit, płaski cynizm, prymitywna pazerność, jak również chamskie traktowanie poważnych wypowiedzi o dobru wspólnym są objawami zbanalizowanego nihilizmu, który zatracił poczucie miary aż do poziomu śmieszności”* (2016). Jarosław Gowin: *„ — Nie należy przejmować się krytyką ze strony elit, dlatego że bardzo często kierują się one przemijającymi ideologiami lub swoimi własnymi interesami”* (2017). Gdy prezydent Andrzej Duda rozpoczął cykl debat ***„Konstytucja dla społeczeństwa, nie dla elit”*** — Marcin Makowski zapytał Matthew Tyrmanda na łamach **„Do Rzeczy”**: *„ — Czy konstytucję powinno się pisać w kontrze wobec elit? Nie masz wrażenia, że to ukłon w stronę populizmu?”*, a Tyrmand Junior perswadował: *„ — Od dawna staram się tłumaczyć, że populizm nie musi być szkodliwy dla demokracji. Jeśli jest manifestacją woli «milczącej większości», którą establishment pogardzał we własnym, wąskim interesie — populizm jest przywróceniem równowagi”* (2017).

Elity rozwściecza głównie fakt, iż *„milcząca większość”* ma donośny głos przy urnach. Boli je równość, ta sama ważność każdego głosu. Nie chcą zrozumieć, że chociaż czasami równość — np. *„równość”* wcielana bolszewickim kokietowaniem *„proletariackiego”* motłochu (lumpenproletariatu) bądź salonowym politpoprawnym dowartościowywaniem afrykańskiej dziczy — to propagandowe gówno, jednak równość elekcyjna zazwyczaj bywa zdrowa (Hitler, Chavez et cetera są *„wyjątkami potwierdzającymi regułę”*). Prof. Jan M. Piskorski: *„Obserwacje historyczne wskazują, że społeczeństwo jako całość jest w stanie podejmować rozważne decyzje, mimo że nierzadko kolidują one ze stanowiskiem wąskich elit (...) Mądrość zbiorowa społeczeństwa to kluczowa wartość demokracji (...) Ustrój, w którym wszystko, co nie podoba się elitom, jest lekceważone, przestaje być demokracją”* (2017). Ksiądz Jacek Salij: *„Z jakichś tajemniczych powodów ludziom prostym łatwiej jest trzymać się reguł zwyczajnej logiki, szacunku dla faktów, i nie ulegać przymusowi politycznej poprawności”* (2017). Więc choć na świecie nie brak opinii, że urny wyborcze powinny być tylko do dyspozycji elit (vide jankeski filozof i politolog z Uniwersytetu Georgetown, Jason Brennan, według którego głosować winno ledwie 20% najinteligentniejszych członków społeczeństwa) — żadne państwo demokratyczne jeszcze nie upadło tak na głowę, by robić IQ–owską selekcję wyborców.

Przy okazji: wspomniana *„zbiorowa mądrość”* masy ludzkiej znalazła już rozmaite zastosowania nie mające dużo (lub zupełnie nic) wspólnego z demokracją. Myślę o coraz popularniejszym na Zachodzie *„crowdsourcingu”* (czerpanie z mądrości tłumu), czyli o korzystaniu ze zbiorowej opinii uczonych bądź prostych ludzi przez rynki prognostyczne i wielkie firmy, takie jak General Electric, Google lub Microsoft. Prekursorem był 110 lat temu brytyjski przyrodnik i statystyk Francis Galton, a po II Wojnie Światowej wykorzystywana coraz częściej *„mądrość tłumu”* przynosiła spektakularne sukcesy (A.D. 1968 Amerykanie nie mogli odnaleźć swego zaginionego okrętu podwodnego „Scorpion”, więc kierujący poszukiwaniami John P. Craven urządził sondaż wśród dużej grupy ludzi niezwiązanych z marynarką, i kiedy US Navy uśredniła ich wskazania — okręt znaleziono niespełna 200 metrów od punktu uzyskanego dzięki *„mądrości tłumu”*!). W książce Jamesa Surowieckiego **„The Wisdom of Crowds...”** (2004) — **„Mądrość tłumu. Większość ma rację w ekonomii, biznesie i polityce”** — znajdziecie Państwo furę przypadków równie bulwersujących. Dla elit *„mądrość tłumu”* to dramat, katastrofa — pryncypat Salonu drży od tego w posadach, i się kruszy, choć ciągle się puszy. Uuups! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl acf664e4b9

SERIA POLSKIE FANTASY

PREMIERA 15.06.2018

PREMIERA 20.04.2018

CZASEM OKRUCIEŃSTWO WŁADCÓW SPRAWIA, ŻE NAWET PIĘŚCI NAJWIERNIEJSZYCH WZNOSZĄ SIĘ ŻĄDAJĄC SPRAWIEDLIWOŚCI. SKARBIMIR AWDANIEC, ODDANY PALATYN BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO POWSTAJE PRZECIWKO WŁADCY. BUNT TO JEDNAK ZAWSZE POŻOGA, KREW I ZNISZCZENIE. WŚRÓD TEGO CHAOSU ODRADZA SIĘ ZAPOMNIANY MROK. ZŁO TAK PRZERAŻAJĄCE, ŻE NAWET ZACIEKLI WROGOWIE STANĄ RAMIĘ W RAMIĘ, BY WALCZYĆ W IMIĘ LUDZI PRZECIWKO POMIOTOM STAREJ WIARY. W CHWILI OSTATECZNEJ PRÓBY DECYDUJĄCĄ ROLĘ ODEGRA DŁOŃ DZIERŻĄCA JADOWITY MIECZ.

fabryka słów
WYDAWNICTWO

eprasa.pl acf664e4b9